



JAMES

PATTERSON

MICHAEL LEDWIDGE

NAJGORSZA SPRAWA

**JAMES
PATTERSON**
MICHAEL LEDWIDGE

NAJGORSZA SPRAWA

Z angielskiego przełożyła
MAGDALENA BUGAJSKA



Wydanie elektroniczne

O książce

Ktoś uprowadza dzieci najbogatszych mieszkańców Nowego Jorku. Rodzice są bezsilni, nie mogą im pomóc. Porywacza nie interesuje bowiem okup ani dostęp do władzy – on organizuje ofiarom swoisty egzamin z wiedzy na temat ekologii i biedy na świecie. Cena, jaką muszą zapłacić za negatywny wynik testu jest niezwykle wysoka – śmierć od kuli. Detektyw Michael Bennett, przydzielony do Oddziału Dochodzeń Specjalnych policji, zajmuje się sprawą zaginięcia osiemnastoletniego syna właściciela międzynarodowej firmy farmaceutycznej. W śledztwie, które w krótkim czasie zmienia się w pościg za psychopatycznym zabójcą, wspomaga go agentka FBI, Emily Parker. Niestety, nie udaje im się zapobiec kolejnemu porwaniu i morderstwu – tym razem ofiarą jest nastoletnia dziewczyna. Przebiegły i bardzo ostrożny morderca krok po kroku realizuje swój dokładnie przemyślany plan, dla którego widownią ma być całe miasto. W jego pozornym szaleństwie jest ukryty cel – i jedynie Bennett umie go dostrzec...

JAMES PATTERSON

Czołowy amerykański autor powieści sensacyjnych i młodzieżowych, według rankingu „Forbesa” najlepiej zarabiający pisarz świata. W swoim dorobku ma prawie 100 książek w kilku cyklach wydawniczych, m.in. **Alex Cross** (21 tytułów z czarnoskórym detektywem Alexem Crossem; 3 tytuły sfilmowane), **Kobiety Klub Zbrodni** (12 tytułów; w latach 2007-2008 serial telewizyjny produkowany przez 20th Century Fox), **Michael Bennett** (6 tytułów) oraz **Daniel X** i *Witch & Wizard* (seria dla młodzieży). Patterson jest liderem światowych statystyk sprzedaży; łącznie sprzedano ponad 220 milionów egzemplarzy jego powieści.

www.jamespatterson.com

MICHAEL LEDWIDGE

Pisarz amerykański, autor kilkunastu powieści sensacyjnych, m.in. *Before the Devil Knows You're Dead* oraz (z Jamesem Pattersonem) **Negocjator**, **Szybki numer**, **Terror na Manhattanie**, **Najgorsza sprawa**, **Kłamstwo doskonałe**, **Zoo**, *I*, *Michael Bennett* i *Gone*.

Tego autora

DOM PRZY PLAŻY
DROGA PRZY PLAŻY
KRZYŻOWIEC
MIESIĄC MIODOWY
RATOWNIK
SĘDZIA I KAT
SZYBKI NUMER
OSTRZEŻENIE
BIKINI
REJS
POCZTÓWKOWI ZABÓJCY
(z Lizą Marklund)
KŁAMSTWO DOSKONAŁE
WYCOFAJ SIĘ ALBO ZGINIESZ
ZOO
DRUGI MIESIĄC MIODOWY

Alex Cross

W SIECI PAJĄKA
KOLEKCJONER
JACK I JILL
FIOŁKI SĄ NIEBIESKIE
CZTERY ŚLEPE MYSZKI
WIELKI ZŁY WILK
NA SZLAKU TERRORU
MARY, MARY
ALEX CROSS
PODWÓJNA GRA
TROPICIEL
PROCES ALEXA CROSSA
GRA W KOTKA I MYSZKĘ
JA, ALEX CROSS

W KRZYŻOWYM OGNIU
ZABIĆ ALEXA CROSSA
CEL: ALEX CROSS
BOŻE NARODZENIE ALEXA CROSSA

Kobiocy Klub Zbrodni

TRZY OBLICZA ZEMSTY
CZWARTY LIPCA
PIĄTY JEŹDZIEC APOKALIPSY
SZÓSTY CEL
SIÓDME NIEBO
ÓSMA SPOWIEDŹ
DZIEWIĄTY WYROK

Private

DETEKTYWI Z PRIVATE
DETEKTYWI Z PRIVATE: IGRZYSKA

Michael Bennett

NEGOCJATOR
TERROR NA MANHATTANIE
NAJGORSZA SPRAWA

Tytuł oryginału:
WORST CASE

Copyright © James Patterson 2010
All rights reserved

Published by arrangement with Little, Brown and Co. Inc., New York, USA

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2013

Polish translation copyright © Magdalena Bugajska 2013

Redakcja: Piotr Chojnacki

Ilustracja na okładce: BortN66/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7885-187-5

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](http://www.virtualo.pl)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

[O książce](#)

[O autorach](#)

[Tego autora](#)

[Dedykacja](#)

[Prolog Dacie szansę pokojowi... albo...](#)

[Część pierwsza Z prochu w proch](#)

[Część druga Egzamin końcowy](#)

[Część trzecia Znak krzyża](#)

[Część czwarta Kwestia dobroczynności](#)

[Przypisy](#)

*Dla Susan Maloney, Sue
Najork, Marlene Stang i Kary
Tangredi
J.P.*

*Dla Mary Ann O'Donnell, najlepszego doradcy na świecie.
Szczególne podziękowania należą się „Wujkowi”
Edowi Kelly'emu i sędziemu Joemu Lenowi*

M.L.

Prolog
Dacie szansę pokojowi...
albo...

1

Przysadzisty, szpakowaty mężczyzna czuł się lekko oszołomiony, gdy po przejściu pod marmurowym łukiem znalazł się w Washington Square Park. Położył na ziemi plecak, zdjął okrągłe okulary i osuszył łzy rękawem swojej starej dżinsowej kurtki.

Nie spodziewał się, że tak się rozklei. Mój Boże, pomyślał, wycierając szorstką, pomarszczoną twarz. Teraz wiedział, jak czuli się weterani wojny w Wietnamie, kiedy widzieli swój waszyngtoński pomnik. Jeśli weterani antywojennego ruchu mieli swój pomnik – Ścianę Łez – to właśnie tutaj. To tutaj, w Washington Square Park, wszystko się zaczęło.

Patrząc przed siebie na wietrzny park, przypomniał sobie wszystkie niesamowite rzeczy, które miały tu miejsce. Antywojenne demonstracje. Bob Dylan w piwnicznych klubach przy Czwartej Ulicy śpiewający o tym, w którą stronę wieje wiatr. Oświetlone blaskiem świec twarze jego starych przyjaciół, gdy podawali sobie butelki i jointy. Wypowiadane szeptem obietnice, że zmienią świat, że uczynią go lepszym.

Spojrzał na piątkowy, popołudniowy tłum przy głównej fontannie, na ludzi pochylonych nad stołami z szachownicami, tak jakby spodziewał się zobaczyć jakąś znajomą twarz. Ale przecież to niemożliwe, prawda? – pomyślał i wzruszył ramionami. Wszyscy poszli naprzód, podobnie jak on. Dorośli. Sprzedali się. Albo byli w podziemiu. W przenośni. Dosłownie.

Tamte czasy, jego czasy, już niemal całkowicie wyblakły, minęły i zniknęły.

Niemal, pomyślał, gdy klęknął i wyjął pudełko z ulotkami z plecaka.

Ale nie całkowicie.

Na każdej z pięciuset kartek znajdowały się trzy akapity tekstu zatytułowanego MIŁOŚĆ MOŻE ZMIENIĆ ŚWIAT.

Kto powiedział, że nie można iść do domu? – pomyślał. Kiedy układał kartki, do głowy przyszły mu słowa Keitha Richardsa.

„Mam dla was wiadomość. Nadal jesteśmy bandą twardych drani. Powieście nas, a my i tak nie zginiemy”.

Ty to powiedziałeś, Keith, pomyślał i zachichotał. Święte słowa, bracie. Ty i ja.

W ostatnich miesiącach coraz częściej wspominał lata swojej młodości. Jedyny okres w życiu, gdy czuł, że naprawdę coś znaczy, że zmienia świat na lepsze.

Czy powrót do tego teraz, po tylu latach, był kryzysem wieku średniego? Może. Nie obchodziło go to. Postanowił, że znów chce się tak poczuć. Zwłaszcza w świetle niedawnych wydarzeń. Świat był teraz w jeszcze większych tarapatach niż wtedy, gdy walczył o niego ze swoimi przyjaciółmi. Nadeszła pora, by znów to zrobić. Musiał znów obudzić ludzi, zanim będzie za późno.

Dlatego teraz tu stał. Już raz się udało. W końcu przerwali wojnę. Może znów się uda. Nawet jeśli dzisiaj był o wiele starszy, jeszcze przecież nie umarł. W żadnym razie.

Polizał kciuk i wziął pierwszą kartkę z kupki. Uśmiechnął się na wspomnienie niezliczonej ilości ulotek, które rozdał w Berkeley i Seattle oraz w Chicago w 1968 roku. Był tu znowu po tylu latach. Niesamowite. Życie jest zwariowane. Znów siedział w siodle.

2

– Cześć. – Podał ulotkę młodej ciemnoskórej kobiecie ze spacerowym wózkiem. Uśmiechnął się do niej, nawiązując kontakt wzrokowy. Zawsze był dobry w kontaktach z ludźmi.

– Mam informacje, z którymi powinna się pani zapoznać. Jeśli to dla pani nie kłopot. Dotyczą, no cóż, w zasadzie wszystkiego.

– Dajcie mi spokój z tymi głupotami, do cholery – powiedziała z zaskakującą gwałtownością i niemal wytrąciła mu kartkę z dłoni.

Muszę być przygotowany na takie reakcje, pomyślał i skinął głową. Do niektórych ludzi ciężko dotrzeć. To nieuchronne. Niezmieszany natychmiast podszedł do grupki nastolatków, którzy jeździli na deskorolkach przy pomniku Garibaldiego.

– Dzień dobry, chłopaki. Mam tu przekaz, z którym chciałbym się z wami podzielić. Zajmie to tylko chwilkę.

Jeśli interesuje was obecna sytuacja i nasza przyszłość, myślę, że powinniście się nad tym zastanowić.

Skołowani, wpatrywali się w niego. Z zaskoczeniem zauważył, że z bliska widać im zmarszczki wokół oczu. Nie byli nastolatkami. Musieli mieć około trzydziestki. Wyglądali groźnie, a nawet wrednie.

– Jasna cholera! To sam John Lennon! – powiedział jeden z nich. – Myślałem, że ktoś cię zastrzelił. A gdzie Yoko? Kiedy znów zejdziecie się z Paulem?

Reszta mężczyzn wybuchła nieprzyjemnym śmiechem.

Co za dupki, pomyślał i natychmiast ruszył w kierunku głównej fontanny, obok której występował uliczny komik. Tak, losy naszego świata były jednym wielkim żartem. Nie będzie się przejmował tą bandą idiotów. Musiał po prostu dotrzeć do właściwej osoby i sprawy same się potoczą. Nieustępliwość była kluczem do sukcesu.

Kiedy podchodził do ludzi, odwracali wzrok. Ani jedna osoba nie wzięła od

niego ulotki. O co, do cholery, chodzi? – zastanawiał się.

Piętnaście bezowocnych minut później drobna kobieta, która przechodziła obok, wzięła od niego ulotkę. Wreszcie, pomyślał. Uśmiech na jego twarzy zastygł jednak, gdy kobieta zgmiotła ją i rzuciła na chodnik. Pobiegł za nią i zanim się przy niej znalazł, podniósł zmiętą kartkę z ziemi.

– Mogła pani przynajmniej poczekać, aż zniknie mi z oczu – powiedział. – Musiała też pani naśmiecić, prawda?

– Przepraszam...? – spytała kobieta, wyjmując z uszu białe słuchawki od iPod'a. Nie usłyszała tego, co do niej mówił. Czy wszyscy młodzi ludzie w dzisiejszych czasach byli jacyś upośledzeni? Czy nie widzieli, dokąd to wszystko zmierza? Czy naprawdę ich to nie obchodziło?

– Och, oczywiście – mruknął pod nosem, gdy zaczęła odchodzić. – Na pewno przepraszasz. Powinnaś przeprosić ludzkość za swoje istnienie.

Stał jak wryty, gdy wrócił do wejścia do parku. Ktoś kopnął stosik ulotek i większość z nich niesiona wiatrem przelatowała pod łukiem, nad chodnikiem w kierunku Piątej Alei.

Wybiegł z parku i chwilę je gonił. Wreszcie stanął. Czuł się idiotycznie i był całkowicie wyczerpany, gdy usiadł na krawężniku między dwoma zaparkowanymi samochodami.

Ukrył twarz w dłoniach i zaczął łkać. Płakał przez dwadzieścia minut, słuchając wiatru i obserwując niekończący się sznur aut.

Ulotki? – pomyślał, pociągając nosem. Myślał, że może zmienić świat dzięki kartce papieru i zatroskanej minie? Spojrzał na starą dzinsową kurtkę, którą wyjął z dna szafy. Był taki dumny, że nadal na niego pasuje. Naprawdę był skończonym głupcem.

Tylko jedna rzecz mogła sprawić, że ludzie zaczną słuchać i wreszcie otworzą oczy.

Dobrze, niech będzie to ta jedna rzecz.

Jedna rzecz.

Pokiwał głową i wreszcie się w sobie zebrał. Nie będzie nikogo prosił o pomoc. Musi sam to zrobić. Dobrze. Koniec z tym nonsensem. Zegar tyka. Nie ma chwili do stracenia.

Zorientował się, że nadal trzyma wymiętą ulotkę. Wyprostował ją na zimnym chodniku, wyjął długopis i naniósł kluczową poprawkę. Załopotana jak rozwijająca się flaga, kiedy pozwolił, by wiatr porwał mu ją z dłoni.

Barczysty mężczyzna z siwiejącymi włosami otarł łzy, kiedy kartka, na której coś napisał, zatrzymała się na słupie latarni za jego plecami.

Słowo MIŁOŚĆ w tytule zostało wykreślone. Na tle szarego nieba widniał teraz napis

KREW MOŻE ZMIENIĆ ŚWIAT!

Rozdział 1

Leżąc związany w ciemnościach, Jacob Dunning myślał o wszystkim, co byłby teraz w stanie oddać za możliwość wzięcia prysznicza.

Wszystkie swoje materialne dobra? Pewnie. Jeden z palców u nogi? Od razu. Jeden z palców u ręki? Hm, zaczął się zastanawiać. Czy naprawdę potrzebował małego palca lewej dłoni?

Niezidentyfikowany brud pokrywał jego policzek, włosy. Ten przystojny student pierwszego roku o brązowych włosach miał na sobie tylko koszulkę z logo New York University i bokserki, i leżał w ciasnym pomieszczeniu na brudnej betonowej posadzce.

Z oddali dochodziły odgłosy miasta. Miał zasłonięte oczy, a ręce przykute kajdankami do rury znajdującej się za nim. Knebel zawiązany był mocnym supełem na wgłębieniu przy podstawie czaszki.

Wklęśnięcie to po łacinie nazywało się *foramen magnum*, wiedział to. W tym miejscu rdzeń kręgowy przechodzi w czaszkę. Jacob dowiedział się tego jakiś miesiąc wcześniej podczas zajęć z anatomii. New York University był pierwszym etapem w realizacji marzenia życia – zostania lekarzem. Jego ojciec miał wydanie *Anatomii* Graya z 1862 roku w swoim gabinecie, a Jacob od dzieciństwa uwielbiał przeglądać tę książkę. Klękał w wielkim, miękkim fotelu i z brodą opartą na dłoniach spędzał godziny, wpatrując się w eleganckie, fascynujące szkice, topografię ludzkiego ciała z miejscami o nazwach jak dalekie krainy, mapy skarbów.

Jacob zaczął płakać, gdy wróciły do niego te bezpieczne, szczęśliwe wspomnienia. Kropla ciepłej wody skapnęła mu na kark i pociekła w dół pleców. Uczucie swędzenia było nie do zniesienia. Jeśli wkrótce nie wstanie, nabawi się obtarc. Odleżyny, bakterie gronkowca, choroby.

Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, było wyjście z baru Conrad's w Alphabet City, gdzie nie zwracano uwagi na fałszywe dowody osobiste, jakimi posługiwali się

studenci. Po straszliwie długich zajęciach w laboratorium chemicznym próbował poderwać Heli, oszałamiającą Finkę, z którą studiował. Po piątym mojito zaczął mu się jednak plątać język. Stwierdził, że ma dość, kiedy zauważył, że dziewczyna chętniej rozmawia z barmanem, który wyglądał jak model.

Film urwał mu się w chwili, gdy wyszedł na zewnątrz. Nie mógł sobie przypomnieć, jak znalazł się tutaj.

Po raz milionowy próbował wymyślić scenariusz, w którym wszystko dobrze się kończy. W jego ulubionym okazywało się, że to dowcip studentów starszych lat. Banda facetów z bractwa pomyliła go z jakimś innym pierwszorzocznikiem i padł pewnie ofiarą pokręconych otrzęsin.

Zaczął szlochać. Gdzie są jego ubrania? Po co ktoś zabrał mu dzinsy, skarpetki i buty? Scenariusze w jego głowie stały się zbyt czarne, żeby znaleźć jakąś jaśniejszą stronę. Nie mógł się oszukiwać. Tkwił w najgorszym gównie, w jakim kiedykolwiek się znalazł.

Zaczął walić głową w rurę, do której był przykuty, gdy usłyszał hałas. W oddali trzasnęły drzwi. Serce zaczęło mu mocniej bić. Oddech zdawał się nie wiedzieć, czy chce wyrwać się na zewnątrz, czy dostać do środka.

Niemal dostał konwulsji, kiedy usłyszał brzęk i miarowe, zbliżające się kroki. Nagle pomyślał o złotej rączce, pracującym w budynku, w którym mieszkali jego rodzice, i o wesołym pobrzękiwaniu pęku kluczy odbijających się od jego biodra. Chudy pan Durkin, który zawsze miał w dłoni jakieś narzędzie. Nadzieja dodawała mu odwagi. Nadchodzi przyjaciel, przekonywał się. Ktoś, kto go ocali.

– Pomocy! – Jacob próbował krzyczeć z kneblem w ustach.

Kroki ustały. Usłyszał dźwięk otwieranego zamka i poczuł chłodny powiew na twarzy. Ktoś wyjął mu knebel.

– Dziękuję! Och, dziękuję! Nie wiem, co się wydarzyło. Ja...

Jacob stracił dech, gdy coś bardzo twardego uderzyło go w brzuch. Dostał kopniaka butem z metalowym okuciem i wydawało mu się, że żołądek przebił mu się przez kręgosłup.

O Boże, pomyślał Jacob, krztusząc się z głową na brudnej, kamiennej posadzce. Dobry Boże, proszę pomóż mi.

Rozdział 2

Ktoś odpiął Jacobowi kajdanki, ciągnął go przez jakieś dwadzieścia kroków, a następnie pchnął na krzesło z twardym oparciem. Światło oślepiło chłopaka, gdy zdjęto mu opaskę z oczu, a ręce znów zostały zakute w kajdanki za jego plecami.

Siedział w szkolnej ławce w dużym pomieszczeniu bez okien. Przed nim znajdowała się staromodna czarna tablica, na której nic nie było napisane. Za sobą czuł chłodną obecność osoby, przez którą włosy na karku stanęły mu dęba.

Jacob łkał po cichu, gdy rozległ się dźwięk odpalanej zapalniczki. Lekko ostry zapach tytoniu wypełnił powietrze.

– Dzień dobry, panie Dunning – odezwał się głos.

Głos należał do mężczyzny i brzmiał całkowicie normalnie. To był głos człowieka wykształconego. Jacobowi przypomniał się lubiany przez wszystkich nauczyciel ze szkoły Horace Mann, pan Manducci.

Chwila, a może to był pan Manducci. Zawsze wydawał się pozostawać trochę w zbyt przyjacielskich relacjach z niektórymi uczniami. Czy to może być porwanie? Ojciec Jacoba, prezes w dużej firmie, był niezwykle bogaty.

Jacob poczuł, jak uczucie ulgi niemal paruje z porów jego skóry. W tej chwili gotowy był ucieszyć się z porwania. Okup nie będzie problemem i zostanie wypuszczony. Pasowało mu to. Proszę, niech to będzie porwanie, zaczął myśleć.

– Proszę pana, moja rodzina ma dużo pieniędzy – powiedział Jacob, bardzo starając się ukryć przerażenie w swoim głosie. Nie udało mu się to jednak.

– Owszem, ma – odezwał się miły głos. Mógłby należeć do prezentera ze stacji radiowej nadającej muzykę poważną. – W tym właśnie tkwi problem. Mają za dużo pieniędzy i za mało zdrowego rozsądku. Mają mercedesa, bentleya, no i priusa. Ekolodzy pełną gębą. Możesz podziękować ich hipokryzji za to, że się tutaj znalazłeś. Na twoje nieszczęście twój ojciec zapomniał, co mówi Księga Wyjścia, rozdział dwudziesty, wers piąty: „Ja Pan, twój Bóg, jestem Bogiem zazdrosnym, który karze występki ojców na synach”¹.

Jacob zadrżał nagle na twardym krześle, gdy stalowa lufa pistoletu lekko dotknęła jego prawego policzka.

– Teraz zadam ci kilka pytań – zapowiedział porywacz. – Twoje odpowiedzi są bardzo, bardzo ważne. Słyszałeś o zaliczeniu i oblaniu, prawda?

Lufa mocno wbiła się w twarz Jacoba, a kurek odbezpieczający gwałtownie pstryknął.

– Z testu, do którego podchodzisz, możesz dostać zaliczenie albo śmierć. Dobrze, pytanie pierwsze: Jak nazywała się twoja niania?

Kto? Moja niania? Jacob zaczął się zastanawiać. O co tu, do cholery, chodzi?

– R-R-Rosa? – odpowiedział.

– Zgadza się. Rosa. Na razie całkiem nieźle ci idzie, panie Dunning, a teraz powiedz mi, jak miała na nazwisko.

O cholera, pomyślał Jacob. Abando? Abrado? Coś w tym stylu. Nie wiedział. Słodka, głupiutka kobieta, z którą bawił się w chowanego. Która karmiła go, gdy wracał ze szkoły. Rosa, która przyciskała swój ciepły policzek do jego, gdy pomagała mu zdmuchnąć świece z urodzinowego tortu. Jak mógł nie znać jej nazwiska?

– Czas minął – rzucił mężczyzna niczym w teleturnieju.

– Abrado? – zapytał Jacob.

– Nie byłeś nawet blisko – odpowiedział zde gustowany porywacz. – Nazywała się Rosalita Chavarria. Była osobą, wiesz? Miała imię i nazwisko. Tak jak ty. Była człowiekiem z krwi i kości. Tak jak ty. Czy wiesz, że w zeszłym roku zmarła? Rok po tym, jak twoi rodzice zwolnili ją z pracy, ponieważ zaczęła zapominać o różnych rzeczach, wróciła do swojej ojczyzny. A to prowadzi nas do kolejnego pytania:

Skąd pochodziła Rosa?

Skąd, do cholery, ten facet wiedział o zwolnieniu Rosy z pracy? Kto to jest? Jej znajomy? Nie brzmiał jak Latynos.

O co w tym wszystkim chodzi?

– Z Nikaragui? – strzelił Jacob.

– Błąd. Pochodziła z Hondurasu. Miesiąc po tym, jak wróciła do jednopokojowej rudery należącej do jej siostry, musiała poddać się histerektomii. W podrzędnym szpitalu na przedmieściach Tegucigalpy przeszła transfuzję krwi, przez którą zarażono ją wirusem HIV. Honduras ma najwyższy odsetek chorych na AIDS na zachodniej półkuli. Wiedziałaś o tym? Na pewno. A teraz pytanie numer cztery: Ile

przeciętnie żyje osoba zarażona wirusem HIV w Hondurasie? Podpowiem ci. O wiele mniej niż piętnaście lat, które takie osoby mogą przeżyć w naszym kraju.

Jacob Dunning zaczął płakać.

– Nie wiem. Skąd miałbym to wiedzieć? Proszę.

– To nie wystarczy, Jacobie – powiedział mężczyzna, boleśnie wbijając łufę w jego zęby. – Być może nie wyrażam się wystarczająco jasno. Na tej lekcji nie będzie piątki za studiowanie na uniwersytecie Ivy League. Nie dostaniesz korepetytora ani żadnego innego wsparcia, które pomogłoby ci dostać lepszą ocenę. Nie możesz ściągać, a ocena jest ostateczna. Całe życie uczyłeś się do tego jedynego sprawdzianu, ale odnoszę wrażenie, że się obijałeś. Na twoim miejscu zacząłbym się mocno głowić. Długość życia z wirusem HIV w Hondurasie! Odpowiadaj!

Rozdział 3

W tę niedzielę około południa w sali gimnastycznej szkoły Holy Name trwało „marcowe szaleństwo”² w wykonaniu drużyn z katolickich podstawówek. Ogłuszający odgłos odbijających się piłek, wrzaski cheerleaderek i krzyki dzieciaków pobudzonych cukrem i jeżdżących na rolkach po lakierowanej, drewnianej podłodze wznosił się aż pod krokwie z rzeźbionymi aniołami.

Było nie tylko głośno, ale także gorąco, tłoczno, a w powietrzu unosił się kurz. Nie mógłbym być szczęśliwszy.

Znalazłem się tam, gdzie zawsze, kiedy pojawia się chaos – w samym środku zamieszania. Z gwizdkiem powieszonym na szyi stałem na parkiecie, obserwując rzuty z dwutaktu i przekazywałem uwagi, gdy nasza drużyna juniorów, buldogów z Holy Name, rozgrzewała się przed meczem. Nasi przeciwnicy ze szkoły St. Ann przy Trzeciej Alei robili to samo na drugim końcu boiska.

Ponieważ jeden z moich synów, Ricky, grał w reprezentacji szkoły, a drugi, Eddie, w drużynie juniorów, jakoś bezwiednie zgodziłem się, kiedy dyrektorka, siostra Sheilah, zapytała, czy zastąpię ich trenera. Początkowo byłem niechętny. Jak to? Samotny ojciec z dziesiątką dzieciaków? Jakbym nie miał wystarczająco dużo do roboty. Siostra Sheilah potrafiła podejść takich jak ja.

Okazało się, że bycie trenerem – ćwiczenia z piłką, kreślenie strategii na tablicy, a nawet składanie krzeseł po meczu – naprawdę sprawia mi frajdę. Nie wiem, czy któryś z moich buldogów miał w przyszłości trafić do NBA, ale obserwowanie, jak zdobywają wiarę w siebie i jak z bandy indywidualistów stają się spójną drużyną, było niezwykle i na pewno mógłbym wymyślić gorsze zajęcia na niedzielne popołudnia.

Tuż przed meczem tłum zrobił się tak głośny, że ledwo usłyszałem telefon dzwoniący na moim biodrze. Nie rozpoznałem numeru jako służbowego, ale to nic nie znaczyło. W moim nowym oddziale byliśmy na zmianę w gotowości podczas weekendów. Zgadnijcie, czyja kolej przypadała w ten weekend?

– Bennett – krzyknąłem w słuchawkę.

– Mike, tu Carol. Carol Fleming.

Cholera, pomyślałem, zamykając oczy. Wiedziałem. Carol była moją nową szefową. Cóż, tak naprawdę nową szefową mojego szefa. Naczelnik Carol Fleming. Była dowódcą Oddziału Dochodzeń Specjalnych nowojorskiej policji, co robiłoby wrażenie, nawet gdyby nie była pierwszą kobietą na tym stanowisku.

W styczniu przeniesiono mnie z wydziału zabójstw na północnym Manhattanie do głównego oddziału, którym dowodziła. Mimo że wolałem wydział zabójstw, musiałem przyznać, że praca w sekcji zajmującej się napadami na bank, kradzieżami dzieł sztuki i porwaniami nie była nudna.

– O co chodzi, szefie? – zapytałem.

– Mamy prawdopodobnie porwanie w śródmieściu. Musisz zobaczyć się z April Dunning przy Zachodniej Siedemdziesiątej Drugiej numer jeden, apartament dziesięć B. Wygląda na to, że zaginął jej syn, Jacob. Jego ojciec, Donald Dunning, jest założycielem i prezesem...

– Latvium and Company, międzynarodowej firmy farmaceutycznej – dokończyłem za nią. – Słyszałem o nim.

Czytałem o nim w magazynie „Forbes” w poczekalni u dentysty moich dzieciaków. Dunning był miliarderem, który grywał w golfa z burmistrzem. Wiedziałem już, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Ile lat ma jego dzieciak?

– Osiemnaście – odpowiedziała.

– Osiemnaście? – powtórzyłem. – Jacob nie zaginął. Ma osiemnaście lat.

– Wiem, jak to brzmi, Mike. Dobrze ustawiona rodzina poszukuje swojego imprezowego synalka. Być może, ale i tak chcę, żebyś to sprawdził. Odezwij się, jak tylko będziesz coś wiedział.

Rozłączyłem się, a potem zapisałem godzinę i adres na odwrocie kartki z listą zawodników. Szukać cudzego dzieciaka? –pomyślałem. Miałem wystarczająco duży kłopot z utrzymaniem w ryzach swoich własnych. Zamachałem do Seamusa, który z furią wygwizdywał gracza z St. Ann’s, zdobywcę rzutu za trzy punkty.

– Wchodzę, trenerze? – spytał ze swoim silnym, irlandzkim akcentem mój przemądrzały dziadek ksiądz. – Ciągłe ci powtarzam, że jeszcze mam to w sobie.

Potrząsnąłem głową.

– Posłuchaj, monsignore, muszę coś sprawdzić. Mam nadzieję, że szybko się

uwinę. Zastąp mnie, dopóki nie wrócę. Albo lepiej po prostu tu stój i nic nie mów ani nie rób. Proszę.

– Nareszcie – powiedział Seamus z radością, wrywając mi z rąk notatnik i podwijając rękawy czarnej koszuli. – Może tym razem uda się wygrać.

Rozdział 4

Przy Zachodniej Siedemdziesiątej Drugiej numer i stał budynek Dakota, słynna kamienica w pseudogotyckim stylu, w której mieszkał John Lennon, zanim został zastrzelony przed jej wejściem. Również tutaj mieszkała kobieta, która urodziła diabła w *Dziecku Rosemary*, o czym sobie radośnie przypominałem. Tego popołudnia pojawiały się same dobre znaki.

Minąłem budynek i zostawiłem samochód na następnym rogu przy Columbus, a potem wróciłem pieszo wzdłuż Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy. Jeśli, co mało prawdopodobne, było to jednak porwanie, dom mógł być obserwowany. Zdecydowanie nie chciałem, żeby się wydało, że rodzina skontaktowała się z policją.

Przeszedłem przez kutą bramę wejściową Dakoty. To właśnie przy zwieńczonym łukiem wejściu Chapman zamordował eksbeatlesa, strzelając mu w plecy, zanim Lennon zdążył wejść do holu po kilku schodach znajdujących się po prawej stronie. Budynek stał się miejscem często odwiedzanym przez turystów. Yoko, która nadal tu mieszka, musi być zachwycona, kiedy obserwuje ludzi szukających śladów po kulach.

Ciężkie, okute mosiądzem drzwi otworzyły się, gdy wszedłem po schodach. Korpulentny portier azjatyckiego pochodzenia, w zielonym garniturze, płaszczu i czapce stał obok tabliczki:

WSZYSCY GOŚCIE MUSZĄ BYĆ ZAPOWIEDZIANI

– Przeszedłem do państwa Dunningów – powiedziałem, dyskretnie pokazując mu odznakę.

Gdy zostałem zaanonsowany, pojawił się kolejny, starszy portier, który poprowadził mnie przez hol. Ściany pokryte były najciemniejszą mahoniową boazerią, jaką kiedykolwiek widziałem. Ogromny żyrandol i mosiężne kinkiety rzuciły miękkie światło na niezwykle sztukaterie na suficie i białą podłogę

z trawertynu.

Portier przekazał mnie windziarzowi. Na górze drobny lokaj skinieniem dłoni wskazał mi otwarte drzwi do apartamentu 10B.

Przez niezwykle wysokie przeszklone drzwi widziałem mieszkanie Dunningów na przestrzał, aż do Central Parku. Ogromne pokoje miały klasyczny, amfiladowy układ, dzięki czemu każde pomieszczenie miało więcej niż jedno wejście, umożliwiając gościom uniknięcie służby. Podłogi, podobnie jak boazeria na ścianach, zrobione były z mahoniu kubańskiego. Położone były w jodełkę z obramówką czarnego orzecha.

Atrakcyjna, czarnowłosa kobieta szła w moim kierunku szybkim krokiem przez długi korytarz apartamentu. Miała na sobie wymiętą granatową suknię wieczorową i nawet z większej odległości na jej twarzy widać było ból. Moja irytacja spowodowana niespodziewanym wezwaniem na służbę zniknęła i poczułem wielkie współczucie. Nawet w tym eleganckim ubraniu i stylowej scenerii była zwykłą, zamartwiającą się mamą.

– Dzięki Bogu, już pan jest. Detektyw Bennett, prawda? – powiedziała z angielskim akcentem. – Chodzi o mojego syna Jacoba. Coś mu się stało.

– Jestem tu, żeby pomóc go pani odnaleźć – odparłem, próbując dodać jej otuchy, i wyjąłem notatnik. – Kiedy ostatni raz widziała się pani albo rozmawiała z Jacobem?

– Rozmawiałam z nim trzy dni temu. Jacob mieszka na terenie uczelni. Studiuje na New York University. Ma pokój w akademiku Hayden Hall obok Washington Square Park. Mój mąż nadal tam jest razem z moim ojcem. Rozmawiali z jego przyjaciółmi i nikt nie widział go od piątku. Ani jego współlokator, ani nikt inny.

Może poznał jakąś fajną dziewczynę, chciałem jej powiedzieć.

– To, że nie widziało się kogoś przez kilka dni, nie musi oznaczać, że stało się coś złego, pani Dunning. Czy istnieje jakiś powód, dla którego przypuszcza pani, że coś mogło mu się stać?

– Wczoraj z mężem obchodziliśmy w Le Cirque dwudziestą piątą rocznicę ślubu. Od miesięcy planowaliśmy to wydarzenie z Jacobem. Specjalnie z tej okazji dziadek Jacoba przyleciał z Bordeaux. Jacob nie chciałby przegapić takiej okazji. Jest naszym jedynym dzieckiem. Nie rozumie pan, jak jesteśmy sobie bliscy. Nie zrezygnowałby z naszego wyjątkowego wieczoru ani z rzadkiej okazji spotkania z dziadkiem.

Zaczynałem rozumieć, dlaczego tak się martwiła. Sytuacja, o której mówiła,

naprawdę wydawała się dziwna.

– Czy mówił coś, kiedy ostatni raz z nim pani rozmawiała? Coś dziwnego? Może poznał kogoś nowego albo...

W tym momencie zadzwonił telefon stojący obok niej na staroświeckim kredensie. Przerazona spojrzała na numer, który się wyświetlił, a potem na mnie, podczas gdy telefon nie przestawał dzwonić.

– Nie znam tego numeru – powiedziała, a w jej głosie słychać było panikę. – Nie znam tego numeru!

– Wszystko w porządku – starałem się ją uspokoić. Zanotowałem numer i pozwoliłem, żeby odezwały się we mnie instynkty.

– Posłuchaj, April. Spójrz na mnie. Jeśli to ktoś, kto ma coś wspólnego ze zniknięciem Jacoba, chociaż nie sądzę, że tak właśnie jest, musisz zapytać, co dokładnie masz zrobić, żeby odzyskać syna, dobrze? A jeśli czujesz się na siłach, poproś, żeby dali ci do telefonu Jacoba.

Po policzkach płynęły jej łzy, gdy telefon znów zadzwonił. Otarła je trzęsącą się zaciśniętą dłonią, zanim podniosła słuchawkę. Słuchałem rozmowy na drugim aparacie w gabinecie obok. Kiedy podniosłem słuchawkę, uruchomiłem nagrywanie na automatycznej sekretarce.

– Tak? Mówi April Dunning.

– Mam Jacoba – rozległ się dziwnie spokojny głos. – Posłuchaj.

Słychać było kliknięcie i szum, a potem coś, co brzmiało jak nagranie.

„Pytanie numer dziewięć: Jeśli urodziłbyś się w Sudanie, jakie miałbyś szanse dożycia do czterdziestki? I co to ma wspólnego z twoim ślicznym, czerwonym iPodem nano?”

– Nie wiem – załkał młody mężczyzna. – Przestań. Proszę, przestań”.

Nagranie zostało wyłączone.

– Za trzy godziny otrzymacie instrukcje – odezwał się spokojny głos. – Postępujcie dokładnie według nich albo nigdy nie zobaczycie już swojego syna żywego. Żadnej policji. Żadnego FBI.

Połączenie zostało przerwane. Kiedy odkładałem słuchawkę, usłyszałem hałas dochodzący z korytarza. Pani Dunning zanosila się płaczem, klęcząc na podłodze.

– To Jacob – jęknęła. – Ten drań ma mojego Jacoba.

Kamerdyner pojawił się przy niej chwilę przede mną i pomógł jej usiąść w fotelu.

Wybrałem numer szefowej. Nie do wiary. To naprawdę było porwanie. Nie

mieliśmy ani chwili do stracenia. Musieliśmy się spieszyć, jeśli wszystkie nasze ekipy miały być gotowe za trzy godziny. Będzie ciężko.

Wyjrzałem przez okno. W dole, przy Central Park West, z autokaru wysiadała grupa turystów. Sprawdzali swoje aparaty, gdy zaczęli tłoczyć się przy Strawberry Fields, fragmencie parku poświęconym Johnowi Lennonowi. Sygnał w telefonie wydawał się niemiłosiernie dłużyć, podczas gdy płacz pani Dunning niósł się po pomieszczeniach z wysokim sufitem.

– No dalej – powiedziałem do siebie sfrustrowany. – Odbierz.

Rozdział 5

Agentka specjalna FBI Emily Parker przyleciała na lotnisko Teterboro prywatnym odrzutowcem i spieszyła teraz z pochyloną rudą głową przez parking Enterprise, firmy wynajmującej samochody przy szosie 46 w stanie New Jersey. Zatrzymała się na moment i spojrzała na pas, w kierunku lśniącego samolotu Gulfstream G300, z którego przed chwilą wysiadła.

Uruchomiła silnik wynajętego buicka lesabre i spojrzała na zegarek. Dochodziła trzecia. Jej szef zadzwonił do niej o wpół do pierwszej, gdy była w swoim domu pod Manassas w stanie Wirginia. Przebycie ponad czterystu kilometrów zajęło jej mniej niż dwie godziny.

To dopiero pilna robota, pomyślała. Była przyzwyczajona do takiego tempa, ponieważ od dwóch lat stała na czele północnowschodniego oddziału CARD, czyli Child Abduction Rapid Deployment³.

„Zastępca dyrektora poprosił, żebym przysłał swojego najlepszego pracownika, Emily – powiedział jej John Murphy, agent specjalny odpowiedzialny za The National Center for the Analysis of Violent Crime⁴. – Zgadnij, na kogo padło. Na ciebie”.

Nie dowiedziała się wiele o sprawie. Tylko tyle, że miała wspomóc nowojorską policję w sprawie porwania jakiegoś dzieciaka, Jacoba Dunninga. Ojciec Jacoba, Donald Dunning, wysłał po nią swój samolot, co było bardzo dalekie od zwykłych procedur stosowanych w takich przypadkach.

Zaczęła się zastanawiać, do jakiego specjalnego zadania została zaangażowana.

Gdy wyjechała z parkingu, wybrała numer w telefonie. Jej brat, Tom, odebrał komórkę po drugim sygnale.

– Właśnie doleciałam – powiedziała. – Jak ona to znosi?

– Wszystko w porządku. Otworzyliśmy stoisko z lemoniadą na podjeździe. To takie urocze, że robicie tak co niedziela.

– Mała kłamczucha – krzyknęła Emily. – Stoisko z lemoniadą? Przy ulicy? Och,

to cała ona. Już owinęła sobie ciebie wokół paluszka. W zeszłym tygodniu jej odmówiłam. A co z ruchem na ulicy? Jesteś tam z nią? Teraz też? Kto jej pilnuje?

– Oczywiście, że jestem przy niej, Em. Co ty sobie myślisz? Że rozmawiam z tobą, siedząc w barze? – odparł jej brat. – Ja i Olive nie odstępujemy się na krok.

Tom dostał pracę w firmie zbrojeniowej w Bethesda, po tym jak miesiąc temu skończył służbę w piechocie morskiej. Miał zacząć w przyszłym tygodniu. Wynajęcie mu mieszkania w piwnicy jej dwupoziomowego domu okazało się genialnym pomysłem dla obojga, a ona zyskała stałego opiekuna do dziecka. Emily uśmiechnęła się, wyobrażając sobie swoją uroczą czterolatkę, Olivię, na końcu zaułka, w zimowej kurtce, zastanawiającą się, gdzie podzieli się jej klienci.

– A czy my w ogóle mamy lemoniadę? – zapytała.

– Podjąłem decyzję, że zastąpimy ją kool-aid.

– Kool-aid? Przecież to sam cukier i barwniki. Kool-aid! Może wypić tylko jedną szklanekę. Jedną.

– Grzmisz, jakbym poił ją płynem do spryskiwaczy. A poza tym ona wcale tego nie pije, tylko próbuje sprzedać. Postaraj się nie nabawić tętniaka, dobrze? Przeżyłem w Kabulu, to dam sobie radę z Olivią. Wiesz już, jak długo cię nie będzie?

– Jeszcze nie, ale dam ci znać. Ucałuj ją ode mnie, dobrze? Tom? Wiem, że świetnie się nią zajmiesz. Po prostu wariuję, jak muszę ją zostawić od czasu... no wiesz czego.

– R-O-Z-W...

– Zamknij się, Tom, dobra? Umie literować lepiej niż ty. Do usłyszenia.

Od czasu kiedy się rozwiodła rok wcześniej, Emily przeniosła się do pracy w biurze CASMIRC⁵, ponieważ oferowali stałe godziny pracy. Materiały dotyczące spraw z każdego zakątka kraju, które do niej spływały, nie były przyjemną lekturą, ale jako osoba specjalizująca się w tworzeniu profili przestępców musiała przyjąć pracę, jaką jej oferowano.

Posada ta była idealna, jeśli chodziło o zajmowanie się Olivią, ale stwierdzenie, że Emily zaczynała chodzić po ścianach swojego boksu w biurze w piwnicy Akademii FBI, byłoby eufemizmem.

Emily uśmiechnęła się, gdy wjeżdżając na autostradę, wcisnęła gaz do dechy i wyprzedziła bajeranckiego cadillaca. Po jej prawej stronie, jak zjawia nad bagnami New Jersey, pojawił metalowo-szklany zarys nowojorskich wieżowców.

Jeszcze nie zardzewiałam, pomyślała, pędząc autostradą. Zróbcie przejście,

jedzie twardzielka!

Rozdział 6

Nigdy chyba nie byłem równie dumny z nowojorskiej policji. Minęły zaledwie dwie godziny, a my już byliśmy gotowi.

Ja, dwójka innych detektywów z mojego wydziału i policyjny technik czekaliśmy w mieszkaniu Dunningów. Inny zespół detektywów pracował na terenie uniwersytetu, aby dowiedzieć się, gdzie ostatnio widziano Jacoba. Trzecia ekipa, złożona z tajniaków, kręciła się w okolicach budynku Dakota, a zwłaszcza koło Strawberry Fields w Central Parku.

Po zastrzeleniu Lennona budynek stał się pewnego rodzaju makabrycznym symbolem, podobnie jak pokryty trawą pagórek w Dallas⁶. Może to tylko zbieg okoliczności, że Jacob mieszkał właśnie tutaj, ale na razie nie mogliśmy wykluczyć, że coś wspólnego ze sprawą miała jakaś niezrównowazona osoba, którą przyciągnęło to szczególne miejsce.

Ekipa techniczna policji założyła już podsłuchy na telefon Dunningów. Skontaktowali się z operatorem, który był gotów przeszukać miliony połączeń w tym samym momencie, gdy zadzwoni telefon Dunningów. Dzięki temu znaleźlibyśmy numer, z którego nawiązano połączenie.

Teraz pozostało nam tylko najtrudniejsze zadanie. Siedzenie i czekanie do czwartej. Siedzenie, oczekiwanie i modlitwa.

Kiedy dzwonek telefonu rozległ się o trzeciej trzydzieści, serce niemal wyskoczyło mi z piersi. Dopiero po dłuższej chwili zorientowałem się, że to nie był telefon, ale domofon w kuchni.

Portier Armando pospieszył, aby odpowiedzieć.

– W holu czeka agentka FBI, proszę pana – zawołał do Donalda Dunninga.

Co?! – pomyślałem. Kto powiadomił FBI?

– Wpuśćcie ją – odparł Dunning. Odwrócił się do mnie i dodał: – Czy zapomniałem panu powiedzieć? Zadzwoniłem do Departamentu Sprawiedliwości, kiedy byłem w akademiku Jacoba. Prokurator generalny Fred Carroll chodził

z moją siostrą, gdy byli w college'u. Powiedział, że wysyła swojego najlepszego człowieka. Możecie współpracować z FBI, prawda?

– Oczywiście – odpowiedziałem, wymieniając niepewne spojrzenia z detektywami Ramirezem i Schultzem, członkami mojego zespołu. Wszystko było gotowe. Teraz przysłali nam federalnych? Co to miało znaczyć?

Wymieniliśmy o wiele bardziej zadowolone spojrzenia, gdy dwie minuty później w drzwiach stanęła wysoka kobieta o kasztanowych włosach.

Atrakcyjne kobiety, nawet takie, które były wkraczającymi na nasz teren agentkami FBI, zawsze stanowiły miłą niespodziankę.

Przez chwilę rozmawiała w holu z Donaldem Dunningiem i jego żoną, a potem weszła do gabinetu.

– Emily Parker – przedstawiła się i wyciągnęła dłoń na powitanie. Mówiła z lekkim południowym albo może środkowo-zachodnim akcentem. – Mike Bennett, prawda? Widzę po waszych minach, że nikt nie poinformował was, iż przyjadę. Oczywiście, że nie. Mój szef zadzwonił do waszego szefa, czy jakoś tak. Wiem, że jesteście równie dobrzy, jak my. Nie jestem tutaj, aby odebrać wam sprawę, ale żeby współpracować i umożliwić szybki dostęp do baz danych i takie tam. Wiem, że to dziwne, że przyjechałam kawał drogi aż z Waszyngtonu i...

– Zaraz, zaraz. Co? – przerwałem jej. – Z Waszyngtonu? Czemu nie przysłali kogoś stąd?

– Bo chciałem najlepszego agenta – odpowiedział Donald Dunning, który pojawił się za jej plecami. – Rozwiązała pani dwie sprawy. Tak powiedział mi Freddy. Udało się pani uratować dwójkę porwanych dzieciaków.

– W zasadzie to troje, ale tak, zgadza się.

Teraz już wiedziałem, co jest grane. Dunning wykorzystywał wszystkie swoje kontakty i możliwości.

Na pewno nie zdawał sobie sprawy z tego, jak dziwnym tworem było dochodzenie prowadzone w Nowym Jorku. Jestem pewien, że królowa studniówki, Emily Parker, świetnie sobie radziła w tych dużych, nieskomplikowanych stanach, gdzie nie istnieje coś takiego jak metro i Brooklyn, i osiem milionów ludzi. Nowojorska policja, pomimo swojego szorstkiego postępowania, akcentu Królika Bugsa i braku modnych fryzur, mogła się równać z każdą inną agencją wymiaru sprawiedliwości, zwłaszcza gdy działała na własnym podwórku.

Zdawałem sobie jednak sprawę, że jeśli narobię smrodu, to federalni mogą odwołać się do federalnego prawa i naprawdę odebrać nam tę sprawę.

Zamiast marudzić i narzekać, stałem więc grzecznie ze sztucznym uśmiechem na ustach i trzymałem język za zębami.

Rozdział 7

– Panie Dunning, za chwilę chciałabym jeszcze porozmawiać z panem i pańską żoną – powiedziała agentka Parker. Jej postawa była idealną mieszanką bezpośredniości i troski. – Najpierw muszę omówić kilka spraw z detektywem Bennettem. Czy poczekają państwo w kuchni?

– Tak, oczywiście – wymamrotał Dunning, po czym wyszedł z gabinetu.

Była to najgrzeczniejsza wersja „spadaj”, jaką w życiu słyszałem. Byłem pod wrażeniem. Może agentka Parker jednak miała coś do zaoferowania.

Zamknęła za nim przeszklone drzwi.

– Czy sprawdziliście Dunningów pod kątem przemocy domowej albo jakiegokolwiek przestępczej aktywności? – zapytała.

Wiedziałem, do czego zmierza. Na początku trzeba zweryfikować, czy to naprawdę porwanie przez kogoś obcego, a nie przykrywką dla morderstwa albo czegoś innego. Przede wszystkim należało wykluczyć rodzinę. Byłem kilka kroków przed nią.

– Oboje są czyści – odparłem, kiwając głową. – Nadal sprawdzamy ich personel. Jak oceniasz zachowanie Dunningów? Coś podejrzanego?

– Matka zdaje się cierpieć na zaburzenia dysocjacyjne, a ojciec wygląda, jakby wypił litr kwasu z akumulatora – odpowiedziała Parker, wzruszając ramionami. – W tym wypadku obie reakcje są typowe. Chcesz, żeby moi ludzie na wszelki wypadek sprawdzili ich nazwiska w systemie? Nie zaszkodzi przekonać się, czy nie mają jakichś długów albo czy nie kombinowali czegoś z polisą ubezpieczeniową. Możemy też sprawdzić, czy mają jakąś historię chorób psychicznych.

Rany, pomyślałem. To tyle jeśli chodzi o zaufanie do innych. Lubiłem tę cechę u gliniarzy.

– Zrób to – zgodziłem się.

Wyjęła notes ze swojej teczki i zaczęła coś notować.

– Czy są jacyś świadkowie porwania? – zapytała.

– Żadnych – oznajmiłem. – Koleżanka ze studiów widziała Jacoba, jak wychodził z jakiejś speluny w Alphabet City koło pierwszej w nocy w sobotę.

– Alphabet City? – powtórzyła Parker.

– Dzielnica w okolicy jego wydziału – wtrącił detektyw Schultz.

– Podejrzana okolica – dodał Ramirez.

– Mówcie dalej – powiedziała, skłaniając głowę.

– Przypuszczamy, iż porwano go zaraz po tym, ponieważ wygląda na to, że nie dotarł tamtej nocy do swojego pokoju w akademiku – ciągnąłem. – Przesłuchaliśmy jego współlokatora i przeszukaliśmy akademik. Nic. Jeśli pojechał na wycieczkę, zapomniał o tym komukolwiek powiedzieć.

Wręczyłem jej wstępną wersję raportu wiktymologicznego, który udało mi się już przygotować, razem z aktualnym zdjęciem.

– Ten raport jest świetny – stwierdziła Parker pełna uznania, przewracając strony i kiwając głową.

– Charakterystyka wyglądu i zachowania, dynamika rodziny. Jeśli nie wypali w policji, chętnie przyjmimy cię w Quantico. A jak wyglądał kontakt z porywaczem?

Podszedłem do biurka i wcisnąłem przycisk odtwarzania na automatycznej sekretarce. Agentka specjalna Parker zmrużyła oczy ze zdumieniem, słuchając dziwnego nagrania z grą w pytania i odpowiedzi, które rozległo się w pokoju.

Wyłączyłem sekretarkę, gdy rozmowa się skończyła.

– Rodzice potwierdzili, że przesłuchiwaną osobą jest Jacob – dorzuciłem. – Czy wcześniej spotkałaś się z czymś takim?

Parker pokręciła głową.

– Nie, nigdy – powiedziała. – Brzmiało to jak jakiś dziwny telewizyjny kwiz. A ty?

Westchnąłem sfrustrowany.

– W pewnym sensie – zacząłem. – Jakiś rok temu pojawił się facet, który obwołał się Nauczycielem. Podobnie jak ten, grzmiał o naszym niesprawiedliwym społeczeństwie. A potem zaczął strzelać do ludzi.

– Oczywiście. Masowy zabójca. Samolot, który rozbił się w nowojorskim porcie, tak? Czytałam o tym – oznajmiła.

Przytaknąłem.

– Zaraz, zaraz! Gliniarz na pokładzie! Bennett, mój Boże, to byłeś ty!

Znów przytaknąłem, podczas gdy ona oswajała się z tą myślą.

– Myślisz więc, że to może być naśladowca? – zapytała Parker.

Nabrałem powietrza, przypominając sobie, jak blisko byłem znalezienia się na tamtym świecie.

– Dla dobra tej rodziny – powiedziałem, sącząc ostatnią kroplę kawy z mojej filiżanki – mam nadzieję, że nie.

Rozdział 8

Armando pojawiał się co jakieś dwie minuty, żeby z wypolerowanego, srebrnego dzbanka nalać kawy do naszych porcelanowych filiżanek. Dwa razy powiedziałem mu, żeby się nie trudził, ale nie posłuchał. Wydawał się równie zmartwiony sytuacją, jak rodzice Jacoba.

Z kuchni dobiegł warkot miksera. Z gabinetu dostrzegłem matkę Jacoba, jak ze łzami spływającymi po policzkach, zmierzwionymi włosami i w wieczorowej sukni pobrudzonej mąką wyciąga z lodówki jajka i wraca do kuchennego blatu.

Armando się przeżegnał.

– Biedna pani D. Zawsze piecze, gdy jest zmartwiona – szepnął.

Pokazałem agentce Parker pokój Jacoba i właśnie zacząłem omawiać potencjalne strategie postępowania z mediami, kiedy detektyw Schultz zawołał mnie do okna w gabinecie. Na zewnątrz, pod głównym wejściem do Dakoty, zatrzymał się czarny chevrolet z przyciemnianymi szybami i migającym, niebieskim policyjnym światłem ustawionym na tablicy rozdzielczej.

Natychmiast dałem znać chłopakom, którzy prowadzili obserwacje na ulicy.

– Co się tam, do cholery, dzieje? – zapytałem. – Wyłączcie te światła. Co to za dupek? Prowadzimy tajną operację.

– Ktoś z biura burmistrza – odpowiedział sierżant stacjonujący w holu budynku.

– Już jedzie do was na górę.

Minutę później pięćdziesięciokilkuletnia kobieta z ostrymi rysami twarzy i idealnie ułożonym blond bobem weszła przez frontowe drzwi apartamentu.

– April! Przyjechałam od razu, gdy się dowiedziałam – powiedziała.

Pani Dunning wydawała się zaskoczona, gdy zniknęła w mocnym uścisku wysokiej kobiety. Podobnie pan Dunning, który został przywitany w taki sam sposób.

– Chryste, jeszcze tego nam brakowało – wymamrotałem.

Kobieta była pierwszym zastępcą burmistrza i nazywała się Georgina Hottinger.

Zanim otrzymała to stanowisko, odpowiadała za nowojorski fundusz rozwoju, który wciągał bogatych mieszkańców w finansowanie wydarzeń odbywających się w mieście. Jej obecność byłaby tu więc bardzo mile widziana, gdybyśmy brali udział w wydarzeniu dobroczynnym, a nie dochodzeniu w sprawie o porwanie.

– Kto tu jest szefem? – zapytała tonem nieznoszącym sprzeciwu, gdy wparowała do gabinetu. Wyglądało na to, że już skończyła część z uściskami i podlizywaniem się.

– Ja. Mike Bennett – powiedziałem.

– Każda nowa informacja związana z tą sprawą ma być natychmiast przesyłana do mojego biura. I mam tu na myśli każdą informację. Dunningowie otrzymają wszystko, czego im trzeba, a przede wszystkim jest to prywatność.

Wpatrując się w jej lodowate, niebieskie oczy, nagle przypomniałem sobie, jak dział prasowy w ratuszu nazywał Hottinger. Ponieważ nadal przypominała tancerkę, którą była niegdyś w balecie San Francisco, ta bezkompromisowa politykująca babka nazywana była „Kołczastym Łabędziem”.

– Ta kobieta jest moją przyjaciółką, detektywie – kontynuowała Hottinger – więc chyba rozumiemy się, jak ta sprawa ma być prowadzona. Jeśli coś spieprzycie, będzie pan pociągnięty do odpowiedzialności. A tak w ogóle, dlaczego my się tym zajmujemy? Czy jesteśmy w stanie? Myślałam, że porwanie to przestępstwo federalne. Czy FBI zostało poinformowane?

– Owszem, zostało – oznajmiła Emily Parker i wbiła wzrok w Hottinger. – Agentka specjalna Parker, a pani to...?

Georgina zawirowała, jakby chciała wykonać piruet prosto w szczękę Emily.

– Ja? – zachnęła się Hottinger. – Ach, nikim szczególnym. Tylko osobą, która rządzi stolicą świata, dopóki burmistrz nie wróci do miasta we wtorek. Jeszcze jakieś głupie pytania, agentko?

– Tylko jedno – rzuciła niezmieszana Emily. – Czy przyszło pani do głowy, gdy podjechała tu pani z migającą syreną, że osoba odpowiedzialna za porwanie Jacoba może teraz obserwować budynek? Porywacz powiedział, że rodzina ma nie kontaktować się z policją. Wygląda na to, że pani o tym nie pomyślała. Chyba coś pani wcześniej wspominała o spieprzeniu sprawy?

Stałem między tymi dwoma kobietami, zanim doszło do rękoczynów. A mówi się, że faceci nie potrafią się ze sobą dogadać. Stwierdziłem, że zaczynam trochę lubić Parker.

– Będę w kontakcie z pani biurem, pani burmistrz. Jak tylko coś będziemy

wiedzieć, poinformujemy państwa – zapewniłem, prowadząc ją w kierunku holu. – Nadal czekamy na telefon od porywacza, więc proszę pozwolić wrócić nam do pracy.

Parker wypuściła powietrze, gdy frontowe drzwi apartamentu zatrzasnęły się za Hottinger.

– Mike, ten gówniany zwyczaj mieszania polityki z prywatą cholernie mnie wkurza – powiedziała Parker. – Najpierw prokurator generalny, a teraz biuro burmistrza. Przyleciałam tu prywatnym samolotem Dunninga, mówiłam ci? Czy myślisz, że tyle samo wysiłku włożono by w uratowanie jakiegoś zwykłego dzieciaka?

– Pewnie nie – przyznałem. – Ale czy gdyby twoje dziecko było w niebezpieczeństwie, to nie uruchomiłabyś wszystkich możliwych kontaktów?

W kuchni pani Dunning tak mocno walnęła formą do babeczek o blat, że zatrzęsły się szyby w drzwiach.

– Masz rację, też bym tak postąpiła – stwierdziła Parker. – Czy możemy przynajmniej zgodzić się co do tego, że zastępca burmistrza jest wredną suką?

– Z tym stwierdzeniem – odparłem ze śmiechem – zgadzam się w stu procentach.

Rozdział 9

O 3.55 Donald Dunning usiadł w swoim gabinecie przy biurku w stylu chippendale. Znajdowały się na nim marmurowe szachy, książki w skórzanych oprawach, antyczne figurki ołowianych żołnierzy i morska muszla inkrustowana złotem. Jego oczy, podobnie jak wszystkich innych, skoncentrowane były jednak na aparacie telefonicznym.

Zadzwoił punktualnie o czwartej. Połączenie nawiązano z innego numeru niż poprzednio, ze strefy z kierunkowym 718.

Dunning wytarł spoconą dłoń o spodnie, zanim podniósł słuchawkę.

– Tu Donald Dunning. Proszę mi powiedzieć, co mam zrobić, aby odzyskać syna. Zrobię, co chcecie – oznajmił.

– Oprócz zawiadomienia policji, po tym jak powiedziałem wam, żebyście tego nie robili? – spytał spokojnym głosem ten sam mężczyzna, który dzwonił poprzednio. – Podaj im słuchawkę. Wiem, że tam są. Spróbujcie mnie oszukać jeszcze raz, a prześlę wam kurierem kawałek Jacoba w plastikowej torbie.

Nigdy nie widziałem nikogo tak bladego jak Dunning, gdy usłyszał te słowa. Jego usta poruszały się bezdźwięcznie. Kiedy wyjąłem słuchawkę z jego drżącej dłoni, skinąłem głową, aby wiedział, że wszystko jest w porządku.

– Mówi Mike Bennett. Jestem detektywem nowojorskiej policji – powiedziałem. – Co z Jacobem? Czy jest cały i zdrowy?

– O Jacobie porozmawiamy, kiedy przyjdzie odpowiedni moment, Mike – uciął porywacz. – Słyszałeś tego mądrale? Życie jego syna zależy tylko ode mnie, a on nadal wyobraża sobie, że może mi wydawać polecenia?

– Myślę, że pan Dunning jest zmartwiony, ponieważ tęskni za synem – wyjaśniłem, wyjmując notes. – Oczywiście to pan rozdaje teraz karty. Chcemy tylko wiedzieć, jak możemy odzyskać Jacoba.

– Zabawne, że tak to ująłeś – powiedział porywacz. – O kartach. Chciałbym, żeby tak właśnie było. Żebym to ja rozdawał, a nie tacy totalni idioci jak Dunning.

Wtedy nie doszłoby do tego.

Były pracownik? – zapisałem. Rozczarowany? Osobista wendeta?

Zapadła cisza, a następnie rozległ się dziwny dźwięk. Najpierw myślałem, że słyszę śmiech, ale po chwili zdałem sobie sprawę, że porywacz zanosi się niepohamowanym płaczem.

Nie wiem, czego się spodziewałem, ale na pewno nie łez.

Nieźrównoważony, nabazgrałem w notesie.

– O co chodzi? – zapytałem. – Co sprawia, że jest pan tak poruszony?

– Ten świat – odparł szeptem, dławiąc się od łez. – To, jaki jest popieprzony. Chciwość i szerząca się niesprawiedliwość. Moglibyśmy tyle zdziałać, ale wolimy siedzieć i patrzeć, jak wszystko schodzi na psy. Dunning mógłby ocalić dwadzieścia żyć za to, co wydaje na buty. Akcje Latvium rosną na trupach biedoty.

– A czy oni nie tworzą też lekarstw, które ratują życia? – zadałem pytanie. Zasada numer jeden podczas takich negocjacji: sprawić, żeby druga osoba cały czas mówiła. – Myślałem, że wiele koncernów farmaceutycznych oddaje leki krajom Trzeciego Świata.

– To tylko pieprzenie na potrzeby wartej wiele milionów dolarów kampanii marketingowej – zmęczonym głosem powiedział porywacz. – Przekazywane lekarstwa są gówniane. Często przeterminowane. Czasem trujące. W rzeczywistości najpowszechniejszą interakcją Latvium z obywatelami Trzeciego Świata jest wykorzystywanie ich jako świnek doświadczalnych. Wisienką na torcie jest pranie zysków przez zagraniczne banki, wykorzystywanie praw autorskich i firm fasadowych, żeby uniknąć płacenia amerykańskich podatków. Sprawdź to, Mike. To żadna tajemnica. Kongres przymyka na to oko. Zastanawiam się dlaczego. Może chodzi o lobbystów? A może instytucjonalną korupcję?

Porywacz westchnął.

– Czy jesteś aż tak głupi? Latvium to międzynarodowa korporacja. Jedyнным celem każdej międzynarodowej korporacji, niezależnie od branży, jest generowanie niesamowitego bogactwa dla zarządu. Zobowiązania wobec kraju czy ludzi są poboczne dla takich osób jak on. Zawsze były. Zawsze będą.

Może coś w tym jest, pomyślałem. Umiał przekonać do swoich racji. Wysławiał się jak kulturalny człowiek, wykształcony. Inteligentny, zapisałem w notesie.

– „Jednak wiatr teraz wieje w innym kierunku – kontynuował. – Dłoń przeznaczenia puka do drzwi. Dlatego właśnie to robię. Żeby obudzić ludzi. Skłonić ich do przemyślenia tego, jak się prowadzą. Że nie są już te skrzydła by się

puszczać w loty, tylko powietrze młócić. Miarę powietrza wyschłą już i lichą, wyschłą bardziej niż wola mierniejszej lichoty. Naucz nas smucić się tym i nie smucić. Naucz być cicho”⁷.

Boże, teraz gadał bez sensu. Podkreśliłem słowo „niezrównoważony”, a obok zapisałem: „Narkotyki? Schizofrenia? Psychopata? Słyszy głosy?”.

– Wracając do Jacoba – powiedziałem. – Moglibyśmy z nim porozmawiać?

Głośno wypuścił powietrze. A potem zaszokował mnie bardziej niż wcześniej podczas naszej rozmowy.

– Zrobię coś lepszego. Oddam wam go, Mike – oznajmił.

Stałem oszołomiony ze słuchawką w dłoni.

– Będziesz jednak musiał tutaj po niego przyjechać – kontynuował porywacz. – Daj mi numer swojej komórki. Wsiadaj do samochodu. Zadzwoń do ciebie za dziesięć minut.

Rozłączył się po tym, gdy podałem mu swój numer.

– Czy już po wszystkim? – spytał z radością zaskoczony Dunning. – Odda nam go? Chyba zmienił zdanie, prawda? Musiał się zorientować, jaką szaloną rzecz zrobił. April! Kochanie! Jacob wraca do domu!

Patrzyłem, jak Dunning wybiega z pokoju. Łapał się każdego skrawka nadziei.

Niestety, ja nie byłem optymistą. Człowiek, który pojmał Jacoba, wydawał się doskonale zorganizowany. Nie włożyłby tyle wysiłku w porwanie, żeby potem po prostu wypuścić chłopaka.

Jeszcze bardziej niepokoiło mnie to, w jaki sposób zmieniał temat, gdy pytałem go o Jacoba.

Po sceptycznym wyrazie twarzy Parker poznałem, że myśli dokładnie tak samo.

Rozdział 10

Nieoznakowana czarna impala z włączonym silnikiem parkowała w zimnym deszczu za rogiem, przy Central Park West. Podałem Parker jedną z kamizelek kuloodpornych opartych o deskę rozdzielczą, a drugą włożyłem sam.

Mieliśmy jechać pierwsi, a Schultz i Ramirez tuż za nami. Wezwano posiłki lotnicze i helikopter Bell 206 był już w drodze z lądowiska Floyd Bennett Field w Brooklynie, aby dyskretnie obserwować rozwój wydarzeń z wysokości.

– O co chodziło z tymi skrzydłami? – odezwałem się do Parker, gdy siedzieliśmy w samochodzie, czekając na telefon porywacza.

– To chyba z jakiegoś wiersza. Mam go na końcu języka. Mój profesor angielskiego z college’u by mnie zabił.

– Gdzie chodziłaś do szkoły? – zapytałem.

– UVA⁸.

– Wirginia. To wyjaśnia twój lekki akcent.

– Akcent? – Emily zaczęła zaciągać. – To wy, Jankesi, macie akcent.

Agent FBI z poczuciem humoru, pomyślałem, wsłuchując się w deszcz, który dudnił o dach samochodu. Jakie jest prawdopodobieństwo wystąpienia takich przypadków?

Włączyłem system głośnomówiący i właśnie przyczepiałem sobie mikrofon, gdy rozległ się dzwonek. Połączenie nawiązano z jeszcze innego numeru niż poprzednio, zauważyłem. Kierunkowy 516, Long Island. Trzeci numer. Może nasz porywacz jest właścicielem sklepu z komórkami, pomyślałem, odbierając.

– Słuchaj moich instrukcji. Jedź dokładnie tam, gdzie ci powiem – zaczął porywacz. – Skręć od Central Parku w kierunku East Side.

Głęboko westchnąłem i ruszyliśmy. Padało coraz mocniej. Na tle szarego nieba bezlistne czubki drzew wystające zza parkowego muru, wyglądały jakby były czarne.

– Dojeżdżam do Piątej Alei – powiedziałem kilka minut później.

– Jedź w kierunku Park Avenue, a potem w lewo w stronę przedmieścia.

Szybko wyjechałem z parku w przecznicę East Side i z piskiem opon zatrzymałem się na czerwonym świetle.

– Jestem na Park Avenue – poinformowałem.

– Witaj w dzielnicy jedwabnych pończoch, Mike – stwierdził porywacz. – Święty kod pocztowy jeden-zero-zero-dwa-jeden. Czy wiedziałeś, że właśnie jedziesz przez największe zagęszczenie bogactwa w najbogatszym kraju na świecie? W salonach znajdujących się teraz nad tobą więcej pieniędzy wpłaca się na poczet obu twoich zakłamanych partii niż w jakimkolwiek innym miejscu.

Jechaliśmy dalej. Jedynym dźwiękiem rozlegającym się w samochodzie był odgłos pracujących wycieraczek. Nie widziałem żadnych salonów. Wszystkie budynki na zewnątrz zamieniły się w szarą smugę.

Ostatnia głośna sprawa porwania, którą zajmował się mój wydział, dotyczyła właściciela fabryki ubrań, którego porwano w 1993 roku. Znaleźli go, brudnego i wygłodniałego, ale, na szczęście, żywego w dziurze w ziemi przy autostradzie West Side. Zastanawiałem się, w jakiej dziurze znajduje się teraz Jacob. Przede wszystkim jednak miałem nadzieję, że osiemnastolatek będzie żył, kiedy go z niej wyciągniemy.

– Gdzie jesteś? – zapytał porywacz.

– Na skrzyżowaniu Sto Pierwszej, Dziesiątej i Park Avenue.

– Hiszpański Harlem – powiedział. – Widzisz, jak szybko wszystko zmienia się w gówno? Na końcu Park Avenue jedź na most Madison Avenue w kierunku Bronksu.

Opony wpadły w poślizg, kiedy przyspieszyłem na mokrym, rdzewiejącym moście. Cieśnina Harlemska pod nami była brunatnozielona i wyglądała, jakby woda zamieniła się w coś stałego, jakby można było przez nią przejść pieszo.

– Jestem już na Bronksie – ogłosiłem, gdy zjeżdżaliśmy z mostu.

– Jedź Grand Concourse na północ.

Mijaliśmy osiedle za osiedlem. Przejeżdżaliśmy obok gigantycznego magazynu wypełnionego stertami starych opon, kiedy porywacz znów zaczął mówić.

– Czy wiedziałeś, że Grand Concourse miała być Park Avenue Bronksu? – zapytał. – Spójrz, jak teraz wygląda. Popatrz na wypalone okna w marmurowych obramowaniach. Na granitowe fasady ozdobione graffiti ku czci zamordowanych dilerów narkotyków. Jak mogliśmy pozwolić, aby to się stało, Mike? Zadałeś sobie kiedyś to pytanie? Jak pozwoliliśmy na to, że świat stał się taki, jak się stał?

Wjechaliśmy w ulice pełne ciasnych czynszowych kamienic. Znajdowaliśmy się w Czterdziestej Szóstej Dzielnicy. Nazywano ją Alamo. Była to najmniejsza, ale najbardziej „narkotykowa” dzielnica w mieście.

Kiedy patrzyłem przez szybę na te miejskie ruiny, w pamięci pojawił mi się pokój Jacoba. Trofea za biegi, które trzymał w szafie, bilet na koncert The Dave Matthews Band, który leżał na komodzie, błyszcząca gitara Les Paul wisząca na ścianie. Mimo swojego wieku nadal był tylko dzieciakiem. Zacisnąłem zęby. A w tej okolicy nie powinny przebywać żadne dzieciaki.

– Dojeżdżam do Sto Dziewięćdziesiątej Szóstej – powiedziałem.

– Dobra robota – powiedział porywacz. – Już prawie jesteś na miejscu, Mike. Skręć w prawo w Sto Dziewięćdziesiątą Szóstą. Już jesteś bardzo blisko. Skręć teraz w lewo w Briggs Avenue.

Zamknąłem w dłoni mikrofon.

– Co ładujesz? – zwróciłem się do Parker.

– Glocka kaliber czterdzieści – odparła.

– Odczep kaburę – powiedziałem.

Rozdział 11

Groźnie wyglądający, ciemnoskóry dzieciak w nowej kurtce marki North Face zamachał na rogu parasolką firmy Gucci. Za nim, w regularnych odstępach, na progach zniszczonych, ceglanych budynków, stało więcej groźnych postaci w kapturach. Najwyraźniej nawet deszcz nie był w stanie zakłócić handlu narkotykami na Briggs Avenue.

– Hop, hop – zabrzmiał ostrzegawczy okrzyk, kiedy wjechałem w ulicę, a nasz nieoznakowany samochód został natychmiast rozpoznany. – Pięć zero⁹ –jeden z nastolatków krzyknął w głąb ulicy do swoich współpracowników, przykładając dłoń do ust. – Ej, pięć zero!

Niepewnie przebiegłem wzrokiem po ponurych budynkach. Wąska ulica ciągnęła się jeszcze przynajmniej dwa kwartały bez żadnej przecznicy.

Gdzie, do cholery, są Schultz i Ramirez? – pomyślałem, zerkając we wsteczne lusterko. Czuję się jak szeryf, który znalazł się na niewłaściwej górskiej przełęczy.

– Zatrzymaj się przy numerze dwieście pięćdziesiąt – polecił porywacz.

Emily postukała mnie w ramię i wskazała budynek. Nie miałem czasu na szukanie miejsca parkingowego. Gwałtownie skręciłem kierownicą i zaparkowałem na chodniku przed blokiem.

Z architektonicznymi, wijącymi się ozdobnikami wokół wejścia budynek przy Briggs Avenue 250, podobnie jak większość starych domów na Bronksie, był kiedyś pełen majestatu. Od tamtych czasów rozpadła się jedna z doryckich kolumn przy wejściu, a cegły nad większością zatkanych tekturą okien na trzecim piętrze pokrywała sadza.

Gdy wyciągałem latarki z bagażnika, przemokłem do suchej nitki. Podobnie jak Emily, gdy szliśmy popękany chodnikiem i otworzyliśmy zepsute frontowe drzwi budynku.

– Jestem teraz w holu budynku dwieście pięćdziesiąt – powiedziałem do

słuchawki. Moje słowa odbiły się złowieszczym echem, kiedy wodziłem promieniem światła latarki po ciemnym westybulu. Ściany były marmurowe, ale niski sufit nasiąknięty wodą, pełen plam i pleśni. Ogarnęło mnie uczucie przygnębienia, przygnębiająca była też sceneria, w której się znaleźliśmy. Poczułem rozpacz na myśl o uciekającym czasie.

Gdzie jesteś, Jacobie? – pomyślałem.

– Czy wiesz, że w tym budynku mieszkają ludzie? – odezwał się porywacz. – Po korytarzach biegają szczury. Po ostatnim pożarze niektórzy mieszkańcy trzeciego piętra nie mają nawet drzwi. Czy może dziwić fakt, że ta okolica ma najwyższy w kraju odsetek dzieci, które cierpią na astmę?

Nowy właściciel kupił ten dom w zeszłym roku, razem z osiemdziesięcioma procentami tej przecznicy. Zostawił wszystko w takim stanie, ponieważ chce wykurzyć najemców płacących urzędowy czynsz. Kupił budynek na aukcji Urzędu Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast, mimo że jego firma dopuściła się już tysiąca trzystu naruszeń przepisów budowlanych. Dzieje się to tutaj, w najbogatszym kraju na świecie, Mike. Dzieje się to tu i teraz, w Ameryce.

– Gdzie jest Jacob? – krzyknąłem, ignorując jego litanie. – Jestem tutaj. Zrobiłem wszystko dokładnie tak, jak chciałeś. Dokąd mam teraz iść?

– Idź na tył budynku, na podwórko, a potem przez pralnię po lewej.

Znaleźliśmy drzwi na końcu holu i znów wyszliśmy na deszcz. W wodzie stojącej na podwórku tonęło sześć książek telefonicznych i pęknięta deska klozetowa. Popatrzyłem w okna, aby zobaczyć, czy ktoś się w nich rusza. Jeszcze nie byłem pewien, czy nie znaleźliśmy się w pułapce.

Podąłem Emily swoją latarkę, sięgnąłem po broń i otworzyłem drzwi po lewej stronie. Znalazłem światło. Nie było Jacoba. Jedyne przedziewiały zlew i starodawna pralka na monety.

– Gdzie on jest? – znów krzyknąłem.

– Schody są po twojej lewej stronie. Zejdź na dół.

Obok pralki znajdowały się żelazne schody prowadzące w dół surową, betonową klatką schodową. Światła naszych latarek szalały na ścianach, gdy zbiegaliśmy po dwa stopnie naraz.

Po otwarciu drzwi na dole uderzyła mnie gorąca wilgoć. Z oddali dochodził dźwięk bojlera, skrzeczącego, jakby był torturowany. Ściany piwnicy wyglądały jak z ciosanego kamienia i czułem się jak w jaskini. Albo lochu, pomyślałem.

– Tutaj będę musiał zakończyć naszą małą pogawędkę, Mike. Korytarzem w dół,

po twojej prawej. Zabierz Jacoba. Jest twój – powiedział porywacz i rozłączył się.

Rozdział 12

Oślaniałem Emily, która lekkim truchtem biegła przede mną. Nawet w mroku widziałem, jak jej oczy rozszerzyły się z przerażenia, kiedy wymierzyła broń i światło swojej latarki w otwarte drzwi po prawej stronie.

Dotarłem tam ułamek sekundy po niej. W świetle jej latarki ujrzałem pochyloną postać siedzącą w szkolnej ławce. Coś ukłuło mnie w policzek, gdy pospieszyłem w jej kierunku. Był to łańcuszek zwieszony z sufitu. Chwyciłem go i pociągnąłem.

Zapaliła się żarówka i zaczęła kołysać, wywołując migoczące cienie nieruchomej postaci Jacoba na gołych, cementowych ścianach.

Nie! Do diabła! Nie tak! – myślałem.

Jacob miał na sobie bieliznę, a dłonie skute kajdankami za plecami. Sprawdziłem tętno. Nic. Gorączkowo zacząłem szukać rany.

– Włosy – szybko powiedziała Emily, stojąca za moimi plecami. Na głowie miał zaschniętą krew. Włosy były nią posklejane.

Na czubku głowy zauważyłem ranę od kuli. Odwróciłem się. Ocierając pot z twarzy, spojrzałem na tablicę, biurko, gołe cementowe ściany, a potem z powrotem na ciało chłopaka.

Wyrwałem telefon z futerału, gotów rzucić nim o ścianę. Ten chory skurwiel cały czas nas zwodził, szeptał mi do ucha, a dzieciak już nie żył.

– Oszukiwał nas, odkąd powiedział, że mamy tu przyjechać – stwierdziłem z rozpaczą, próbując wytrząść życie z mojej komórki. – Dzieciak już dawno nie żył, gdy porywacz do nas dzwonił. Boże, chcę dopaść tego sukinsyna.

– Przytrzymam ci go, kiedy będziesz go tłukł – powiedziała Emily, kładąc mi dłoń na ramieniu. – To szok. Może powinniśmy zaczerpnąć świeżego powietrza. Chcesz na chwilę wyjść na zewnątrz?

Racja, chciałem stamtąd wyjść. Chciałem uciec jak najdalej z tej parnej krypty w południowym Bronksie.

Zamiast tego, kciukiem wybrałem numer szefowej.

– Mam nadzieję, że dzwoniś z dobrymi wieściami, Mike – odezwała się Fleming.

– Bardzo bym chciał. Jestem w piwnicy przy Briggs Avenue dwieście pięćdziesiąt. Potrzebujemy koronera i ekipy do zbierania śladów w miejscu zbrodni.

– Niech to diabli – powiedziała moja szefowa. – Jak?

– Rozwalił dzieciakowi mózg – odparłem. – Na twoim miejscu kazałbym Georginie Hottinger poinformować rodzinę. Lubi udawać glinę i migać syreną. Nie chciałbym odbierać jej reszty roli, w którą tak świetnie się wciela.

W holu spotkałem się z Ramirezem i Schultzem, gdy wreszcie pojawili się na miejscu pięć minut później.

– Przesłuchajcie wszystkich ludzi, których znajdziecie w tej ruderze – poleciłem. – Zwłaszcza nadzorcę. Przyciśnijcie go i właściciela domu też. Porywacz spędził tu trochę czasu z tym dzieciakiem. Chcę wiedzieć, dlaczego nikt nic nie zauważył.

Rozdział 13

Kiedy wróciłem, Emily zdjęła kurtkę i stała nad ciałem. Rękawy bluzki miała podwinięte, a na dłonie włożyła zielone, gumowe rękawiczki, które skądś wytrzasnęła. Pewnie ze swojej torby. Byłem pod wrażeniem.

– Plamy na podłodze i zeszywniałe nogi wskazują na to, że został zabity w tej ławce – powiedziała, nie podnosząc wzroku.

Delikatnie dotknąłem kciukiem ramienia Jacoba.

– Dość zaawansowane stężenie pośmiertne – stwierdziłem. – Wygląda na to, że zmarł wcześniej rano. Rany na nadgarstkach od kajdanek i zdarte kolana wskazują, że przedtem nie obchodzono się z nim łagodnie. W połączeniu z zabawą w pytania i odpowiedzi z pierwszej rozmowy telefonicznej wygląda to na jakąś fantazję o dominacji nauczyciela nad uczniem.

– Tak – zgodziła się Emily i odgoniła muchę. – Witajcie w piekle jeden-zero-jeden.

Przyglądałem się twarzy Jacoba. Miał ciemne włosy i jasną cerę swojej matki, niebieskie oczy po ojcu. Te oczy były teraz otwarte na wieczność, razem z ustami wykrzywionymi w grymasie przerażenia. Na jego czole znajdowała się szara plama, której wcześniej nie zauważyłem. Coś jakby mały krzyż.

– Hej, Mike – Odezwała się Emily sekundę później. Stała w drugim końcu pokoju. – Powinieneś to zobaczyć.

Dołączyłem do niej po drugiej stronie czarnej tablicy. Ktoś napisał tam:

**MEMENTO HOMO, QUIA PULVIS ES,
ET IN PULVEREM REVERTERIS**

– Co to? Czy to łacina? – zapytała Emily.

– Tak – powiedziałem, wpatrując się w napis.

– Ulubiona metoda tortury w mojej katolickiej szkole. *Memento* chyba znaczy pamiętać. *Pulvis* to proch.

Chłód usztywnił mi kark, jak nakłucie lędźwiowe, kiedy nagle uświadomiłem sobie znaczenie napisu.

– Pamiętaj, z prochu powstałeś i w proch się obrócisz – krzyknąłem. – Katoliccy księża powtarzają to w środę popielcową, kiedy posypują głowę popiołem. To właśnie musi być na czole Jacoba. Posypał ją prochem?

Emily głośno pstryknęła palcami w grubych, gumowych rękawicach.

– Chwileczkę! To jest to! „Naucz nas smucić się tym i nie smucić. Naucz być cicho”. To z wiersza T.S. Eliota *Środa popielcowa*. Co to znaczy? Jak można to powiązać z porwaniem?

– Nie wiem – odparłem. – Ale zegar chyba właśnie się włączył.

Otarłem pot z oczu.

– Środa popielcowa wypada za trzy dni – powiedziałem.

Rozdział 14

Nie udało się dotrzeć do nadzorcy. W narkotykowej melinie na drugim piętrze znaleźli się jacyś mieszkańcy budynku, ale – co nikogo nie zdziwiło – w stanie, w jakim się znajdowali, nie zauważyliby nic podejrzanego.

Gdy wyszedłem z gorącej piwnicy, cieszyłem się z padającego deszczu. Chciałem zmyć z ubrania i ze skóry zapach śmierci.

Mimo że staraliśmy się nie robić zamieszania wokół sprawy, zauważyłem reportera kryminalnego z „Post” stojącego za policyjną taśmą razem z sześcioma dilerami z Briggs Avenue. Kiedy wieści się rozejdą, reporterzy i producenci zaczną kręcić się po okolicy, jak rekiny wypatrujące ofiary. Dzieciak miliardera, który zostaje porwany i zamordowany w rytualny sposób, to nie tylko dobry news, ale materiał na cały cykl artykułów.

Ruszyłem do samochodu, gdy pojawiła się pierwsza furgonetka ekipy telewizyjnej. Burze medialne, jak się dowiedziałem, nie różniły się niczym od tych atmosferycznych. Jedynym sposobem na przetrwanie była natychmiastowa ewakuacja.

Emily wychodziła ze sklepu na rogu, kiedy dotarłem do samochodu. Kiedy podkręcałem ogrzewanie, wyjęła zakupy z plastikowej torby. Papierowe ręczniki i dwie puszki coli.

– Nie mieli szkockiej, ale przynajmniej cola ma dużo cukru – powiedziała, wręczając mi napój.

Zanim otworzyłem zimną puszkę, przyłożyłem ją sobie do karku.

– Pełna cukru – potwierdziłem. – Będę chyba musiał pogadać o tobie z twoim przełożonym, Emily Parker. Byłaś świetna. Znasz się na oględzinach zwłok. Myślałem, że jesteś tylko specjalistką od porwań.

– Pracowałam wcześniej jako profiler w oddziale analizy behawioralnej – przyznała niezobowiązującym tonem. – Szczęściara ze mnie, co?

Patrzyłem, jak osusza włosy zwojem papierowych ręczników. Nagle

zauważyłem, że na karku, gdzie były mokre, mają kolor wiśniowego napoju.

Przestała, gdy zobaczyła, że technicy wynoszą Jacoba w plastikowym worku. Włożyli go do podniszczonej furgonetki ekspertów medycyny sądowej z Bronksu zaparkowanej obok naszej impali.

– Straciłam czworo – oznajmiła Emily, gapiąc się przez mokrą od deszczu przednią szybę.

– O czym mówisz?

– Dunning był pod wrażeniem, że znalazłam troje, ale nikt mu nie powiedział, że straciłam czworo – powiedziała, patrząc mi w oczy. – A w zasadzie teraz to już pięcioro – dodała.

Podniosłem puszkę do ust i napiłem się. Nie był to napój wiśniowy, na który przyszła mi nagła ochota, ale musiał wystarczyć.

– Trzy na siedem – podliczyłem. – To świetny wynik. Gdybyś grała w baseball, byłabyś jak Ted Williams.

– Ale to nie baseball, prawda? – powiedziała po chwili Emily.

Pociągnąłem kolejny łyk coli i wrzuciłem wsteczny, żeby wypuścić furgonetkę.

– Masz rację – przyznałem, gdy zjechaliśmy z chodnika na mokrą ulicę. – W baseballu nie ma miejsca na płacz.

Rozdział 15

Zanim przejechaliśmy mostem Madison Avenue i bezpiecznie dojechaliśmy na Manhattan, zrobiło się ciemno.

Emily po drodze zadzwoniła do swojego szefa i przekazała mu złe wieści. Potem skontaktowała się, jak uznałem, ze swoją rodziną. Zdawała się rozmawiać z małym dzieckiem.

Dopiero wtedy spojrzałem na jej dłoń, aby sprawdzić, czy ma obrączkę. Tak, faceci są tak głupi. A przynajmniej ja jestem. Nie miała obrączki, ale co to znaczyło? Może nie nosiła jej w pracy. Nie powinienem robić sobie nadziei. A czy je sobie robiłem? Chyba tak.

Sam zadzwoniłem do TARU, jednostki technicznej, żeby dowiedzieć się, czy mają już jakieś informacje o połączeniach telefonicznych. Udało im się poczynić pewne kroki. Ustalili, że numery, z których porywacz dzwonił do Dunningów i na mój telefon, były komórkami na kartę zakupionymi w trzech różnych miejscach w Queens, na Manhattanie i Five Towns na Long Island. Detektywi już zostali tam wysłani, aby porozmawiać ze sprzedawcami i dowiedzieć się, czy zapamiętali osobę, która je kupiła.

Rozmowa z chłopakami zajmującymi się miejscem zbrodni była mniej obiecująca. Nigdzie nie znaleziono łuski po pocisku ani odcisków palców. Nasz przestępca pamiętał nawet, żeby zabrać kawałek kredy, którą zapisał wiadomość na tablicy.

Zabójca Jacoba był wyrachowany, metodyczny i bardzo ostrożny. Same negatywy z naszego punktu widzenia. Nadal nie mogłem zapomnieć jego dykcji rodem z kanału PBS.

Jechaliśmy Piątą Aleją i mijaliśmy Central Park North, gdy spojrzałem w górę. Miałem podrzucić Emily do Hiltona przy Rockefeller Center, ale postanowiłem już dłużej nie czekać. Niepewność co do wyniku dzisiejszego meczu była nie do zniesienia. Gdyby Seamus zawiódł mnie dziś jako trener, nie wiem, czy byłbym

w stanie mu wybaczyć.

Emily wyglądała na zmieszaną, gdy zatrzymałem się przed swoim domem przy West Endzie.

– Muszę na chwilę wpaść do domu. Muszę, hm, coś sprawdzić. Chcesz poczekać w samochodzie? Albo po prostu chodź ze mną. Dam ci parasolkę i prawdziwą szkocką, jeśli masz ochotę. Ja na pewno mam.

Rozdział 16

Emily zdawała się jeszcze bardziej zmieszana, gdy mój portier, Kevin, otworzył drzwi holu.

– Ile płacą nowojorskim policjantom? – zapytała, gdy ruszyliśmy do windy.

– Bardzo zabawne – powiedziałem. – Nie martw się. Nie jestem skorumpowany. To długa historia, ale można powiedzieć, że wygrałem na loterii.

Gdy tylko rozsunęły się drzwi windy na moim piętrze, dało się słyszeć zamieszanie.

– Czy ktoś ma tu dziś imprezę? – zapytała Emily. Zaśmiałem się, otwierając drzwi.

– Tutaj impreza nigdy się nie kończy – powiedziałem. Wszyscy siedzieli w salonie. Seamus. Nastolatki, trochę młodszy i ci najmłodszy, którzy z każdą godziną stawali się coraz więksi i drożsi w utrzymaniu. Wszyscy śmiali się, walczyli, grali, oglądali telewizję. Moje życie rodzinne.

– Tata! – krzyknęło kilkoro moich dzieci, gdy wreszcie mnie zauważyły.

Kiedy odwróciłem się do Emily, zobaczyłem, że zmieszanie to łagodne określenie wyrazu jej twarzy. Uśmiechnąłem się i milczałem. Przyjemnie było tak się z nią podroczyć.

– Nie wszystkie są twoje – powiedziała.

– Wszystkie oprócz księdza – oznajmiłem, robiąc gest zagarniający przestrzeń. – On jest zwykłym obibokiem.

– Bardzo zabawne – stwierdził Seamus. – Wygraliśmy. Proszę bardzo.

– Nie! – krzyknąłem wstrząśnięty. – Niemożliwe! Jak? Zagroziłeś drugiej drużynie ekskomuniką?

– Nie, spróbowałem czegoś, o czym ty nie masz pojęcia. Rozsądnych technik trenerskich. Co ty na to, mądralo? – spytał Seamus. – A teraz może przedstawiś mnie swojej uroczej przyjaciółce.

– Emily, poznaj ojca Seamusa Bennetta, miejscowego proboszcza, i chociaż nie

lubię się do tego przyznawać, mojego dziadka. Pracujemy razem nad sprawą, monsignore. Emily jest agentką FBI.

– FBI – powtórzył pod wrażeniem, gdy podali sobie dłonie. – Prawdziwa agentka. Czy to prawda, że teraz możecie torturować podejrzanych?

– Tylko irytujących staruszków – odparłem za nią. Dzieciaki wreszcie zauważyły, że w mieszkaniu pojawił się ktoś nieznajomy, zamilkły i siedziały wpatrzone w nas. Trent, jeden z żartownisiów w naszej rodzinie, wstał i wyprostował się jak kamerdyner metrowego wzrostu.

– Dobry wieczór – powiedział, wyciągając do Emily dłoń. – Witamy w domu Bennettów. Czy mogę wziąć od pani płaszcz?

Emily wpatrywała się we mnie, gdy podali sobie ręce.

– Hm... – mruknęła.

– Jak się pani ma? – zapytał Ricky, wchodząc w rolę. – Niezwykle miło, że przyjęła pani zaproszenie na kolację.

– Już dobrze, wariaci. Wystarczy – oznajmiłem.

W tej chwili Julia, moja najstarsza córka, zatrzymała się w progu, wchodząc z kuchni. Wyjęła z uszu nieodłączne słuchawki od iPod'a, po czym zawróciła.

– Mary Catherine, tata przyprowadził do domu gościa. Czy położyć na stole dodatkowe nakrycie?

Mary Catherine pojawiła się minutę później.

– Oczywiście – odezwała się.

– Nie, nie powinnam. Nie chciałabym się narzucać, pani Bennett.

– Słyszeliście, co powiedziała? – krzyknęła Chrissy. – Hej, czy wszyscy to słyszeli? Nazwała Mary Catherine panią Bennett!

– Przepraszam? – zmieszała się Emily i popatrzyła na mnie błagalnie.

– Wystarczy. Dajcie już spokój, mówię poważnie – powiedziałem. Odwróciłem się do Emily. – To długa historia. Mary Catherine i ja nie jesteśmy małżeństwem – zacząłem. Zaśmiałem się nagle. – To nie zabrzmiało tak, jak powinno. Miałem na myśli to, że...

– Chciał powiedzieć, że pracuję dla tej ekipy – rzuciła Mary Catherine. – Miło mi cię poznać – dodała, energicznie potrząsając dłonią Emily.

– Och, moja wina – powiedziała Emily.

Właśnie wtedy, niczym pociąg towarowy, uderzył nas smakowity zapach rozmarynu, czosnku i pieprzu. Emily odwróciła się, gdy Julia postawiła na stole ogromny pieczony udziec jagnięcy. Pachniał niesamowicie dobrze.

– W niedzielę Mary Catherine idzie na całość – wyjaśniłem.

Emily otworzyła szeroko oczy, gdy zobaczyła Briana z półmiskiem wielkości toboganu pełnym ziemniaczanego puree.

– Nie musisz zostawać, jeśli nie masz ochoty – odezwałem się do Emily. – Nie daj się nabrać tej bandzie, która popisuje się swoim grzecznym zachowaniem. W tym domu na nowo definiujemy słowo „rodzinnie”.

Socky zaczął ocierać się o nogę Emily.

– Ale tatusiu, popatrz, nawet Socky chce, żeby została – wskazała Chrissy, trzepocząc rzęsami.

Emily uklękła i pogłaskała kota.

– Cóż, jeśli Socky uważa, że powinnam zostać, to chyba muszę – powiedziała.

– W takim razie proszę. – Nalałem Emily wielki kieliszek czerwonego wina. – Będzie ci potrzebne.

Rozdział 17

Starając się zachować równowagę pośród wszystkich dzieciaków kręcących się po jasnym, ciepłym mieszkaniu, Emily Parker pociągnęła łyk wina i uśmiechnęła się.

Niesamowite, pomyślała. Tyle dzieci. Tyle różnych ras. Muszą być adoptowane. No bo jak inaczej? Przynajmniej niektóre z nich. Czy jest gdzieś pani Bennett? Zdecydowanie czuła, że Mike jest singlem.

Patrzyła, jak Mike klęknął, podniósł siedmioletniego ciemnoskórego chłopca i delikatnie przerzucił go przez ramię na kanapę obok azjatyckiej dziewczynki.

Na pewno się tego nie spodziewała.

– Hej! – krzyknęło jedno z dzieci. – Patrzcie na to!

Na ekranie telewizora widać było Emily i Mike'a na chodniku przed budynkiem w Bronksie. Informacje o porwaniu już pojawiły się w mediach.

Dzieci zaczęły klaskać. Jedna z dziewczynek włożyła sobie paluszki do ust i zagwizdała jak portier wzywający taksówkę. Emily zaśmiała się, gdy zobaczyła, jak Bennett się kłania.

– Dziękuję wszystkim. Żadnych autografów, proszę. Wystarczy już tej sławy, pora na kolację.

Gdy wreszcie usiedli, Emily stwierdziła, że jedzenie wygląda wspaniale. Jeden z największych stołów, jaki widziała w życiu, zastawiony był porcelaną. Jak im się to udawało? Patrząc na twarze dzieciaków sadowiących się przy stole, pomyślała o sobie i Olivii jedzących gotowe potrawy przy kuchennym stole w jej cichym domu. Czy to, co widzi tutaj, mogłoby bardziej się różnić się od tego, co zna na co dzień?

Wszyscy złożyli dłonie i zamknęli oczy, podczas gdy ksiądz odmówił modlitwę.

– Pobłogosław Panie nas i twe hojne dary, które z łaski Twojej spożywać mamy. Przez Chrystusa, Pana naszego. Amen – powiedział uroczy, starszy mężczyzna. – A teraz podajcie sos!

Czy ona naprawdę to widziała? Czowała się jak na sesji zdjęciowej do zaginionej okładki „The Saturday Evening Post”, tyle że to działa się naprawdę. Jedyne raz, gdy jadła podobny domowy posiłek, była u swojego ojca na Święcie Dziękczynienia.

Ostatnią rzeczą, jakiej Emily spodziewała się, gdy wezwano ją do specjalnego zadania, było to, że będzie jadła kolację z jakąś szaloną, wielką, szczęśliwą rodziną. Nie mogła się doczekać, aż zadzwoni do swojej córki i jej o wszystkich opowie.

Potrząsnęła głową z niedowierzaniem, gdy spojrzenia jej i Mike siedzącego u szczytu stołu się spotkały.

– I do tego jeszcze kot? – powiedziała.

– Ach, on jest kolejnym darmozjadem – odparł Mike. – Podobnie jak ksiądz.

Rozdział 18

Gdy zjedliśmy, wszystkie dzieciaki ustawiły się w kolejce, aby powiedzieć Emily dobranoc.

– Niezmiernie miło było panią poznać – rzekł Trent, nadal udając dżentelmena. – Dobranoc, ojcze. Śpij dobrze.

– Och – odpowiedziałem tylko, łaskocząc go tak, że zapiszczał. – Ty też śpij dobrze, Hamlecie.

Kiedy wreszcie zostaliśmy sami, nalałem Emily resztkę wina i opowiedziałem skróconą wersję swojego życia: o Maeve, mojej żonie, i o tym, jak adoptowaliśmy nasze dzieci, jedno po drugim, dopóki któregoś dnia nie okazało się, że jest już ich dziesięcioro. Wspomniałem nawet o tym, jak umarła moja żona. I jak Mary Catherine, Seamus i ja walczyliśmy, aby nasza rodzina się nie rozpadła.

– Ale dość o mnie – zakończyłem, gdy ulżyło mi po opowiedzeniu swojej historii. – Musi być po równo. Teraz ty musisz przedstawić Emily Parker w pigułce.

– Nie ma zbyt dużo do opowiadania. Mam jedną córkę. Olivię – zaczęła, wyjmując zdjęcie z torebki.

– Ślicznotka. – Nachyliłem się blisko Emily, aby spojrzeć na fotografię. Podobnie jak jej matka, chciałem dodać. Niesamowite było to, jak komfortowo czułem się w jej towarzystwie.

– Ile ma lat? – zapytałem.

– Cztery.

– Jedyne wiek, którego tu w domu nie mamy – powiedziałem. – Jakie było tego prawdopodobieństwo? Mary Catherine weszła z dwoma talerzami akurat, gdy się śmialiśmy.

– Mary, czy to jest to, o czym myślę? Szarlotka? – zapytała Emily.

Mary Catherine głośno postawiła talerze na stole.

– Zostawiłam włączony piekarnik – oznajmiła i szybko się odwróciła. – Czy to

wszystko na dziś, panie Bennett?

– Jasne... dzięki, Mary – powiedziałem nieco skołowany. Kiedy drzwi do kuchni się zamknęły, podniosłem ze stołu zdjęcie Olivii.

– A więc, gdzie jest tata Olivii? – zapytałem. Odłożyłem zdjęcie. Jejku, czy naprawdę powiedziałem to na głos? Bardzo subtelnie, Mike. – Przepraszam, nie musisz odpowiadać na to pytanie.

– W porządku. Tata Olivii jest w Kalifornii. Rozwiedliśmy się dwa lata temu. Poznaliśmy się w siłach powietrznych. John był trochę nieokrzesany, ale kochany i zabawny, i niezwykle utalentowany w dziedzinie mechaniki. Zawsze myślałam o nim jako o impulsywnym yin do mojego uporządkowanego yang. – Początkowo wszystko dobrze się układało. John prowadził dział serwisowy Bethesda Mercedes, a ja awansowałam w FBI. Życie było oczywiście szalone: dwie prace i potem jeszcze opiekowanie się Olivią, ale stanowiliśmy zgrany zespół, prawdziwą rodzinę. Potem, dwa dni po drugich urodzinach Olivii, John ogłosił, że musi się na nowo odnaleźć. – Najpierw pojawiły się tatuaże i kolczyki, a potem, bez mojej wiedzy, zakup warsztatu w Kalifornii, na który wydał większość naszych wspólnych oszczędności.

– Ała – powiedziałem.

– Tak, ała to odpowiednie słowo. JonJon's Rods buduje teraz motory na życzenie gwiazd, GTO, Shelby Cobras. Świetnie mu się ułożyło w Kalifornii.

– Ale raczej kiepsko tobie i twojej córeczce – podsumowałem.

Emily dopiła wino i ostrożnie odstawiła kieliszek na stół.

– Powinam się zbierać, zanim będziesz musiał mnie stąd wytoczyć, Mike. Naprawdę świetnie się bawiłam. Twoje dzieciaki są wspanialsze nawet niż posiłek, którym mnie ugościliście. Jesteś szczęściarzem.

– Zadzwońię po taksówkę dla ciebie – powiedziałem, wstając.

Gdy wróciłem na górę, stół w jadalni był sprzątnięty. Mary Catherine z hałasem wkładała naczynia do zmywarki w kuchni.

– Mary Catherine, nie widziałaś przypadkiem mojego ciasta?

– O, przepraszam, wyrzuciłam je – wyjaśniła, nie odwracając się do mnie. – Myślałam, że pan nie będzie go już jadł.

Wytarła ręce, otworzyła drzwi i ruszyła w stronę swojego pokoju na naszym przedwojennym ostatnim piętrze.

– Dobranoc. – Trzasnęła za sobą drzwiami.

Gdy zastanawiałem się nad tym, co właśnie się stało, do kuchni weszła Chrissy

w piżamie.

– Tatusiu, Shawna mówi, że Emily Parker to twoja nowa dziewczyna. Czy to prawda? – zapytała.

Och, pomyślałem, patrząc na drzwi, które przed chwilą się zamknęły. Okay. Już rozumiem.

Jak już wspominałem, faceci są tępi.

Część druga
Egzamin końcowy

Rozdział 19

Chelsea Skinner nie mogła przestać się trząść. Na początku tylko ze strachu, ale po trzech godzinach leżenia na lodowatej kamiennej posadzce czuła się, jakby miała umrzeć z zimna.

Wcześniej czuła takie zimno tylko raz: miała sześć lat i pojechała pierwszy raz na narty do Kolorado. Patrząc na parę wydobywającą się z ust, gdy była za domem, który właśnie wybudował jej ojciec, rozśmieszała mamę udawaniem, że pali papierosa.

Chelsea zaczęła płakać i szcząć zębami. To właśnie zawsze był jej problem, czyż nie? Zawsze chciała być starsza, ciągle musiała przeciągać strunę. Dlaczego nie mogła po prostu cieszyć się z tego, co ma? Czuła, jakby miała dziurę w środku, którą bezustannie próbowała zapełnić – ciuchami, jedzeniem, przyjaciółmi, narkotykami, chłopakami – ale nieważne, jak bardzo się starała, zawsze zostawało jeszcze troszkę miejsca, które nie pozwalało jej poczuć się usatysfakcjonowaną. W zasadzie zasłużyła sobie na to, co ją spotkało. Musiało się tak stać. To było...

Przestań, rozkazała sobie. Natychmiast przestań!

Została porwana i była dla siebie taka surowa? Obwiniła się? To musiało się skończyć. Nie była na terapii. To nie było ćwiczenie budujące jej pewność siebie w Big Country, obozie odwykowym w dziczy, na który zeszłego lata wysłali ją rodzice, żeby „wróciła na dobrą drogę”, jak określił to jej ojciec.

To, co działo się teraz, było prawdziwe.

Fakt: ktoś ogłuszył ją przed jej domem, kiedy w nocy wracała z imprezy.

Fakt: ktoś zdjął jej dzinsy i koszulkę, a teraz miała na sobie tylko stanik i majtki.

Fakt: jej ręce i nogi były związane plastikowymi opaskami i była przetrzymywana wbrew swojej woli w pomieszczeniu, które przypominało kryptę.

Wszystkie te fakty były dziwaczne, okropne, jeśli się nad nimi dłużej zastanowić, ale bardzo, bardzo prawdziwe. Nagle przypomniała sobie coś, co podkreślał jej ekopsycholog Lance z Big Country: sama tworzysz swoją

rzeczywistość.

Wtedy uznała, że była to najgłupsza rzecz, jaką w życiu usłyszała, ale teraz, gdy się nad nią zastanowiła, pomyślała, że może terapeutcie właśnie o to chodziło. Kiedy jesteś w bardzo kiepskiej sytuacji, możesz zacząć się nad sobą uzalać albo...

Chelsea zamarła, gdy zapaliło się światło. Otworzyły się drzwi do obskurnego pomieszczenia, w którym się znajdowała. Zaszło jej w ustach.

Na progu stał mężczyzna w garniturze i masce narciarskiej. To się nie dzieje naprawdę, pomyślała, gdy mężczyzna wszedł do środka i uklęknął obok niej.

– Hej, Chels – powiedział łagodnym tonem. Następnie uderzył ją w głowę i zrobiło jej się ciemno przed oczami.

Odzyskała przytomność na dźwięk przypominający zapinanie suwaka. Mężczyzna w masce zaciskał ostatni pasek przy wózku przemysłowym, do którego była teraz przywiązana. Wywiózł ją z pomieszczenia, ciągnął po schodach i długim, wyłożonym kafelkami korytarzu.

Pokój, w którym się znaleźli, miał niski strop i długą, ciągnącą się wzdłuż całej ściany ladę ze stali nierdzewnej. Zatrzymali się.

– Ja nic – zaczęła Chelsea, trzęsąc się. – Ja nn-nic nie zrobiłam.

– No właśnie – odezwał się zza jej pleców porywacz. – Może powinnaś była. Zastanawiałaś się nad tym? Zastanawiałaś się nad tym, czego nie zrobiłaś?

Patrzyła, jak mężczyzna podchodzi do zlewu. Wyjął spod niego pomarańczowe, osiemnastolitrowe wiadro i odkręcił kurek.

– Teraz chciałbym, żebyś przystąpiła do małego testu – powiedział, napełniając wiadro. – Tematem jest woda. Czy wiedziałaś, że miliard sto milionów ludzi na całym świecie nie ma dostępu do bieżącej wody pitnej? To całkiem sporo, zgadzasz się? Moje pytanie brzmi następująco: ile wody trzeba zużyć na wypranie twojej koszulki Abercrombie and Fitch i dżinsów Dolce and Gabbana?

To musi być jakiś koszmar, pomyślała Chelsea, wpatrując się w mężczyznę, który zakręcił kurek i zrobił krok do tyłu, z łatwością trzymając w lewej ręce ciężkie wiadro z wodą.

Jestem Alicją, wpadłam do króliczej nory i zjadłam niewłaściwy kawałek ciasta.

Chelsea w końcu opuściła wzrok.

– Nie wiem – odezwała się niemal szeptem.

Bez ostrzeżenia mężczyzna chlusnął na nią wodą. Poczwała na ciele i twarzy lodowaty chłód. Jeśli wydawało jej się wcześniej, że jest zimno, teraz była bliska obłędu. Czwała się, jakby wrzucono ją do Morza Arktycznego. Przemarznięta do

kości.

– Ponad sto pięćdziesiąt litrów! – krzyknął mężczyzna w masce. – W wioskach Kambodży i północnej Ugandy nawet trzysta osób dzieli jedną ręczną pompę, żeby zdobyć wodę konieczną do przeżycia. Rodziny umierają dla wody. A ty poświęcasz uwagę wodzie tylko wtedy, gdy kelner pyta, czy chcesz gazowaną, czy nie!

A teraz pytanie numer dwa: ile tysięcy dzieci na świecie umiera każdego dnia z powodu chorób powiązanych z wodą? Takich jak cholera, czerwonka i zapalenie wątroby?

Chelsea już nie słuchała. Było jej za zimno, żeby słuchać, żeby myśleć. Czowała, jakby przez jej ciało przechodził lodowiec, paraliżując mięśnie, ścięgna i kości. Zaraz dotrze do jej serca, pomyślała, i zimno spowoduje, że stanie jak zamarznięty silnik.

Mężczyzna wrócił z wiadrem do zlewu. Gdy ponownie odkręcił skrzypiący kurek, zaczął gwizdać melodyjkę z teleturnieju Va Banque.

Rozdział 20

Migrenowy ból głowy obudził Emily o nieludzkiej godzinie, szóstej rano. To dopiero miła pobudka, pomyślała, gdy ze skrzywioną miną próbowała się podnieść z łóżka. Cierpiała na migreny od czasów college'u. Pulsujący, kłujący ból zawsze pojawiał się w tym samym miejscu, nad lewym okiem. Czuła, jakby coś chciało się wydostać z jej czaszki, torując sobie drogę szpikulcem do lodu.

Czasem ból był tak silny, że wymiotowała. Czasem, z niewyjaśnionego powodu, czuła niedające się ugasić pragnienie. Zanim odszedł, jej newage'owy mąż John zwykł mówić, że to cena za jej dochodzeniowe umiejętności, za szybkość myślenia, które ratowało ludzkie życie.

Może był to po prostu stres spowodowany złym mężem, chciałyby mu teraz powiedzieć.

Znalazła torebkę i wyłowiła z niej imitrex, lek przepisany przez lekarza. Łykając tabletkę bez popicia, przypomniała sobie martwego Jacoba Dunninga w kotłowni w południowym Bronksie.

Co ja tu jeszcze robię? – pomyślała. Szef powiedział jej, żeby została w Nowym Jorku przynajmniej do czasu pojawienia się raportu koronera, ale nie była przekonana, czy to konieczne. Miała trzydzieści pięć lat i była zdecydowanie za stara na to całe gównno, z jakim stykała się w oddziale analizy behawioralnej. Uświadomiła sobie, że tęskni za swoim przytulnym, beżowym boksem i ceglanyścianami. Może w ogóle powinna rzucić tę robotę i zostać nauczycielką. Mogłaby znaleźć pracę, która nie będzie kolidowała z rozkładem dnia Olivii. Powinna dać szansę jakiemuś młodemu, głodnemu wilkowi na ściganie tych potworów i zajmowanie się biednymi rodzinami.

Wysypała na dłoń kolejną tabletkę, gdy zadzwoniła jej komórka.

– Hej, tu Mike – odezwał się Bennett. – Przepraszam, że cię budzę.

Uśmiechnęła się. Jego spokojny głos był jak szalupa ratunkowa na mdlących falach bólu rozchodzących się w jej czaszce. Przypomniała sobie wspólną kolację

i jego szalone dzieciaki. Przynajmniej to było przyjemne.

– Powiedz mi coś dobrego, Mike – powiedziała. – Medialne nagłośnienie sprawy odświeżyło czyjąś pamięć?

– Chciałbym – odparł. – Właśnie dzwoniła do mnie szefowa. Wygląda na to, że było kolejne porwanie. Dziewczyna nazywa się Chelsea Skinner. Ma siedemnaście lat, a jej ojciec jest prezesem nowojorskiej giełdy. Dziś w nocy znajomi wysadzili ją z taksówki na rogu ulicy, przy której mieszka, ale nie dotarła do domu.

– Już? Mój Boże! Nawet jak na seryjnego zabójcę to niezwykle krótki czas między jednym a drugim porwaniem – zdumiała się Emily. – Jedziemy do jej domu?

– Nie – odparł Bennett. – Schultz i Ramirez są już w drodze. Mamy być obecni na zebraniu oddziału specjalnego, które organizują na głównym posterunku. Podjadę po ciebie wóół do dziewiątej, to omówimy sytuację. Lubisz bajgle z łososiem? Nie sądzę, żeby żydowskie delikatesy, do których chodzę, sprzedawały kaszę kukurydzianą, ale mogę zapytać. Co to w ogóle jest ta kasza?

– Powiedz mi, Mike – powiedziała z uśmiechem – czy wszyscy nowojorscy gliniarze są tacy zabawni przez dwadzieścia cztery godziny na dobę?

– Tylko ci przystojni, którzy mają przynajmniej dziesiątkę dzieci – stwierdził Bennett. – Do zobaczenia za parę godzin, agentko Parker.

Rozdział 21

Zebranie oddziału specjalnego odbywało się w nowej części One Police Plaza, na dziesiątym piętrze. Policja musiała wyciągnąć sporo pieniędzy z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, ponieważ sala, w której się spotkali, wyglądała jak z hollywoodzkiego filmu.

Wszędzie zamontowane były płaskie monitory, najnowsze telefony i nadajniki radiowe, a ogromne ekrany do wyświetlania prezentacji zajmowały jedną ze ścian tego wielkiego pomieszczenia. Nadal czuć było chemiczny zapach nowej wykładziny. A może to tylko zapach pasty do butów, którą wypolerowano drogie buty wszystkich grubych ryb zebranych w jednym miejscu.

Pojawił się burmistrz i zauważyłem też naszą starą znajomą Georginę Hottinger, która krążyła wokół niego jak padlinożerna ryba obok rekina. Zajęci byli rozmową z komisarzem Dalym i jego zespołem naczelników w białych koszulach. W sali znajdowała się również grupa zdrowo wyglądających facetów z porządnymi fryzurami, którzy, jak mogłem tylko przypuszczać, byli kolegami Emily.

Gdy weszliśmy, Emily poszła przywitać się z innymi agentami. Wyjąłem komórkę, żeby zobaczyć, czy nic nowego się nie wydarzyło.

Tuż przed oficjalnym początkiem zebrania Emily podeszła do mnie z dwoma kubkami kawy.

– Ponagliłam laboratorium z Waszyngtonu w sprawie badań popiołu na czole Jacoba. Jajogłowi czekają z zapartym tchem – powiedziała.

– Dobrze – odparłem. – Mam wieści o numerach telefonów. Wygląda na to, że nasz człowiek wynajął kilka osób, aby kupiły mu telefony za gotówkę w trzech różnych salonach. A Verizon Wireless udało się ustalić, skąd nawiązano połączenia. Pierwsze z autostrady West Side, a drugie z autostrady FDR. Wygląda na to, że przemieszczał się przez cały czas, gdy z nami rozmawiał.

Dziesięć minut później Emily i ja poszliśmy na środek sali, żeby zdać raport o sprawie Jacoba Dunninga.

– Wcześniej rano, w sobotę dwudziestego pierwszego lutego, Jacob Dunning został porwany z ulicy przez niezidentyfikowaną osobę. Mężczyzna ten skontaktował się z rodziną w niedzielę. Drugi telefon wykonał kilka godzin później i zażądał rozmowy z nami. Postępując zgodnie z instrukcjami porywacza, pojechaliśmy na Briggs Avenue, do budynku numer dwieście pięćdziesiąt, znajdującego się w części Bronksu o wysokim poziomie przestępczości. Znaleźliśmy Jacoba w piwnicy. Został postrzelony w głowę raz, pistoletem kaliber trzysta osiemdziesiąt. Ciało znajdowało się w szkolnej ławce umieszczonej przed tablicą. Wskazuje to na przywiązanie przez porywacza dużej wagi do scenerii popełnianego przestępstwa. Na czole ofiary znajdowało się coś na kształt X lub krzyża narysowanego najprawdopodobniej popiołem. Nie odnaleziono śladów obcego DNA, odcisków palców ani łuski naboju.

Skinąłem głową na Emily.

– Jeśli chodzi o motyw, nie mamy jeszcze jasnych wskazówek – powiedziała. – Nie zażądano okupu. Nie jesteśmy pewni, czy porywacz chciał zażądać okupu, ale nie zrobił tego ze względu na interwencję policji. Sekwencja pytań i odpowiedzi pomiędzy porywaczem i ofiarą wskazuje na niejasne motywy polityczne.

– Wstępna analiza głosu wskazuje na to, że porywacz jest dobrze wykształconym mężczyzną powyżej trzydziestego piątego roku życia. Znał również wiele szczegółów dotyczących życia ofiary i jej rodziny, więc istnieje możliwość powiązania z rodziną Dunningów. To wszystko, co mamy.

Naczelnik Fleming wstała.

– Tych, którzy jeszcze nie wiedzą, chciałam poinformować, że dziś wczesnym rankiem zgłoszono zaginięcie mieszkanki Riverdale, siedemnastoletniej Chelsea Skinner. Jej ojciec, Harold Skinner, jest prezesem nowojorskiej giełdy. Porywacz jeszcze się nie skontaktował, ale uznajemy, że za zniknięciem dziewczyny stoi ta sama osoba.

Kiedy wróciliśmy na swoje miejsca, wielu ze zgromadzonych z niedowierzaniem kręciło głowami. A jeszcze więcej osób zaczęło narzekać. W tej chwili nie mieliśmy żadnych tropów i było to najgorszą możliwą sytuacją dla jednostki zajmującej się tak medialną sprawą.

Nie byłem w najmniejszym stopniu zaskoczony, gdy kilka minut później usiadła obok nas Georgina Hottinger. Dorzucanie swoich bezsensownych trzech groszy wydawało się jej ulubionym zajęciem.

– Nie życzę sobie żadnych przecieków z tej jednostki. Mówię poważnie. Każdy,

komu przyjdzie do głowy skontaktować się ze swoją wtyczką w prasie, powinien się zastanowić, czy zależy mu na stanowisku. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz nam trzeba, jest jakiś medialny cyrk.

Odwróciła się i wpatrywała w Emily.

– Czy wyraziłam się dość jasno i dobitnie? – zapytała.

– Niezbyt jasno – odpowiedziała Emily ze swoim czarującym uśmiechem dziewczyny z Południa. – Ale zdecydowanie dobitnie.

Rozdział 22

W ciągu kolejnej godziny ustalono plan postępowania naszej jednostki. Grupa dowodząca, złożona ze wszystkich naczelników, miała stacjonować przy One Police Plaza razem z koordynatorami służb wywiadowczych, których zadaniem miało być zbieranie, przetwarzanie, analizowanie i rozpowszechnianie wszelkich poszlak i nowych śladów w sprawie. Grupa operacyjna, gotowa do działania razem z oddzielną grupą dochodzeniową, mogła w każdej chwili udać się w miejsce zbrodni albo do domu ofiary.

Emily i ja, jako główni koordynatorzy dochodzenia, od razu ruszyliśmy do rezydencji Skinnerów w części Bronksu nazywanej Riverdale. Ucieszyliśmy się, że możemy uciec od tego całego zamieszania.

Mój telefon zadzwonił, gdy wjechaliśmy na autostradę West Side.

– Bennett, słucham.

– Z tej strony też Bennett, detektywie – powiedział Seamus. – Chciałem omówić z tobą plany wiesz czego, wiesz kogo.

Mówił o Mary Catherine. W środę wypadały jej urodziny i planowaliśmy wielką niespodziankę. Pokręciłem głową. Lepiej, żebym wymyślił coś dobrego. Biorąc pod uwagę to, jak dziwnie się ostatnio zachowywała, jej urodziny będą musiały być towarzyskim wydarzeniem roku albo będę miał przechłapanie.

– W tej chwili jestem zajęty – odparłem. – Oddzwonię.

– Och, rozumiem. Jesteś z nią teraz, prawda? – Seamus odezwał się konspiracyjnym tonem. – Nie dziwię ci się, jest urocza. Gdybym był w twoim wieku, też bym się nią zainteresował. Daj mi liścik, a ja jej go przekażę. Przecież wiesz, że tego chcesz.

Rozłączyłem się.

– Kto to był? – zapytała Emily.

– Pomyłka – wymamrotałem.

Emily pokręciła głową i spojrzała na mnie z uśmiechem.

– Chciałam cię zapytać, jak to robisz – powiedziała. – Świetny gliniarz. Świetny tata. Głowa na karku. Jak ci się to udaje z dziesiątką dzieci? Aha, i z kotem. To już wygląda na popisywanie się.

Zaśmiałem się, gdy tak pędziliśmy na północ w kierunku Bronksu.

– Czytasz we mnie jak w otwartej księdze – powiedziałem. – Kota wypożyczam, żeby podkreślić atmosferę.

Rozdział 23

Dom Skinnerów stał przy Independence Avenue, około kilometra na zachód od Henry Hudson Parkway, w okolicy Wave Hill. Za porośniętym bluszczem domem w stylu Tudorów rozciągał się oszałamiający widok na rzekę Hudson.

W okolicy panowała atmosfera dystynkcji. Gdy wysiadałem z samochodu, pomyślałem, że dobrze byłoby mieć ogród. Wyobraziłem sobie spokój i ciszę, gdy siadam na nagrzaną trawie z zimnym drinkiem. A raczej fantazjowałem. W granicach Nowego Jorku domy z widokiem na rzekę z atmosferą dystynkcji chodzą za ośmiocyfrowe sumy.

Spotkaliśmy się z Schultzem i Ramirezem na żwirowym podjeździe w kształcie podkowy.

– Wczoraj, około dziesiątej, Chelsea wymknęła się z domu, żeby z kilkoma koleżankami iść na imprezę w centrum – zaczął Ramirez, spoglądając w swoje notatki. – Powiedziały, że wysiadła z taksówki tutaj, na rogu Pięćdziesiątej Czwartej i Dwusetnej Zachodniej około drugiej trzydzieści. Nie chciała wysiadać tuż pod domem, żeby nie obudzić rodziców. Mama Chelsea znalazła jej torbę razem z telefonem komórkowym na podjeździe tuż przed szóstą rano. Musiał na nią czekać. Nikt nie widział człowieka ani samochodu. Sąsiedzi nic nie słyszeli.

– Sprawdziliśmy już Skinnerów – włączył się Schultz. – Są czyści, ale jakiś rok temu Chelsea dostała mandat i musiała stawić się w sądzie za picie w metrze. Podobno mają z nią trochę kłopotów.

Gdy szliśmy w kierunku wejścia, doliczyłem się czterech luksusowych samochodów zaparkowanych na podjeździe. Wysoki, wyglądający na zdenerwowanego mężczyzna w prążkowanym garniturze otworzył drzwi w chwili, gdy mieliśmy nacisnąć dzwonek.

– I co? Słyszeliście już coś? – Wpatrywał się w moją odznakę. – Znaleźliście Chelsea? Chcę odpowiedzi.

– Czy pan Harold Skinner? – zapytałem.

– Nie. Pan Skinner jest zajęty umieraniem ze smutku z powodu zniknięcia swojej córki.

Za jego plecami pojawiła się krągła kobieta w średnim wieku.

– Mark – odezwała się do mężczyzny. – Jesteś moim bratem i kocham cię, ale czy mógłbyś mi wyświadczyć przysługę i przestać chociaż na chwilę?

– Rachel Skinner – powiedziała, potrząsając moją dłońią. – Proszę wejść.

Jakieś sześć osób należących do rodziny Chelsea siedziało w zupełnej ciszy w salonie. Mieli czerwone oczy i wyglądali na zdruzgotanych, jak żałobnicy na stypie. Kolejna mocno ze sobą związana rodzina była tego ranka w agonii.

– Czy jest tu gdzieś pan Skinner? – zapytałem. – Z nim również będziemy musieli porozmawiać.

– Przykro mi – odparła pani Skinner. – Odpoczywa. Jest na śródkach uspokajających. Nasz lekarz rodzinny wyszedł chwilę przed waszym przyjazdem. Proszę mi coś powiedzieć, detektywie. Słyszałam, że ten porwany chłopak został znaleziony z popiołem na czole. To katolicki zwyczaj, prawda? Jesteśmy Żydami. Co to oznacza?

Zastanawiałem się, skąd o tym wiedziała. Nie podawaliśmy tego do wiadomości mediów. Ktoś z naszego zespołu musiał się wygadać. Stawiałem na wiceburmistrz Hottinger. To tyle, jeśli chodzi o nieujawnianie szczegółów śledztwa.

– Wyraża to u katolików chęć odpokutowania swoich grzechów – wyjaśniłem. – Oprócz powstrzymania się przed dogadzaniem sobie, paleniem papierosów, piciem czy jedzeniem mięsa w piątek, podczas postu symbolizuje to dzielenie się ofiarą, jaką poniósł Chrystus.

– Rozumiem. Czyli ta osoba, porywacz, jest katolikiem?

– Tego nie wiemy – odpowiedziałem biednej kobiecie zgodnie z prawdą. – Nie wiemy nawet, czy Chelsea została porwana. Proszę nie zakładać najgorszego. Zajmijmy się wszystkim po kolei.

Rozdział 24

Ścianę korytarza prowadzącego do kuchni obwieszono rodzinnymi zdjęciami. Chelsea była piękną ciemnowłosą dziewczyną z uderzającymi, jasnoniebieskimi, niemal szarymi, oczami. Na najnowszej fotografii miała na sobie bluzę z kapturem i napisem „Ratownik”.

– Ma pani piękną córkę – powiedziała Emily, gdy pani Skinner prowadziła nas do dużego, jasnego kuchennego stołu.

– Gdy miała sześć lat, u Chelsea wykryto guza mózgu, rdzeniaka na pniu mózgu – cicho oznajmiła ta miła kobieta, nalewając nam kawę. – Pokonała go. Miała operację, chemioterapię. Jest wojowniczką. To, co dzieje się teraz, nawet się z tamym nie równa. Wygrzebie się z tego. Jestem pewna.

Chciałbym móc podzielać niezwykle przekonanie pani Skinner.

Kilku chłopaków z jednostki wsparcia technicznego przyjechało, aby założyć podsłuchy na komórki i linię stacjonarną Skinnerów. Pojawił się również technik FBI z Nowego Jorku i zainstalował oprogramowanie śledzące przychodzące e-maile, gdyby nasz facet zmienił taktykę.

Pani Skinner pokazała nam pokój Chelsea na trzecim piętrze. Miał spadzisty sufit z drewnianymi belkami i mały balkon wychodzący na ogród i osłonięty basen. Pokój wyposażony był w eleganckie, nowoczesne meble. Wyglądał bardziej jak pokój bogatej trzydziestokilkulatki niż nastolatki. Na tym tle pokój Jacoba wydawał się prosty i dziecinny.

Między Chelsea i Jacobem musiał istnieć jakiś związek. Oboje byli jedynakami, dziećmi bogatych rodziców. Dowiedzieliśmy się, że Chelsea uczęszczała do Fieldston, pobliskiej drogiej, prywatnej szkoły, która znajdowała się blisko Horace Mann, szkoły, którą ukończył Jacob. Czy się znali? Może jakiś nauczyciel pracował w obu placówkach? Czy to ich łączyło?

Jednej rzeczy byłem pewien: ten facet nie wybierał nazwisk z kapelusza.

Gdy pani Skinner wyszła z pokoju, Emily naciągnęła gumowe rękawiczki

i włączyła laptopa dziewczyny. Stroną startową był jej profil na portalu MySpace.

Przez ramię Emily czytałem fragmenty wpisów Chelsea. Niektóre rzeczy były bardzo odważne. Chwaliła się swoimi seksualnymi podbojami. Fantazjami pełnymi przemocy. Zdumiałem się, widząc jej śmiałe zdjęcia.

– Czy dzieciaki tak się teraz bawią? – zapytała Emily.

Pokręciłem z niedowierzaniem głową na widok zdjęcia Chelsea z mocno umalowanymi rzęsami. Czy tego mam się spodziewać, gdy moja córka Julia za trzy lata skończy siedemnaście lat?

– Boże, mam nadzieję, że nie – powiedziałem. – Do zapamiętania: zostać menonitą i zacząć oszczędzać pieniądze na dom w głuszy. Mam dziesięcioro dzieciaków. Możemy nauczyć się prowadzić farmę, prawda? Pojednać się z Matką Ziemią, zmniejszyć emisję gazów cieplarnianych i jednocześnie budować ich charaktery.

– Nie zapomnij o kocie – dodała Emily.

– Jasne. Socky – uzupełniłem. – Mógłby wypasać krowy.

Rozdział 25

Wychodziłem z pokoju Chelsea, gdy zadzwonił telefon. Nie był to jednak telefon Skinnerów, ale moja komórka.

– Mike, cześć. Jak spałeś? Dobrze, mam nadzieję? Sukinsyn! Zatrzymałem się w pół kroku porażony gwałtownym skokiem adrenaliny. To on! Ten przebiegły drań dzwonił do mnie, zamiast do Skinnerów.

– W porządku – odparłem, odklejając się od dywanu i pędząc schodami w dół do gabinetu, gdzie znajdował się sprzęt techników. Znalazłem jednego z nich i podekscytowany wskazałem na swój telefon. Wyjął z torby dyktafon i podał mi go. Trzymałem go blisko słuchawki.

– Cieszę się, że oddzwoniasz – powiedziałem. – Gdzie jesteś? Może moglibyśmy się spotkać i porozmawiać?

– Może. Ale z drugiej strony, może jednak nie, Mike. Jak ci się podoba dom Skinnerów? Wyjątkowy, prawda?

Co? Skąd wiedział, że tu jestem? A może tylko zgadywał? Czy nas obserwował?

– I ten widok – kontynuował. – Potężna rzeka poniżej tych srogich urwisk. Można dać się za nie zabić. Przepraszam za to sformułowanie. Sam Thomas Cole nie potrafiłby oddać ich piękna, zgodzisz się? Ale co ja robię, wspominając takie nazwiska w rozmowie z policjantem. Thomas Cole był malarzem. Zapoczątkował Hudson River School.

– Czy Frederic Edwin Church też był ze szkoły Hudson River? – zapytałem, aby podtrzymać rozmowę.

– Ależ tak. Zgadza się, Mike. Znasz się na historii sztuki. Gdzie chodziłeś do szkoły?

Do Akademii Policyjnej, śmieciu, miałem ochotę powiedzieć.

– Manhattan College.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– Jest raczej mały. Możemy porozmawiać z Chelsea? Jesteśmy gotowi dać ci to,

o co prosisz, jeśli tylko przedstawiś nam swoje żądania.

Padły następnie słowa, których bardzo nie chciałem usłyszeć.

– Skoro tak, to posłuchaj uważnie – zaczął. – Chcę, żebyś tu przyjechał i ją zabrał. Chcę, żebyś wpadł tu po małą Chels i zabrał ją do mamusi. Wiesz, jak to wygląda. Wsiadaj do samochodu. Dziesięć minut. Możesz zabrać swoją uroczą przyjaciółeczkę z FBI, jeśli chcesz.

Rozdział 26

Łódź wycieczkowa Circle Line przepływała pod mostem Amtrak na Cieśninie Harlemskiej, gdy pędziliśmy przez most Henry’ego Hudsona.

A gdy spojrzę państwo w górę, myślałem, jadąc na sygnale pasem dla uprzywilejowanych, ujrzą państwo autentycznego, znerwicowanego nowojorskiego gliniarza, który za chwilę przekroczy barierę dźwięku.

Włączyłem syrenę, kiedy przemknęliśmy przez otwartą barierkę przy stanowisku opłat już po stronie Manhattanu, jadąc z zawrotną prędkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę.

Właśnie się dowiedzieliśmy, że Chelsea była w Harlemie. Nie mogłem stracić kolejnego dzieciaka. Jeśli była jakakolwiek szansa, że dotrzemy do niej, zanim będzie za późno, musiało mi się udać.

– Gdzie teraz jesteście? – odezwał się porywacz. Znów postanowił, że będzie mnie kierował na bieżąco, ulica po ulicy. Mój prywatny, obłąkany nawigator.

– Po manhattańskiej stronie mostu Hudsona – odparłem.

– Czy wiedzieliście, że Robert Moses zbudował go w latach trzydziestych, wykorzystując siłę roboczą New Deal? W ciągu dwudziestu lat Mosesowi udało się wybudować większość nowojorskich mostów, parkingów i plaż publicznych. Wieże WTC zawaliły się niemal dziesięć lat temu i nadal jest w ich miejscu tylko dziura. Nasza cywilizacja się kończy, Mike. To oczywiste. Podobnie jak nasza planeta. Wyjmij z szuflady widelec i wyłącz czasomierz na piekarniku. To miejsce jest już skończone.

– Halo? Halo? Chyba tracę zasięg – powiedziałem, gdy zdjąłem z głowy słuchawkę, żeby wytrzeć pot i nie słuchać jego pieprzenia. Siedząca obok Emily zajmowała się dwoma nadajnikami i swoją komórką. Zakryłem dłonią mikrofon w swoim telefonie.

– Jak to wygląda? – szepnąłem.

Oprócz lotnictwa i oddziału specjalnego, które nas wspierały, firma

telekomunikacyjna również nam teraz pomagała, próbując sprawdzić, skąd nawiązano połączenie.

– Verizon nadal zbiera pomiary trygonometryczne – odparła Emily. – Na razie nic nie mamy.

Prowadziłem samochód i intensywnie zastanawiałem się, jak można wyprowadzić porywacza z równowagi i sprawić, aby poczuł, że jest pod presją. Teraz to on rozdawał karty, a co najgorsze, z tonu jego głosu można było wywnioskować, że doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

– Jesteś tam? – zapytał zniecierpliwiony, gdy znów włożyłem słuchawki.

– Halo? Halo? – odezwałem się. – Zasięg jest już chyba w porządku.

– Zasięg, tak? Wierzę ci, Mike. Prawie. A teraz skręć w zjazd na most Jerzego Waszyngtona.

Cholera, pomyślałem. Zjazd mijaliśmy właśnie w tej sekundzie. Zakręciłem kierownicą, bezlitośnie kosząc rząd pomarańczowych słupków odgradzających pas z pracami drogowymi. O włos udało nam się uniknąć czołowego zderzenia z wózkiem z oświetleniem i znaleźliśmy się na odpowiednim pasie.

– Słyszysz mnie? – pytał porywacz. – Jedź w kierunku Broadwayu, jeśli to niezbyt duży kłopot.

Rozdział 27

Jechałem według instrukcji porywacza przez Washington Heights i dalej, w głąb Harlemu. Kiedy skręciliśmy z Broadwayu w St. Nicholas Avenue, minęliśmy kilka wielkich osiedli, które były równie nieprzyjemne i ponure, jak magazyny w dzielnicy przemysłowej.

Sklepiki na rogach i knajpki z chińskim jedzeniem na wynos miały kuloodporne szyby. Okolica wyglądała podobnie do części Bronksu, w której znaleźliśmy Jacoba Dunninga.

Byłem w kolejnej magicznej i tajemniczej podróży po mieście, w której towarzyszyła mi ciągła narracja.

– Dobrze się rozejrzyj, Mike – powiedział porywacz. – Pamiętasz Wojnę z Biedą?¹⁰ Bieda wygrała. Afroamerykanie i Latynosi zostali zwabieni do miast perspektywą pracy, a potem posady zostały im zabrane i oddane białym. Od rasowej i ekonomicznej nierówności, która wciąż istnieje w tym kraju, czasem aż mnie mdli. Nie chodzi tylko o to, co dzieje się tutaj. Popatrz na miejsca takie jak Newark, Pittsburgh czy St. Louis. Mamy dwudziesty pierwszy wiek, a nadal brakuje przyzwoitych miejsc pracy dla kolorowych. Za to dyskryminacji jest pod dostatkiem.

– Dokąd teraz? – zapytałem.

– Jesteś coraz bliżej. Skręć w lewo w Sto Czterdziestą Pierwszą, potem w lewo w Bradhurst i w prawo w Sto Czterdziestą Drugą – instruował porywacz.

Na rogu Sto Czterdziestej Drugiej stał samotny budynek z czerwonobrazowego piaskowca, który otaczały głównie ruiny i gruzy. Zwolniłem, przyglądając się okolicznym krzakom. Zauważyłem pieluchę, materac i zardzewiały sklepowy wózek, ale – na szczęście – nigdzie nie było Chelsea.

– Podjedź pod numer dwieście osiemdziesiąt sześć. Tam właśnie ją znajdziecie, Mike. Muszę kończyć. Pozdrów mamę – powiedział i rozłączył się.

Szybko przyjrzałem się gmachom i z piskiem opon zatrzymałem się przy

budynku pod podanym adresem. Wyskoczyłem z samochodu i patrzyłem na kopułę w kształcie cebuli, górującą nad trzypiętrowym budynkiem przede mną.

– To meczet – odezwałem się przez nadajnik do naszych posiłków. – Powtarzam: znajdujemy się przed budynkiem numer dwieście osiemdziesiąt sześć przy Sto Czterdziestej Drugiej po północnej stronie ulicy. Nie możemy czekać.

Wchodzimy frontowym wejściem.

Otworzyliśmy drzwi i wkroczyliśmy pospiesznie do obszernego, obskurnego holu. Wyglądało na to, że meczet powstał w budynku, w którym niegdyś mieściło się kino.

– Halo? – zawołałem, gdy weszliśmy do pomieszczenia, w którym wcześniej stały siedzenia. Miało teraz okna, a podłogę pokrywały orientalne dywany. Domyśliłem się, że to sala do modlitw. Jasne pomieszczenie podzielone było na pół dużym koronkowym parawanem, a jedną ze ścian wyłożono zdobionymi kafelkami.

Przysadzisty ciemnoskóry mężczyzna w jasnozielono-czerwono-żółtym kufi na głowie pojawił się w drzwiach w przeciwnym końcu sali. Szedł szybko w naszym kierunku, a na jego twarzy widać było szok i złość.

– Kim jesteście? Co tu robicie? Tutaj nie można tak wchodzić. Macie buty! Nie można wchodzić w butach na mussala. Zwariowaliście? Nie widzicie, że to święte miejsce?

Pokazałem mu swoją odznakę.

– Jesteśmy z policji. Szukamy dziewczyny, która została...

Mężczyzna chwycił gwałtownie klapy mojej marynarki.

– Nie obchodzi mnie, kim jesteście – krzyknął, ciągnąc mnie w stronę drzwi. – Bezcześćcie święte miejsce. Wynoście się stąd natychmiast! Nie macie prawa tu być!

Kiedy się szarpaliśmy, przypomniałem sobie incydent w harlemskim meczecie w latach siedemdziesiątych, podczas którego zginął policjant. Ostatnim, czego teraz potrzebowaliśmy, był konflikt policji z lokalną społecznością.

Chwilę później umięśniony mężczyzna niespodziewanie upadł na bok. Emily udało się go jakimś sposobem przewrócić i teraz jej kolano wbijało się w jego plecy, gdy skuwała mu nadgarstki kajdankami. Pomogłem jej postawić zdenerwowanego mężczyznę na nogi.

– Proszę pana – zaczęła Emily. – Proszę się uspokoić. Przepraszamy za wtargnięcie w butach. Nie byliśmy świadomi, że popełniamy błąd, i jest nam

przykro. Jesteśmy funkcjonariuszami wymiaru prawa szukającymi porwanej dziewczyny. Powiedziano nam, że tu jest. Proszę nam pomóc. Życie młodej dziewczyny wisi na włosku.

– Rozumiem – powiedział. – Nazywam się Yassin Ali, jestem imamem. Straciłem nad sobą panowanie. Oczywiście, pomogę wam, jak tylko mogę.

Emily uwolniła go z kajdanek, a on zaprowadził nas z powrotem do holu.

– Mówicie, że porwana dziewczyna gdzieś tutaj jest? – zapytał, patrząc na nas z niedowierzaniem. – Ale to niemożliwe. Od porannej modlitwy nikogo tu nie było. Jak się nazywa ta dziewczyna? Czy należy do naszej wspólnoty?

Pokazałem mu zdjęcie Chelsea.

– Biała? – zmieszał się. – Nie. Niemożliwe. To musi być pomyłka.

– Czy wydarzyło się dziś coś niezwykłego? Cokolwiek, co mogłoby doprowadzić nas do miejsca, w którym przetrzymywana jest dziewczyna? – zapytałem. – Może mieliście jakieś dostawy albo...

– Nie – odparł, ale po chwili zastanowienia w jego oku pojawił się błysk.

– A w zasadzie to tak. Kiedy przyszedłem, usłyszałem głośny hałas dobiegający z boku budynku, od strony, gdzie znajduje się moje biuro. Między naszym meczetem a sąsiadującą budową biegnie wąska alejka. Myślałem, że może któryś z budowlańców znów wrzucił tam jakieś śmieci, ale kiedy wyjrzałem, nic nie zauważyłem.

– Proszę nam pokazać to miejsce – poprosiła Emily. – Nie mamy chwili do stracenia.

Rozdział 28

Alejka, którą pokazał nam Yassin, była straszna. Śmierząca woda z pękniętej rury kanalizacyjnej spływała po ceglanej ścianie sąsiedniego budynku w przebudowie. Wyblakła, niebieska plandeka zwisała z dziury na trzecim piętrze.

Kiepską okolicę na Manhattanie poznać można było po tym, że uciekali z niej nawet spekulanci rynku nieruchomości.

Serty śmieci w ciemnej alejce wyglądały jak ze zdjęć przedstawiających czas Wielkiego Kryzysu. Ruszyłem pierwszy, a kiedy przedzierałem się przez worki ze śmieciami, stare cegły i zardzewiałe drzwi samochodowe, żałowałem, że nie zabraliśmy kaloszy.

Wracałem już z końca uliczki, gdy potknąłem się o porzuconą, przewróconą lodówkę, która nadal miała drzwi. Zgodnie z prawem, dozorczy mieli obowiązek usuwać drzwi, ponieważ zdarzało się, że ciekawskie dzieciaki zatrząskiwały się w nich i dusiły.

Zabrakło mi tchu, gdy nagle przez głowę przeszła mi pewna myśl.

Butem podniosłem drzwi chłodziarki.

Zrobiło mi się słabo, gdy spojrzałem w dół.

Nie chciałem patrzeć na to, co zobaczyłem, ale nie mogłem oderwać wzroku. Zatoczyłem się i oparłem o płot z siatki. Zakrywając usta trzęsącą się dłonią, stałem wpatrzony w potłuczone szkło błyszczące pośród gruzów za alejką. W oddali słychać było pociąg. Na wietrze zaszeleściła porzucona plastikowa torebka.

Wróciłem, dopiero gdy podeszła Emily. Staliśmy przy otwartej lodówce, poważni i milczący jak żałobnicy przy dziwnej, białej trumnie.

Ze środka wpatrywały się w nas oczy Chelsea Skinner.

Musiała mieć złamany kark, kiedy ją upychano w lodówce, ponieważ reszta ciała była obrócona w kierunku ziemi. Wyglądało na to, że nogi również miała połamane, aby zmieściła się w środku.

Na czubku głowy miała dziurę po kuli, a na czole krzyż nakreślony popiołem.

Emily położyła dłoń w gumowej rękawiczce na policzku dziewczyny.
– Złapię człowieka, który ci to zrobił – obiecała i wyjęła z kieszeni telefon.

Rozdział 29

Dudnienie policyjnego helikoptera, który unosił się nisko nad ziemią, odbijało się echem w moich pulsujących żyłach, gdy zostawiłem Emilię i ruszyłem wąską alejką z powrotem w stronę chodnika.

Wpatrywałem się w zniszczone trzy – i czteropiętrowe ceglane czynszówki po drugiej stronie ulicy. Na parterach mieściły się porzucone sklepy z zamkniętymi stalowymi okiennicami, ale w wielu oknach na wyższych piętrach zauważyłem zasłony albo żaluzje. Ktoś musiał coś widzieć.

Wokół furgonetki służb ratowniczych, która właśnie się pojawiła i zaparkowała przed meczetem, zebrał się tłum. Za przednią szybą zauważyłem porucznika Montanę, który wzywał przez radio posiłki. Wokół pojazdu zgromadziło się wielu członków wspólnoty muzułmańskiej, mężczyzn w kufi i kobiet w hidżabach. Reszta grupy – okoliczni mieszkańcy szukający sensacji – też zdawała się powiększać z minuty na minutę.

Wyjąłem zdjęcie Chelsea i podszedłem do zgromadzonych.

– Ta dziewczyna została znaleziona martwa w tamtej uliczce – ogłosiłem, podnosząc zdjęcie. – Czy ktoś widział cokolwiek dziś rano?

– Och, biała. To dlatego jest tu takie zamieszanie. Wszystko jasne – odezwała się pulchna młoda kobieta, śmiejąc się i jedząc jakieś danie na wynos.

– Proste – powiedział wysoki mężczyzna z gęsto zaplecionymi warkoczykami, który stał obok niej. – Po co wy, gliniarze mieszacie się do meczetu? To bogobojni ludzie. Nękanie ich. Religijna i rasowa dyskryminacja. Nic nie wiemy o żadnej białej dziewczynie!

Widząc, jak ten mężczyzna stoi i nieświadomie chroni swój prawy bok, mógłbym założyć się o swoją pensję, że wiem, co ma pod obszerną bluzą z logo Giantsów. Chciałem natychmiast go zgarnąć. Sprawić, żeby na tym mądrali skrupiła się złość, która nadal we mnie buzowała. Mało mnie obchodziło, że mogłoby to rozjuszyć tłum gapiów.

Westchnąłem głęboko i zrezygnowałem z tego pomysłu, gdy chwilę później na miejscu pojawiło się kilka radiowozów z dwudziestego piątego posterunku.

Zacząłem iść z powrotem na miejsce przestępstwa, kiedy z drugiej strony ulicy usłyszałem dźwięk zatraskiwanego okna. Za zakurzoną szybą jednego z mieszkań na drugim piętrze dostrzegłem wpatrującą się we mnie chudą, ciemnoskórą kobietę w średnim wieku. Nawiązała ze mną kontakt wzrokowy i skinęła na mnie głową, po czym zniknęła w głębi pokoju.

Chciała porozmawiać, ale nie przy okolicznych mieszkańcach. Proszę, niech to do czegoś nas doprowadzi, modliłem się w myślach, gdy szedłem po Emily.

Zostawiłem kilku mundurowych, aby nie wpuszczali nikogo w pobliże miejsca odnalezienia ciała, i przeszedłem z Emily przez ulicę. Kiedy byliśmy w holu, zabręczał zamek wewnętrznych drzwi i zaczęliśmy wchodzić na górę. Dotarliśmy na ostatnie piętro po wąskich schodach. Otworzyły się jedne z drzwi w korytarzu. Kobieta, którą widziałem w oknie, przyłożyła palec do ust i po cichu pokazała nam, abyśmy weszli do środka.

Mieszkanie było bez zarzutu. Meble gustownie ustawiono na błyszczącej drewnianej podłodze, a w kuchni dominowała wyspa z granitu i nierdzewna stal. Przez otwarte drzwi do łazienki zobaczyłem kwiecistą bluzę od uniformu pielęgniarki przewieszoną przez pręt od prysznicowej zasłanki.

Kobieta przedstawiła nam się jako pani Price. Gdy weszliśmy do salonu, pokazałem jej zdjęcie Chelsea.

– Ciało tej dziewczyny znaleziono po drugiej stronie ulicy – odezwałem się cicho.

Kobieta uciszyła mnie i zaczęła przyglądać się fotografii.

– Kolejne dziecko ginie – powiedziała z melodyjnym karaibskim akcentem. – Powiedziałabym, że ten świat oszalał, ale nie pamiętam czasów, kiedy taki nie był.

– Czy ma pani jakieś informacje, którymi mogłaby się z nami podzielić, pani Price? – zapytała Emily. – Prawdopodobnie zdarzyło się to tuż po piątej rano, gdy w głośnikach rozległo się wezwanie na modlitwę.

– Och, znam te cholerne głośniki – powiedziała. – To powinno być zakazane. Religia czy nie religia, po prostu hałasują. Dzwoniłam do urzędu miejskiego wiele razy, ale myślicie, że coś się zmieniło? Jeśli tak, to pomyślcie jeszcze raz.

– Czy coś pani widziała? – znów zapytała Emily.

– Nie – odparła. – Ale porozmawiajcie z tym Big Ice'em. Jest lokalnym dilerem.

– Ten głośny facet z warkoczykami? – upewniłem się.

Kobieta zacisnęła usta i skinęła głową.

– Wielki Diabeł, ja tak go nazywam. Zamienia całą przecnicę w piekło i utrudnia życie wszystkim przyzwoitym ludziom, którzy mają pracę i starają się wychowywać dzieci. Ludzie Big Ice’a od rana stoją na rogu i nie ruszają się do późna w nocy. Jeśli cokolwiek wydarzyło się w okolicy, to oni musieli to widzieć. Myśli, że jest cwany, bo kieruje biznesem ze swojego sklepu z ciuchami za rogiem, a jego ludzie odwalają za niego brudną robotę.

– Jak nazywa się ten sklep? – zapytałem.

– Ener-G Boutique. Sprzedają tam te koszarne hiphopowe ubrania. Tuż za rogiem.

– Jest pani dobrą kobietą – powiedziałem, chowając zdjęcie. – Mówienie o takich sprawach świadczy o odwadze.

– Powiedzcie matce tej pięknej dziewczyny, że jej bardzo współczuję – odezwała się chuda kobieta, gdy szliśmy do drzwi. – Ledwo udało mi się wychować trzech synów w tej dzielnicy. Gdyby ktoś mi ich odebrał w ten sposób, nie wiem, co bym zrobiła.

Rozdział 30

Ener-G Boutique znajdował się dokładnie tam, gdzie powiedział nasz świadek. Spodziewałem się jakiegoś podejrzanego interesu, ale sklep wyglądał na legalny. W witrynie wystawione były ubrania znanych marek, takich jak Wu-Tang Clan, Phat Farm, Sean John, G-Unit i FUBU. Najwyraźniej sprzedawali także buty, ponieważ na drzwiach wisiały neony Timberlanda i Nike'a.

Sprzedawczyni, która za ladą zajęta była wyrywaniem sobie brwi pęsetką, nie zdążyła powiedzieć „W czym mogę pomóc?”, ponieważ razem z Emily i kilkoma gliniarzami z oddziału specjalnego wpadliśmy do sklepu z bronią gotową do strzału. Big Ice siedział na ławeczce do przymierzania butów i gdy do niego podeszliśmy, wkładał parę nike'ów, model Dunk.

– Tak? – zapytał lekko zniecierpliwionym tonem, patrząc na nas.

Obok niego leżały dwa telefony komórkowe, a pod ławką plastikowa torba z logo Ener-G. Wyraźnie było widać, że w reklamówce znajduje się chromowany automat.

– Nie ruszałbym się na twoim miejscu – powiedziałem. Uklęknąłem i podniosłem torbę, w której był pistolet Browning Hi Power, kaliber 9 mm. – Masz na to pozwolenie? – Pokazałem mu broń.

– Och, to nie jest moja torba, panie władzo. Ktoś musiał ją tutaj zostawić. Przeszedłem tutaj tylko, żeby kupić sobie nowe buty.

W reklamówce znajdowało się również pudełko na buty. Odwróciłem je i od beżowej wykładziny odbiła się przezroczyta torebka z kilkunastoma ciasno zwiniętymi rulonami dwudziestodolarówek.

– Rozumiem, że te pieniądze też nie są twoje? Ani nic innego, co znajdę, gdy przewrócimy to miejsce do góry nogami?

– Ach, rozumiem – powiedział Big Ice, patrząc najpierw na mnie, a następnie na każdego gliniarza, który znajdował się w jego sklepie. – Będziecie próbować zwalić na mnie winę za śmierć tej dziewczyny. Ginie biała dziewczyna, więc

wińmy wielkiego czarnego faceta. Bardzo oryginalnie. Co za bzdura.

Big Ice miał rację. Nasze postępowanie w żadnym razie nie było zwykłą policyjną procedurą. Nie obchodziło mnie to. Podręcznikowe postępowanie już mnie nie interesowało. Nie miałem czasu na wysłuchiwanie tysięcznego „Nic nie widziałem”. Miałem dość oglądania martwych dzieciaków.

– Rzuć mi moją komórkę, to zadzwonię do swojego prawnika – powiedział Big Ice, demonstracyjnie ziewając. – Ten biały chłoptaş dostaje ode mnie stałą pensję. W minutę wypieprzy w kosmos wasz pomysł nielegalnego przeszukiwania tego sklepu.

– Może – zgodziłem się. – Ale sam cholerny Clarence Darrow¹¹ nie odzyska dla ciebie tego pudełka pełnego kasy.

Big Ice spojrział nagle na mnie, jakby na karku pojawiła mi się druga głowa.

– O! – Uśmiechnął się. – Chcecie się targować? Trzeba było tak od razu mówić, zamiast robić tu zamieszanie i denerwować moją panią. Trafiliście we właściwe miejsce. Co mogę dla was zrobić?

– Wiem, że ty albo twoi ludzie stoicie od rana na tym rogu – zacząłem. – Ta dziewczyna nie spadła z nieba. Ktoś ją tu wyrzucił. Pomożesz mi zdobyć informacje, a ja pozwolę ci zająć się zakupami. Może nawet zostawię tę torbę tam, gdzie zostawił ją jakiś zapominalski.

– Z całą zawartością? – z nadzieją zapytał Big Ice.

– Nie, pistolet będę musiał oddać do biura rzeczy znalezionych – odparłem.

Głośno westchnął, gdy zastanawiał się, co zrobić. Wreszcie skinął głową.

– Okay, mogę wykonać kilka telefonów – powiedział.

Rzuciłem mu jedną z jego komórek.

– Zuch chłopak.

Rozdział 31

Staliśmy wokół Big Ice'a, gdy dzwonił i zostawiał wiadomości.

– Nie martw się – oznajmił, zamykając klapkę telefonu. – Wiedzą, co się z nimi stanie, jeśli nie oddzwonią w ciągu dziesięciu minut.

Na ścianie, nad wieszakiem ze skórzanymi kurtkami marki Avirex, przymocowany był płaskoekranowy telewizor ustawiony na kanał BET. Big Ice podniósł się z trudem, znalazł pilota pod kasą i przełączył na program CNBC. W skupieniu wpatrywał się w ekran, na którym łysy biały mężczyzna w szelkach mówił o procedurach IPO¹².

– Do diabła, i wy mówicie, że ja jestem niedobry? – stwierdził Big Ice. – Może zainteresowałibyście się niektórymi z tych prywatnych spółek? Ci faceci kupują międzynarodowe firmy z papierami dłużnymi i tak dalej. Może powinienem spróbować tego w McDonalddie? „Hej, ile za tego Big Maca? Trzy dolce? Okay, biorę, ale w zamian możecie wziąć sobie pięć dolarów, które będzie mi winna Stacy”. Chyba by im się to nie podobało, co? Ale pomnóżcie taką ściemę przez kilka miliardów i nazwą waszym imieniem szpital. I jak to niby działa?

Emily przewróciła oczami.

– Grasz na giełdzie? – zapytała.

Big odwrócił się i spojrzał na nią.

– Wyglądam ci na kogoś, kto unikałby ryzyka, mała? Pewnie, że gram. Manipuluję moimi akcjami S&P 500 cały czas i zbieram dywidendy. Myślisz, że za mało zapłaciłem za najlepsze miejsca na mecze knicksów? Jak chcesz, to skontaktuję cię z moim brokerem – zaproponował, puszczając oko.

– Naprawdę? – sarkastycznie odpowiedziała mu Emily, gdy jeden z jego telefonów zadzwonił.

– Posłuchaj uważnie, Snap – powiedział do słuchawki. – Czy dziś od rana byłeś na rogu? Zamknij się i posłuchaj, durniu. Czy widziałeś kogoś przy meczecie wcześniej rano?

Big słuchał i przytakiwał.

– Co jest? – rzucił do słuchawki kilka chwil później. – To jest, że znaleziono jakąś białą dziewczynę w alejce przy meczecie, ziom, a ja nie chcę zostać za to przymknięty.

Złożył telefon.

– Mów – zażądałem.

– Snap powiedział, że koło piątej trzydzieści jakiś biały wysiadł ze swojej rozklekotanej żółtej furgonetki. Zauważył to, ponieważ interes o tej godzinie kiepsko się kręci i pomyślał, że ten koło to jakiś zdesperowany klient. Lubię wychodzić na róg trochę wcześniej i zostawać dłużej niż konkurencja. Klienci doceniają takie usługi.

– Nie wątpię. – Zacząłem się niecierpliwić. – Mów dalej.

– No więc Snap powiedział, że z furgonetki wysiadł chudy, siwy koleś w okularach i kombinezonie roboczym i wywiózł na wózku lodówkę. Snap uznał, że to na pewno dostawa na budowę. Facet wrócił do samochodu tylko z wózkiem, wsiadł, wykręcił i odjechał.

Wiedziałem, że nie ma po co pytać, czy pan Snap spisał numer rejestracyjny. Nie było to wiele, ale przynajmniej już coś mieliśmy.

– Czy to pomogło? – zapytał Big Ice, uśmiechając się i zacierając dłonie wielkości talerzy.

Rzuciłem torbę z pieniędzmi za narkotyki na ladę.

– Nie inwestuj wszystkiego w akcje jednej firmy – zawołała Emily na odchodne.

Rozdział 32

Kiedy wróciliśmy pod meczet, tłum gapiów wydawał się spokojniejszy. Imam Yassin stał na chodniku i kojącym głosem rozmawiał z ludźmi.

Przekazałem telefonicznie oficerom informacje, które udało nam się zdobyć. Powiedziałem, że otrzymaliśmy je z anonimowego źródła, aby nowi przyjaciele nowojorskiej policji, Big Ice i Snap, nie byli już niepokojeni.

– Okay, wypiszę kwity i przekażę właściwym ludziom – powiedział detektyw Kramer z mojego wydziału, który zarządzał jednostką służb wywiadowczych.

Ktoś chciał robić za mnie papierkową robotę? – pomyślałem, gdy się rozłączyłem. Zaczynało mi się to podobać.

Podszedłem do Johna Cleary’ego, zarządzającego jednostką badającą miejsca zbrodni, który zmierzał w kierunku alejki z pudełkiem na odpady zagrażające zdrowiu.

– Okazuje się, że podejrzany nie schował ciała do lodówki, John – oznajmiłem. – Facet przywiózł tu lodówkę z ciałem w środku.

– Nie gadaj? – zdziwił się Cleary, odczepiając swoją komórkę od kołnierza białego kombinezonu. – W takim razie zamiast wyjmować ciało tutaj, zabierzemy całą lodówkę do laboratorium.

Kiedy wsiałem do swojego samochodu, zadzwoniłem do detektywa Ramireza, który nadal był w domu Skinnerów, i przekazałem mu złe wieści. Głośno wypuścił powietrze.

– Do dupy – stwierdził. – Biedna kobieta. Nie zasługuje na to. Powiem jej, Mike. Wolałbym strzelić sobie w kolano, ale powiem jej.

Nie chcąc słyszeć wybuchu rozpacz, który zapewne zaraz miał nastąpić, szybko się rozłączyłem.

– Co o tym myślisz? – zapytała Parker, kiedy wsiała do samochodu.

– Myślę, że powinniśmy coś zjeść – odparłem. – Znam doskonale miejsce i zapewniam, że niemal uda ci się zapomnieć o ostatnich kilku godzinach.

Dziesięć minut później weszliśmy do restauracji Sylvia's przy Lenox Avenue, kilka przecznic dalej.

– Masz szczęście – powiedziałem Emily, wskazując na menu. Usiedliśmy przy stoliku w tym przytulnym miejscu, w którym unosiły się smakowite zapachy. – Nie tylko mają kaszę, ale także jarmuż.

– Jarmuż? O Panie, miej litość – zaciągnęła Emily z południowym akcentem, udając, że chłodzi się wachlarzem. – Już nigdy nie będę głodna, chociaż nigdy nie powiedziałabym, że jesteś entuzjastą tak wykwintnej kuchni, Mike.

– Nie zrozum mnie źle, Parker. Mogę osuszyć sześcioopak piwa i zjeść ziemniaki z moimi irlandzkimi braćmi. To moja żona pokazała mi wyrefinowaną kuchnię. Była smakoszem. W każdą sobotę przekonywała Seamusa, żeby pilnował naszej bandy, i zabierała mnie w nowe miejsca. Przychodziliśmy tu na jazzowy brunch w soboty.

Siedząc nad smakowitymi porcjami żeberek, które serwowała restauracja, przeszliśmy do omawiania sprawy.

– Myślę, że sprawy zaczynają posuwać się do przodu – powiedziała Emily między kolejnymi kęsami. – Świadek był okropny, ale pozwalając na to, żeby ktoś go zobaczył, nasz porywacz okazał się człowiekiem zdolnym do popełniania błędów. Przez chwilę nie byłam tego pewna. Ale przywożenie ciała w lodówce i porzucenie jej? To co najmniej dziwne, nie sądzisz? Dużo wysiłku wkłada w organizację swoich działań.

– Tak – przyznałem, wycierając usta serwetką. – Dla niego to nie tylko zadanie do wykonania, ale także przygoda.

– Ciągłe zadaję sobie pytanie, dlaczego on to robi – kontynuowała Emily. – Po co w ogóle udawać, że to porwanie? Nie prosił o okup. Dlaczego kontaktuje się z rodzinami, skoro i tak morduje swoje ofiary?

– Uwaga – powiedziałem. – Tak musi być, bo chce, żeby było tak dramatycznie, jak się da. Dlaczego większość psychopatów tak robi? W jakimś sensie są nieprzystosowani, ale jednocześnie mają ogromne ego. Popatrz na Oswalda. Głupków z Columbine¹³. Nie mogą zyskać sławy dzięki swoim zasługom, więc uwagę przyciągają zabijaniem.

– Ale – zaczęła Emily, unosząc palec umazany sosem barbecue – rozmawiałeś z tym facetem, Mike. Wydawał się wykształcony i elokwentny. Nie wydawał mi się nieprzystosowany.

Wzruszyłem ramionami.

– Musi więc mieć jakiś fizyczny defekt albo coś podobnego, ponieważ na pewno nie wrabia nas z tą zabawą w pytania i odpowiedzi. Nasz kulturalny przyjaciel jest w ekstazie.

– Masz rację – przytaknęła Emily.

Byłem zaskoczony, gdy Emily zamówiła Jacka Daniela.

– Co się stało z Coca-Colą? Słyszysz ten łomot? To J. Edgar przewraca się w grobie.

– Cóż mogę powiedzieć, Mike. Całkowicie mnie skorumpowałeś – powiedziała i puściła do mnie oko. – Ostrzegali mnie przed nowojorskimi glinami. Idiotka ze mnie. Mogłam słuchać.

Kiedy dostaliśmy rachunek, położyłem na nim swoją kartę kredytową.

– Czekaj, co robisz? – zaprotestowała Emily, sięgając do torebki. – Dzielimy się pół na pół. Zachowujesz się, jakbyśmy byli na randce.

– Naprawdę? – Patrzyłem jej prosto w oczy, gdy wręczyłem rachunek i kartę kelnerce.

Przez kilka długich i przyjemnych chwil odwzajemniała moje spojrzenie. Oblała się rumieńcem. Nie, to byłem ja.

Co, do cholery, robiłem? Nie miałem pojęcia. Moja żona nie żyła od dwóch lat i zwykle czułem się niepewnie, jeśli chodziło o potencjalne partnerki. Agentka specjalna Emily Parker była chyba inna.

A może to ja zwariowałem? Tak, pewnie to drugie.

Rozdział 33

Kiedy skończyło się podsumowujące dzień spotkanie grupy dochodzeniowej, zbliżała się dziewiąta. Wykończona Emily Parker wróciła do hotelu. Sześć minut później czubek jej głowy przebił się przez taflę wody w hotelowym basenie.

Dla Emily nic nie równało się z tą pierwszą, magiczną chwilą. Jak w wypadku każdego basenu, w którym pływała pierwszy raz, zanurzała się w zimną, niezmaconą wodę, dopóki nie przesunęła dłonią po szorstkim dnie.

Usiadła po turecku i zamknęła oczy. Tam, na dole, nie istniały żadne zmartwienia. Nie było wściekłych szefów. Nie było stresu. A na pewno nie było tam martwych dzieciaków.

Kiedy dorastała w Wirginii, jej rodzina miała basen, więc spędzała w nim niemal cały czas latem od szóstego do dziesiątego roku życia. Siedziała na dnie i udawała, że jest syrenką. Zamykała oczy i wystawiała rękę, czekając, aż ujmie ją ukochany książe i zabierze do straconego królestwa.

Kiedy prawie minutę później poczuła pieczenie w płucach, Emily przypomniała sobie, że Chelsea Skinner była ratowniczką.

Wyłynęła na powierzchnię i zaczęła płynąć. Zwykle zrobienie kilku długości pomagało jej oczyścić umysł, ale teraz po przepłynięciu pięciu nie mogła przestać myśleć o sprawie. Prawdopodobnie nie wystarczyłoby jej przemierzenie wpław całego kanału La Manche.

Kiedy kończyło się spotkanie grupy dochodzeniowej, laboratorium policyjne nadal zajmowało się ciałem Chelsea. Mike powiedział jej, że aby móc wyciągnąć dziewczynę, musieli odciąć górną część lodówki.

W tym zabójcy było coś niezwykle niepokojącego. Emily wiedziała, że większość seryjnych zabójców ze wszystkich sił starała się nie przyciągać uwagi. A ten zdawał się pyszczyć zainteresowaniem, jakie wywoływał. Wyglądało to tak, jakby chciał im utrzcęć nosa swoim postępowaniem.

Co on powiedział? „Pozdrów mamę”. Nawet jak na socjopatę predatora, taka

szorstkość i arogancja była przerażająca. Ten facet nie był po prostu pewny siebie, ale zarozumiały. Oprócz tego, że pozwolił się zauważyć jednemu dilerowi, nie popełnił żadnego błędu.

Dwadzieścia długości później Emily Parker wróciła do pokoju i zadzwoniła do domu.

– Jak się czuje? – zapytała swojego brata Toma.

– To ci się spodoba, Em. Dziś jeden z głupkowatych chłopaków z klasy Olivii usłyszał, jak nauczycielka zwraca się do niej Olivio Jacqueline, więc przez resztę dnia nazywał ją OJ Parker.

– To mały drań – powiedziała Emily.

– Poczekaj – zaśmiał się jej brat. – Chłopak nazywa się Brian Kevin Sullivan, więc Olivia zaczęła na niego mówić BK Sullivan i teraz wszyscy nazywają go Burger King Sullivan. Niezłe, co? Myślę, że Burger King zastanowi się teraz dwa razy, zanim będzie chciał zdrzeć z Olive.

Emily nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

– Gdzie ona teraz jest?

– W łóżku. Jej lalka przyszła dziś na piżamowe party, więc jest trochę ciasno. Chciała, żebym ci przypomniał, że sklep American Girl jest przy Piątej Alei. I żebyś pamiętała o pozdrowieniu Eloise w Plaza Hotel.

– Załatwione – powiedziała Emily, czując na sercu lekkość, która była jej bardzo potrzebna. – Jesteś najlepszym wujkiem na świecie, Tom.

– Nie zapominaj, że także najlepszym bratem – dodał. – Uważaj na siebie.

Kiedy odłożyła słuchawkę, zauważyła, że ktoś zostawił jej wiadomość na poczcie głosowej. Usłyszała głos Mike'a i oddzwoniła do niego.

– Co znowu? – zapytała, gdy odebrał.

– Nic – oznajmił Bennett. – Chciałem ci tylko dać znać, że w ciągu ostatnich trzydziestu minut nie było żadnych porwań.

Myślała o nim. O ich wspólnym lunchu, wspaniałej kolacji z jego rodziną. Siedziała, przyglądając się swojemu pustemu pokojowi i samotnemu życiu. Odkąd odszedł mąż, nawet przez myśl jej nie przeszło, żeby się z kimś związać. Jednak im więcej czasu spędzała z Mikiem, tym częściej rozważała taką możliwość.

– Gdzie teraz jesteś, Mike? – zapytała ku swojemu zaskoczeniu.

Co, do cholery, robiła?

– Nie słyszę. Jeden z dzieciaków się drze, jakby go obdzierano ze skóry. Czekaj. Już. Jestem w kuchni. Co mówiłaś?

Emily zastanowiła się przez chwilę. Musiała przestać. Gliniarz? W innym mieście? Jak miałyby to wyglądać?

– Nic – odpowiedziała. – Do zobaczenia rano, Mike.

Rozdział 34

Stałem w kuchni, gapiąc się na telefon komórkowy.

Mieliśmy swój moment, czułem, że pojawiła się szansa, ale, do diabła, jakimś sposobem ją przegapiłem.

Mimo wszystko przyjemnie było usłyszeć jej głos. Nie tak miłe, jak zobaczyć jej twarz, ale i tak niezłe. Była dobrą agentką, miała poczucie humoru i była atrakcyjna. Moim zdaniem niczego jej nie brakowało. Czułem, jakbyśmy znali się od dwóch lat, a nie trzech dni.

Telefon zadzwonił, kiedy nadal stałem w kuchni, jak jeden z moich zakochanych dzieciaków. Powrót do rzeczywistości, casanovo, pomyślałem.

Dzwoniła moja szefowa, Carol Fleming.

– Mike, właśnie słyszałam, że rzecznik prasowy z ratusza przyszedł po kopię wszystkich twoich raportów. Wiesz może, dlaczego wiceburmistrz jest nimi zainteresowana?

– Niestety, zadarliśmy z Hottinger, kiedy porwano dzieciaka Dunningów. Pewnie próbuje narobić mi kłopotów, szefowo. Szuka czegoś na mnie.

– Niech się pieprzy ta chuda suka – rzuciła ze złością. – Wewnętrzne policyjne raporty są ściśle tajne i jeśli chce informacji, będą musiały pochodzić ode mnie. Ta sprawa nie mogłaby być prowadzona bardziej profesjonalnie. Nie martw się nią ani nikim innym, dopóki ja jestem w pobliżu. Wyśpij się, Bennett.

Rany, pomyślałem, kiedy się rozłączyła. Mam szefową, która we mnie wierzy i która ma odwagę nadstawiać dla mnie karku. Miła odmiana.

Ale jeśli chodzi o sen, to nic z tego. Wyszedłem z kuchni i popatrzyłem na pobożowisko na stole, przy którym zwykliśmy jeść posiłki.

Stały na nim zlewki, plastikowe rurki, stopery, farby. Tektury tyle, że można by skonstruować lekki samolot.

Tak, znów nadszedł ten znienawidzony czas w roku. Doroczna wystawa projektów naukowych w szkole Holy Name.

Sześcioro z mojej dziesiątki dzieci w szale kończyło swoje projekty. Jane badała glebę w Riverside Park. Eddie zajmował się geometrią cieni. Brian robił coś związanego z oglądaniem telewizji i siłą intelektu. A może tylko oglądał telewizję, zamiast zajmować się robotą? Nie byłem pewien.

Nawet moja pięciolatka Chrissy została zniewolona przez naukową policję. Robiła stetoskop z kartonowych rolek po papierze toaletowym. Projekt „Manhattan” wydawał się mniej pracochłonny.

Wyciągnąłem rękę, gdy obok mojej głowy przeleciała kulka z folii aluminiowej.

– Czy to twoja piłka, Trent? – zapytałem, wręczając mu ją z powrotem.

– To nie piłka, tato – usłyszałem w odpowiedzi. – To Jowisz.

Kiedy wróciłem z pracy, zostałem natychmiast wysłany do sklepu papierniczego po ostatnie zakupy. Nie widziałem tylu ogarniętych szalem dorosłych od piętnastego kwietnia na pocztę, kiedy kończy się termin składania zeznań podatkowych. Czy wytyczne nie informowały, że to uczniowie mają sami przeprowadzić swoje eksperymenty? Jasne...

Dziesięć minut przed północą ułożyłem do snu ostatnich z moich edisonów i galileuszy i ruszyłem do kuchni.

Z klejem na policzkach i palcami pomazanymi markerem, Mary Catherine była zajęta ostatnimi poprawkami.

– Hej, Mary. Założę się, że nie spodziewałaś się, iż kiedykolwiek będziesz mogła tak głęboko zanurzyć się w świat nauki? Czy twój umysł rozciągnął się tak jak mój?

– Mam pomysł na eksperyment, który chciałabym przeprowadzić na ludziach nauki – powiedziała, machając wyciorem do fajki. – Ile napięcia jest w stanie znieść człowiek, zanim eksploduje mu mózg?

Rozdział 35

Było dwadzieścia po drugiej w nocy, gdy Dan Hastings wyszedł z Butler, głównej biblioteki Columbia University. Zamiast udać się w kierunku rampy dla wózków inwalidzkich, przystojny blondyn, student pierwszego roku ekonomii, uśmiechnął się figlarnie, włączył na swoim wózku iBOT funkcję „schody” i zjechał po szerokich stopniach, które prowadziły do tego wyglądającego jak grecka świątynia budynku.

Myśleliście, że dostałem nauczkę, pomyślał, kiedy drogi, wyważany komputerowo wózek z impetem odbił się od ostatniego stopnia. Nogi Dana uległy paraliżowi podczas wypadku rowerowego w górach.

Pojechał z ojcem w ekstremalną podróż do doliny Orchon w środkowej Mongolii. W jednej chwili pędził szlakiem w dół jak wcielenie Czyngis-chana, a w następnej jego przednie koło utknęło między dwoma kamieniami.

Lądowanie na dnie doliny rozbiło w drobny mak jego dziewiąty, dziesiąty i jedenasty kręg piersiowy, ale on nie narzekał. Nadal miał mózg, serce i, jako pożegnalny prezent od Mongolii, w pełni sprawnego penisa. Dzięki iBOT-owi, nazywanemu ferrari wśród wózków inwalidzkich, mógł przejść do porządku dziennego nad tamtymi wydarzeniami. Zostawił je dawno za sobą. Nadal mógł chodzić, gdzie tylko chciał.

Zakończony właśnie maraton wkuwania był spowodowany testem ze statystyki, który czekał go następnego dnia. Zrobił to również dlatego, że jego współlokator organizował przyjęcie dla uczestników zajęć z irenologii. Wolał spać w krzakach, niż spędzać czas z tymi nawiedzonymi ekologami.

Tak naprawdę, był największym konserwatystą, jakiego kiedykolwiek spotkał. Na liberalnym Columbia University czyniło to z niego szpiega, ukrytego głęboko na terytorium wroga.

Silnik jego wózka cicho szumiał, gdy przejeżdżał przez College Walk w kierunku Low Plaza. Zazwyczaj studenci wylegiwali się tu na słońcu albo grali

w zośkę, ale teraz miejsce to było całkowicie opustoszałe, a majestatyczna kopuła gmachu biblioteki wyglądała złowieszczo na tle ciemnego, nocnego nieba.

Czy hipisi protestujący przeciw wojnie nie zajęli tego pięknego budynku w latach sześćdziesiątych? Co za hańba. Co gorsza, wielu z jego kolegów studentów nadal wierzyło w te brednie.

Nie on. On studiował ekonomię. Zamierzał ciężko pracować, ukończyć studia z wyróżnieniem, a potem zostać szczęśliwym praktykantem w jednym z banków inwestycyjnych przy Wall Street. Jednak odkąd Bear Stearns, Goldman i Merrill narobiły sobie kłopotów, coraz częściej zastanawiał się nad pracą dla firmy z sektora prywatnego. Nie obchodziło go dla której, byle tylko dużej.

Idź na całość albo wracaj do domu w helikopterze medycznym – tak brzmiało credo Dana Hastingsa.

Włożył w uszy słuchawki od iPoda i ustawił piosenkę Fall Out Boy. Oni oraz My Chemical Romance robili muzykę najlepszą do jazdy wózkiem.

Mijał Lewisohn Hall, gdy zauważył światło. Z drzwi po południowej stronie było dziwne, niebieskie światło stroboskopowe. Czy to komórka? Zwolnił i wyjął słuchawki z uszu.

– Hej, Dan, chodź tu – usłyszał głośny szept.

O co chodzi? – zastanawiał się, gdy podjechał bliżej. Czy to któryś z kolegów? Jakiś dowcip studentów ze starszych roczników? Rzygać mu się od nich chciało. O co tak naprawdę w nich chodziło?

Kiedy był jakieś półtora metra od światełka, Dan nagle się zatrzymał. Z drzwi wyszedł mężczyzna w czarnym płaszczu i masce narciarskiej, trzymający pistolet.

Co jest grane, do cholery? A gdzie jest pieprzona ochrona?

Słyszał, że Morningside Heights, dzielnica wokół uniwersytetu, było niebezpieczne, ale nigdy nie słyszał, żeby ktokolwiek został zaatakowany na terenie kampusu.

– Weź to. – Dan podał mężczyźnie iPoda. – W portfelu, który mam w torbie, jest sto pięćdziesiąt dolarów i karta American Express. Możesz sobie je wziąć, stary.

– Jejku, ale jesteś milutki – powiedział mężczyzna w masce, złapał Dana i podniósł go z wózka. Kopniakiem otworzył znajdujące się przy nim drzwi.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz? – krzyknął Dan, wciągany do ciemnego budynku.

Mężczyzna dźwignął go przez kolano, a następnie za pomocą taśmy unieruchomił mu ręce, nogi i zakleił usta.

– Ciii – powiedział, przerzucając go sobie przez ramię. – Ucisz się. Nie można rozmawiać w czasie lekcji.

Część trzecia

Znak krzyża

Rozdział 36

– Tato, nie potknij się i nie upuść tego! – krzyknęła za mną Jane, gdy kroczyłem jak zombie w kierunku audytorium Holy Name, nosząc dziwne eksponaty.

Projekty były oficjalnie skończone, ale teraz, jak w kulinarnym programie telewizyjnym, gdzie uczestnicy podchodzili do jury ze swoimi wypiekami, uczniowie prezentowali swoje eksperymenty.

Tylko że ja musiałem zrobić to sześć razy i nie miałem szansy na wygranie dziesięciu tysięcy dolarów.

Kiedy wszystko zostało bezpiecznie zanesione na miejsce, trochę się rozluźniłem, chociaż gdy przechodziłem obok ciśnieniomierza, który był częścią jednego z konkursowych eksponatów, miałem ochotę się przebadać.

Odprowadziłem Chrissy do drzwi jej przedszkolnej sali. Odsunęła się ode mnie, gdy chciałem ją uściskać.

– Nie tutaj, tatusiu. Powiedzą, że jestem jeszcze dzidziusiem – oznajmiła.

Ale przecież jesteś dzidziusiem, pomyślałem.

– Możemy sobie chociaż uścisnąć dłonie, panno Bennett? – zapytałem.

Wymieniliśmy szybki, rzeczowy uścisk i Chrissy zniknęła. Nie obejrzała się za siebie. Uśmiechnąłem się, stojąc w drzwiach, gdy zobaczyłem, jak obejmuje jedną z koleżanek i zaczyna z nią szeptać. Dzieci tak szybko rosną.

Dzięki Bogu ja, jakimś cudem, nie starzałem się razem z nimi.

Schodziłem w dół frontowymi schodami, gdy zorientowałem się, że nie włączyłem telefonu po doładowaniu. Nic dziwnego, że mój poranek był spokojny i cichy.

Oho, pomyślałem. W ciągu ostatnich dwudziestu minut dostałem dwie wiadomości od mojej szefowej i cztery od Emily Parker. Zadzwońłem najpierw do Emily. Była ładniejsza.

– Co teraz? – zapytałem.

– Kanał Fox. Włącz.

Wszedłem na plebanie Holy Name przylegającą do szkoły. Pani Maynard, sekretarka, spojrzała znad kopert, które leżały na jej biurku.

– Ojciec Bennett nadal odprawia mszę, Mike – odezwała się do mnie.

– Tak? A czy mogę pożyczyć wasz telewizor? – zapytałem i bez czekania na jej przyzwolenie wszedłem do saloniku obok.

Pilne – głosił tekst na ekranie lokalnego kanału Fox. Na pasku na dole pojawił się napis:

SYN MEDIALNEGO MAGNATA ZAGINAŁ

Pokazywano niewyraźny obraz kampusu, prawdopodobnie nakręcony z helikoptera. Rozpoznałem granitową kopułę biblioteki Low Memorial na terenie Columbia University. Policja rozwijała taśmę wokół innego budynku na kampusie, podczas gdy zamieszanie oglądał coraz gęstszy tłum.

– Nie – powiedziałem do słuchawki, gdy wreszcie zorientowałem się, co robi policja. Kamera pokazała zbliżenie pustego wózka inwalidzkiego.

Miałem ochotę pożyczyć różaniec owinięty wokół krucyfiksowi wiszącego na ścianie za telewizorem. Porwał kolejnego dzieciaka? Czy ten koszmar nigdy się nie skończy? Czy o to właśnie chodziło? Do cholery, tego jeszcze nam było trzeba.

– Gdzie teraz jesteś, Emily? – zapytałem, gdy wyszedłem na ulicę.

– Biegnę do metra. Columbia jest na przedmieściach, prawda? – powiedziała. – Nie podjeżdżaj po mnie. Spotkamy się na miejscu.

Rozdział 37

– Dokąd, Mike? – zapytała Mary Catherine, gdy wskoczyłem do naszego samochodu. – Starbucks? Jadłodajnia przy Jedenastej? A może kupimy kilka ciepłych bajgli H and H i zjemy je w parku? Jestem wygłodniała po tych nocnych wysiłkach.

– Zmiana planów, Mary Catherine – powiedziałem. – Porwano kolejnego dzieciaka. Muszę pędzić do Columbii. Oczy Mary Catherine zaświeciły się, gdy odpaliła silnik.

Słysnęła ze swojej ciężkiej nogi.

– Włącz sygnał, Starsky. Zaraz będziemy na miejscu.

W drodze na uniwersytet zadzwoniłem do szefowej.

– Wreszcie się odzywasz – powiedziała Fleming. – Prasa dowiedziała się przed nami. Jesteś już na miejscu?

– Prawie.

– W telewizji mówią, że porwano syna potentata medialnego Gordona Hastingsa, ale te informacje nie zostały jeszcze potwierdzone.

– Zajmę się tym w pierwszej kolejności – obiecałem, gdy dojechaliśmy na teren kampusu.

Na Low Plaza, przy Sto Szesnastej i Broadway, zgromadził się tłum studentów i dziennikarzy. Co chwila rozlegały się policyjne syreny, kiedy na miejscu pojawiała się coraz więcej radiowozów.

Zobaczyłem Emily Parker wychodzącą z podziemi metra i zawołałem ją.

– Ach, rozumiem. – Mary Catherine gapiała się na nią przez przednią szybę. – Nie mówiłeś, że ona tu będzie.

– Jasne, że tu jest – powiedziałem, gdy wysiadałem z samochodu. – To specjalistka FBI do spraw porwań. To wygląda jak porwanie. O co chodzi, Mary?

– Ach, o nic. To nie moja sprawa, co robisz, Mike – rzuciła, przekręcając kluczyk w stacyjce. – Ani z kim to robisz. Nie musisz dziękować za podwózkę –

dodała i ruszyła z impetem.

Wykręciła z piskiem opon, a ja stałem i patrzyłem, jak znikwała, jadąc w dół Broadwayem.

Czy ona postradała zmysły? To chyba przez tę szkolną wystawę, pomyślałem.

– Czy to była twoja niania? – zapytała Emily, kiedy już do mnie podbiegła.

– Nie jestem pewien – odpowiedziałem.

Rozdział 38

Francis X. Mooney niosąc aktówkę i dużą latte, przebijał się wśród tłumu w godzinach szczytu przez halę dworca Grand Central. Dochodził właśnie do słynnego zegara znajdującego się na środku, kiedy zauważył dziewczynę w kolejce po bilet na linię Metro North. Nagle zrobiło mu się słabo i przystanął. Serce zaczęło mu szybciej bić i nie mógł oddychać.

Mlecznobiała skóra i długie, czarne włosy. Mój Boże, to ona! – pomyślał i ogarnęła go panika. Wszystko schrzanił! Chelsea Skinner teraz tam stała. Nadal żyła!

Kiedy młoda kobieta odwróciła się, aby sięgnąć do torebki, czar prysł. Francis poczuł ogromną ulgę, gdy zorientował się, że to jakaś trzydziestokilkuletnia menedżerka, dużo za wysoka i za ciężka, żeby być młodą dziewczyną, którą porwał i zastrzelił.

Co się z nim, do cholery, działo? – zastanawiał się, gdy znów ruszył przed siebie. Zaczynał tracić kontrolę nad sytuacją. Dopadały go brak snu i zmęczenie fizyczne. Zaczynał już nawet mieć halucynacje.

Zatrzymał się przy rzędzie budek telefonicznych. Wyjął fiolkę ritalinu, która w jego aktówce leżała obok dziewięciomilimetrowego browninga.

Przez ostatnie trzy tygodnie żył dzięki amfetaminom: adderall, metedryna, benzedryny. Przeczytał gdzieś, że siły powietrzne podawały pilotom amfetaminy, żeby utrzymywali czujność podczas długich misji.

On też miał misję, prawda? Najważniejszą misję, jaką widział świat. Potrzebował wszystkiego, co mogło mu w tym pomóc.

Połknął sześć tabletek, zdjął okulary i przyłożył czoło do aluminiowego automatu na monety. Gdy speed zaczął działać, dudnienie stóp na marmurowej podłodze hali zdawało się trzykrotnie głośniejsze. Założył z powrotem okulary i ruszył przez stację do wyjścia na Lexington Avenue.

Wszedł do marmurowo-stalowego holu budynku Chryslera. By przyłożyć kartę

do czytnika na bramce, musiał przełożyć papierowy kubek z kawą do ręki, w której miał aktówkę.

Błyszcząca, mosiężna tablica jego firmy prawniczej ERICSSON, WEYMOUTH AND ROTH powitała go przy wyjściu z windy na sześćdziesiątym pierwszym piętrze. Gdy w wieku dwudziestu dziewięciu lat został partnerem, był najmłodszym partnerem w historii firmy. Kiedyś chciał dodać nazwisko Mooney do tego szyldu i nawet mogło mu się to udać.

Ten czas już dawno minął. Tak naprawdę to był jego ostatni dzień.

Szybko skręcił w lewo przed szklanymi drzwiami prowadzącymi do recepcji i wślizgnął się tylnym wejściem. Nie mógł zwracać na siebie uwagi. Cały poprzedni tydzień udawał chorego, więc miał ogromne zaległości w pracy. W jego firmie, według magazynu „Forbes” należącej do setki największych, nieregularne pojawianie się w biurze było grzechem równie ciężkim, jak nasikanie na biurko głównego wspólnika.

Jego asystentka Carrie niemal spadła z krzesła, gdy zajrzał do jej boksu.

– Francis! Co za miła niespodzianka. Nie byłam pewna, czy dziś będziesz. Miałam do ciebie dzwonić. Właśnie skończyłam rozmawiać z twoim klientem z dziewiątej, Steinmanem. Coś mu wypadło w studiu. Nie będzie go w Nowym Jorku do przyszłego czwartku.

Francis ze złością wypuścił powietrze. „Coś mu wypadło w studiu” było hollywoodzkim pieprzeniem oznaczającym „już wysłaliśmy do was czek”. Postanowił poświęcić swój czas i zaryzykować pojawienie się w biurze tylko ze względu na potencjalne korzyści, które mogły wyniknąć ze spotkania z multimilionerem, hollywoodzkim producentem filmowym.

Był głupi. Chciał osiągnąć wszystko, co sobie zamierzył, ale nawet na speedie było to niemożliwe.

– Aha, jeszcze jedno – powiedziała Carrie, podnosząc kartkę ze swojej przegródki z pocztą. – W recepcji powiedzieli mi, że w piątek dzwonił Kurt z New York Heart. Podobno to coś pilnego.

New York Heart była prywatną organizacją walczącą z biedą, dla której Mooney pracował *pro bono*. Doradzał im w sprawie ubogiego mieszkańca Harlemu czekającego na wykonanie wyroku śmierci na Florydzie.

Francis się skrzywił. Tyle się ostatnio działo, że zupełnie o tym zapomniał. Pilna wiadomość o apelacji w sprawie wyroku śmierci nie mogła być niczym dobrym.

Pomyślał chwilę o swoich planach. O rozkładzie dnia. Będzie bardzo ciężko, ale

musi spróbować. Mimo wszystkiego, co się działo i czym powinien się zająć, nie miał teraz innego wyboru – musi tam iść.

– Rzuć wszystko i odwołaj moje wszystkie dzisiejsze spotkania, Carrie. Muszę tam teraz iść.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł, Francis? – szepnęła zaniepokojona. – Nie było cię w biurze przez tydzień. Niektórzy klienci, a przede wszystkim młodszy partnerzy skarżyli się na ciebie. Pan Weymouth jest wściekły. Czy mogę coś zrobić? Chciałbyś z kimś porozmawiać?

Francis uśmiechnął się, słysząc troskę w jej głosie. Odkąd zaczęła dla niego pracować siedem lat temu, była wspaniała, mądra, rzeczowa i lojalna.

Kiedy wszystko wyjdzie na jaw, czy zrozumie, co próbował zrobić? Czy ktokolwiek zrozumie?

Teraz nie ma to znaczenia, pomyślał, zbierając się do kupy. Nieważne, co ludzie o nim myślą. Nie chodzi o niego. Pocałował ją w czoło.

– To urocze, że tak o mnie myślisz, Carrie, ale uwierz mi, nigdy nie czułem się lepiej – powiedział i ruszył z powrotem do wind.

Rozdział 39

Z okna budynku Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego wyraźnie widać było pusty wózek inwalidzki. Stojąc w oknie i wpatrując się w niego, Jesse Acevedo, szef bezpieczeństwa w kampusie, mógł jedynie kręcić głową z niedowierzaniem.

– To trafi na okładkę „Posta” – powiedział bardziej do siebie niż kogokolwiek innego. – To przecież moja praca, prawda? Niepełnosprawny student zostaje porwany z kampusu? Ach, przepraszam, niepełnosprawny syn jednego z najpotężniejszych ludzi na świecie. Moja córka tutaj studiuje. Kiedy mnie wywalą, straci stypendium pracownicze. Co ja mam, do cholery, zrobić?

Było mi go żal. Wiedziałem, że będą go obwiniać, ale nie miałem teraz czasu na współczucie.

– Proszę nam jeszcze raz opowiedzieć o tunelach – zwróciłem się do niego.

– Cholera, przepraszam – odparł i wrócił do swojego biurka. Kiedy zadzwonił telefon, podniósł słuchawkę, a następnie ją odłożył. Gdy zadzwonił ponownie, odłączył kabel od aparatu.

– Tunele. – Westchnął głośno. – Dobrze. Tunele łączą niektóre budynki na kampusie. Lewisohn, gdzie znaleźliśmy pusty wózek, ma tunele, które prowadzą do gmachu Havemeyera, Wydziału Matematyki oraz Teatru Miller. Inny, starszy tunel przechodzi pod Broadwayem i sięga aż do jednego z budynków Barnard College po drugiej stronie ulicy.

– Reid Hall, wiem – stwierdziłem.

Wiedzieliśmy już, że wyważono drzwi do piwnicy w tamtym budynku. John Cleary i jego ludzie właśnie badali każdy centymetr piwnicy za pomocą specjalistycznego sprzętu i patyczków higienicznych. Morderca musiał się tam dostać i wyjść tamtędy z porwanym dzieciakiem.

– Kto jeszcze wie o tunelach? – zapytała Emily.

– Studenci, konserwatorzy, kadra akademicka – wyliczył Acevedo. – Zamknęliśmy niektóre z nich, ale dzieciaki nadal używają ich jako skrótów.

Podobnie jak hotele, każdy kampus ma swoje historie o duchach i te tunele często się w nich pojawiają.

Myślałem o kulturalnym, elokwentnym tonie, w jakim wypowiadał się porywacz. Może należał do kadry akademickiej tej elitarniej uczelni.

– Jeszcze jedno pytanie – powiedziałem. – Czy kiedykolwiek widziano tam jakiegoś wykładowcę?

– Nie wiem – odparł Acevedo. – Dowiem się i dam wam znać. Albo przynajmniej zostawię notatkę dla mojego następcy.

– Zaczynam szanować tego świra – stwierdziła Emily, gdy schodziliśmy po schodach. – Nigdy nie widziałam nikogo tak wydajnego. Ten facet to złoty medalista wśród porywaczy.

Emily weszła do kawiarni na parterze budynku i wróciła z dwoma kubkami kawy. Tego ranka miała na sobie niebieską, dopasowaną bluzkę i granatową spódnicę. Jej włosy były nadal mokre. Podobało mi się, że prawie się nie malowała.

I jak słodko łapała się za płatek ucha, gdy myślała, a oczy błyszczały jej, gdy się czymś ekscytowała.

– Co teraz? – zapytała Emily. – Jedziemy do akademika Hastingsa? Do biblioteki, gdzie widziano go po raz ostatni?

– Nie – powiedziałem. – Lepiej jedźmy do rodziny. Spodziewam się telefonu od naszego znajomego.

Rozdział 40

Harlemskie biuro społecznej organizacji nonprofit, New York Heart, znajdowało się przy Sto Trzydziestej Czwartej ulicy odchodzącej od St. Nicholas Avenue. Kwaśny zapach potu i marihuany sprawił, że wchodzącego po niezamiecionych schodach Francis X. Mooneya ogarnęła nostalgia.

Przez ostatnie dziesięć lat Mooney był głównym doradcą ich programu wsparcia prawnego, który zajmował się sprawami najbiedniejszych z biednych. Przyglądał się plakatom i zdjęciom amatorskiego teatru i ogrodu, które wisiały na ścianach klatki schodowej, i uśmiechnął się. New York Heart była organizacją tworzoną z dobroci serca.

– Jak leci, dzieciaki? – zapytał Francis, gdy dziesięć minut później zebrał sześciu pracowników socjalnych w zagraconej salce konferencyjnej.

Francis X. uśmiechnął się do wszystkich chudych dwudziestokilkulatków, którzy zgromadzili się wokół zniszczonego stołu. Przypomniawszy sobie czas, gdy sam był taki młody i aż palił się do działania i naprawiania świata. Nie każda młoda osoba jest samolubnym, rozwyrzonym bachorem, pomyślał.

– Kurt, właśnie otrzymałem wiadomość od ciebie – powiedział. – Jak idzie sprawa pana Franklina?

Kurt, prawnik pracujący dla organizacji na stałe, spojrzawszy znad bajgla z serem. Studiował na Fordham i jeszcze nie zdał egzaminu adwokackiego, ale Francis w niego wierzył. Chłopak miał serce do tej roboty.

– Dzwoniłem, ponieważ ostatnia apelacja pana Franklina została spuszczonej z wodą, Francis – powiedział między kęsami. – Te sukinsyny usmażą go w ten piątek, a tamtejsze buraki zablokują parking przed więzieniem. Co zrobisz? Mam nadzieję, że republikanie się cieszą. Następny będzie zaraz gryzł głębiej.

Francis nie mógł uwierzyć, że po słowach chłopaka w pomieszczeniu rozległ się śmiech. Reginald Franklin, syn ubogiego mieszkańca dzielnicy, mężczyzna na granicy upośledzenia umysłowego, miał zostać stracony przez amerykański rząd.

Czy to było zabawne?

– Czy przejrzałeś *habeas corpus*? – zapytał Francis.

– Oczywiście – powiedział Kurt. – Sąd apelacyjny zdecydował się oprzeć na dokumentacji procesowej.

– Zawsze tak robią – wyjaśnił Francis. – Zdobyłeś kopię raportu policyjnego, tak jak ci mówiłem? Sprawdziłeś, czy jego pierwszy prawnik był odpowiedni? Ten facet podobno zasnął podczas rozprawy.

W sali zapadła cisza. Kurt odłożył bajgla na stół i wyprostował się na krześle.

– Nie, nie miałem okazji – odezwał się wreszcie. – Dzwoniłem do ciebie.

– Nie miałeś okazji? Nie miał okazji! – krzyknął Francis. Jego krzesło przewróciło się, gdy podniósł się z impetem. – Czy ty, do cholery, zwariowałeś? Ten facet zaraz umrze!

– Jezu, Francis – wymamrotał Kurt, spuszczać głowę. – Wyluzuj.

– Nie wyluzuję.

Nie chciał płakać. Nie przy tych wszystkich dzieciakach. Ale nie mógł się powstrzymać. Po jego poczerwieniałych policzkach popłynęły strumienie łez.

– Nie mogę wyluzować. Nie rozumiesz? – powiedział i ruszył do drzwi. – Nie mamy już czasu.

Rozdział 41

Byliśmy na rozległym Low Plaza na terenie Columbii i szliśmy w kierunku biura kvestora, aby przejrzeć dokumenty Dana Hastingsa, gdy zadzwonił mój telefon.

– Mike – krzyknął detektyw Schultz. – Przyjdź jak najszybciej do biura rektora w Low Memorial Library. Potrzebujemy twojej pomocy. Nie uwierzysz!

Spotkałem się ze sfrustrowanymi Schultzem i Ramirezem w holu na drugim piętrze charakterystycznego budynku z kopułą. Administracja nie chciała udostępnić im nagrań z kamer przemysłowych na kampusie, zasłaniając się ochroną prywatności.

– Ci wariaci zachowują się, jakbyśmy byli agentami KGB zgarniającymi ludzi do łagru, a nie próbowali ocalić życie jednego ze studentów ich uczelni – powiedział Ramirez, nie wierząc w to, co się dzieje.

Po dwudziestu minutach spierania się i grożenia wezwaniem do stawienia się w sądzie wreszcie udało się przekonać administrację do przekazania nagrań i informacji o Danie Hastingsie.

– Takie rzeczy tylko w Nowym Jorku – podsumowała agentka Parker, gdy szliśmy w kierunku bramy wychodzącej na Broadway i forda, którego udostępniło jej nowojorskie biuro FBI.

– Albo w każdym kampusie uczelni Ivy League – dodałem.

Ojciec porwanego, Gordon Hastings, mieszkał przy Prince Street w SoHo. Emily prowadziła, a ja słuchałem w radiu 1010 WINS reportażu, który już zdążyli o nim przygotować. Gordon Hastings pracował kiedyś dla Ruperta Murdocha, a teraz miał własną firmę, która skupowała stacje radiowe i telewizyjne, głównie w Kanadzie i Europie. Jego majątek wycenia się na osiemset milionów dolarów. Nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić takiej ilości pieniędzy. Ani tego, przez co ten człowiek musi przechodzić teraz, gdy porwano mu niepełnosprawnego syna.

Emily zadzwoniła do nowojorskiego biura i kazała sprawdzić Gordona Hastingsa w różnych bazach danych FBI.

– Urodził się i wychował w Szkocji – powiedziała po odłożeniu komórki kilka minut później – ale kilka lat temu dostał amerykańskie obywatelstwo. Jest czysty, jednak urząd podatkowy mu się przygląda po tym, jak powiedział coś o zagranicznych kontaktach w wywiadzie udzielonym „Vanity Fair”.

– No popatrz, popatrz – powiedziałem. – A wszystkie moje wywiady dla „Vanity Fair” zawsze przebiegają tak gładko.

Prychnąłem ze złością kilka chwil później, gdy skręciliśmy z Broadwayu w Prince Street.

Sześć wozów transmisyjnych trafiło przed nami pod dom należący do Hastingsa. Zimne obiektywy kamer skierowały się w naszą stronę, gdy parkowaliśmy. Pokazałem im od razu moją zimną, irlandzką twarz.

– Żadnych cholernych komentarzy – krzyknąłem, wysiadając. – I zabierzcie tego cholernego vana sprzed hydrantu przeciwpożarowego, jeśli jeszcze kiedyś chcecie go zobaczyć.

– Media jedzą ci z ręki – zaśmiała się Emily, kiedy przedzieraliśmy się między reporterami. – Jeśli kiedyś trafisz do Waszyngtonu, powinieneś wysłać swoje CV na posadkę rzecznika Białego Domu.

– Myślisz, że źle mi poszło? – powiedziałem. – Bardzo się powstrzymywałem. Zwykle opróżniam magazynek w powietrze.

Okazało się, że niepotrzebnie tu przyjechaliśmy. Przystojny, ale najwyraźniej naćpany portier, który otworzył nam drzwi tego luksusowego budynku, ledwo powstrzymywał chichot na wieść, że chcieliśmy rozmawiać z Gordonem Hastingsem.

– Stary, w jakim świecie żyjesz? Myślałem, że wszyscy wiedzą, że tylko druga żona pana Hastingsa i bliźniaki mogą mieszkać w tym penthousie podczas trwania sprawy rozwodowej.

– Czy możemy w takim razie porozmawiać z prawie byłą żoną pana Gordona Hastingsa? – zapytała Emily, zanim poprosiłem tego faceta o próbkę moczu.

– Nie sądzę – odparł wyglądający jak model portier. – Chyba że planujecie wycieczkę do Maroko, gdzie ma sesję dla włoskiego „Vogue’a”.

Udało nam się jedynie uzyskać informację, że pocztę Hastingsa przekazywano na Nadbrzeże Pięćdziesiąte Dziewiąte przy Dwudziestej Trzeciej Ulicy nad rzeką Hudson.

Okazało się, że mieści się tam Chelsea Piers Sports Center. Patrzyliśmy na dzieciaki na rolkach i mężczyzn z torbami golfowymi na chodniku przed wejściem.

– Ten dzieciak był na większym haju, niż nam się zdawało. Jak to możliwe, że ten facet mieszka w klubie sportowym? – powiedziała Emily, gdy parkowaliśmy.

– A jednak możliwe. – Wskazałem na marinę wypełnioną zacumowanymi jachtami, która rozciągała się obok ogrodzonego terenu treningowego dla golfistów.

Rozdział 42

Długi na ponad sześćdziesiąt metrów jacht Gordona Hastingsa, *Teacup Tempest*, okazał się największym w marinie. Dziesięć minut później czekaliśmy na potentata, siedząc w jego ogromnym salonie wyłożonym wiśniową boazerią.

Znajdowały się w nim antyki i obrazy. A także kilka rzędów telewizorów. Mniejsze ekrany komputerów porozstawiane na stołach pokazywały wykresy giełdowe. Oprócz załogi jachtu na pokładzie znajdowało się jeszcze ośmiu albo dziewięciu biznesmenów z zespołu Hastingsa, który pracował na jachcie. Podobnie jak my stali i czekali ze zdenerwowanymi minami.

Kapitan John McKnight, który wprowadził nas na łódź, opowiedział nam o wypadku syna Hastingsa.

– Stało się to w Azji, podczas wycieczki rowerowej w góry, którą wymyślił pan H. Ma z tego powodu wyrzuty sumienia. Jeśli chcecie znać moją opinię, to właśnie to doprowadziło do jego rozwodu. A teraz aż nie chce mi się wierzyć, że Dan został porwany. Ta myśl jest nie do zniesienia. Dla nas wszystkich. Dan był najbardziej bezpretensjonalnym, uroczym dzieciakiem, jakiego spotkałem. Świetnie poradził sobie po wypadku i był dla wszystkich inspiracją.

– Nadal jest inspiracją, z tego, co wiemy, kapitanie – powiedziałem. – Nie możemy o tym zapominać.

Bosa postać w hawajskiej koszuli i spodniach khaki wreszcie wyłoniła się z pomieszczeń na tyle jachtu. Żyłasty, opalony mężczyzna podszedł do nas i uściśnął nam dłonie. Zauważyłem, że jego ciężki złoty zegarek miał na tarczy żeglarskie flagi zamiast cyfr. Zobaczyłem też gumkę od dołu piżamy nad paskiem od spodni. Nie zataczał się ani nie śmierdział alkoholem, ale było widać, że ten zrozpaczony ojciec pił.

– Bardzo dziękuję, że przyszliście – odezwał się z niespodziewanie mocnym, szkockim akcentem. Z łysą głową i wąsami wyglądał trochę jak Sean Connery. – Czy już się czegoś dowiedzieliście?

– Jeszcze nie, proszę pana – odpowiedziała Emily. – Nie wyobrażam sobie nawet, przez co musi pan teraz przechodzić.

Wpatrywał się przez chwilę w Emily, a moment później na jego twarzy pojawiła się złość.

– Może właśnie przez ten brak wyobraźni dwie pierwsze ofiary zostały zamordowane, agentko Parker? – rzucił z pogardą. – Kilka tygodni temu kupiłem „New York Mirror”, wie pani? Słyszysz się o takich rzeczach.

Rany, pomyślałem. Wygląda jak James Bond, zachowuje się jak Attyła, wódz Hunów. Do tego jeszcze dużo alkoholu. Rozumiałem, że Hastings bardzo cierpiał, ale jego złośliwość była niewłaściwa i zupełnie niepotrzebna.

– Mężczyzna, który porwał Jacoba Dunninga i Chelsea Skinner kontaktuje się z rodziną – powiedziałem, wciskając się między Emily i Hastingsa. – Nie wiemy, czy ta osoba, bądź osoby, które prawdopodobnie uprowadziły pana syna, to ci sami osobnicy, ale tak zakładamy. Z pańskim pozwoleniem, chcielibyśmy zamontować sprzęt identyfikujący lokalizację dzwoniącego.

– No dobrze... – Hastings się zamyślił.

– Dziękujemy panu – Emily kontynuowała z uśmiechem. – Czy nie zna pan przypadkiem rodziny Dunningów albo Skinnerów?

– Oczywiście, że nie. – Hastings znów jej oburknął. – Co to za pytanie? Myśli pani, że wszyscy należymy do jakiejś klikki miliarderów? Czy nie macie jakichś profesjonalistów, którzy zajmują się porwaniami?

– Są tutaj, proszę pana – odpowiedziała Emily, rozpromieniając się jeszcze szerzej i bardziej uroczo. – Właśnie pan na nich patrzy. Jeszcze raz dziękujemy za chęć współpracy.

– Dobrze sobie poradziłaś z tym dupkiem, Parker – pochwaliłem, gdy milioner odszedł.

– Uczę się od najlepszych, Mike – odparła z uśmiechem.

Rozdział 43

Emily i ja spotkaliśmy się na zewnątrz z naszym zespołem i zajęliśmy przenoszeniem sprzętu do identyfikowania połączeń telefonicznych z samochodów FBI i nowojorskiej policji, które podjechały na parking przy przystani. Oprócz nagrywania rozmów technicy chcieli również przepuścić je przez system analizy głosu, który działał podobnie jak wykrywacz kłamstw i rozpoznawał emocje. Tym razem podłączyliśmy do sprzętu także moją komórkę.

Kiedy wszystko było gotowe, z jednego z komputerów ustawionych w głębi luksusowego salonu rozległ się dziwny dźwięk.

– Masz wiadomość! – odezwał się niestosownie wesoły głosik.

– Nie wiedziałem, że ktokolwiek jeszcze tego używa – powiedziałem do sekretarki Hastingsa.

– Raczej nikt nie używa, ale pan Hastings nalegał. Mówi, że to nostalgiczne – wyjaśniła tonem wskazującym na to, że Cesarz Hastings ma wiele takich pomysłów.

Pospieszyliśmy do komputera. Asystentka pana Hastingsa szybko otworzyła skrzynkę e-mailową.

| | |
|--|------------------|
| Od | Temat |
| danhastings@AOL.com | Przeżyję czy nie |

Sekretarka przygryzła wargę, gdy czekaliśmy, aż wiadomość się otworzy.

Hastings,

Jeśli chcesz jeszcze zobaczyć swojego syna żywego, przygotujesz pięć milionów dolarów w studolarowych banknotach. Masz trzy godziny. Im szybciej to załatwimy, tym szybciej

będziesz mógł wrócić do swojego pełnego chciwości i dekadencji życia.

Chyba nie muszę ci przypominać, do czego jestem zdolny.

– Co to jest? – zapytał Hastings, wyłaniając się z kabiny. Uderzył się brodą w kanapę, gdy pospieszył przed komputer i zaczął wpatrywać się w ekran. Wszyscy podskoczyli na jego jęk.

– Och, Danny, och, synu – powiedział. Strącił ze stołu lampę, kiedy sięgnął do monitora, ale moment później wylądował z głośnym łupnięciem obok niej na orientalnym dywanie.

Patrzyliśmy, jak kapitan McKnight podnosi Hastingsa z podłogi. Wyglądało na to, że nie robi tego po raz pierwszy. Mówił do niego spokojnym głosem, gdy wyprowadzał go z powrotem do kajuty.

Wyraźne obrazy Jacoba Dunninga i Chelsea Skinner stanęły mi przed oczami, kiedy jeszcze raz przeczytałem ostatni akapit e-maila.

„Chyba nie muszę ci przypominać, do czego jestem zdolny”.

Nie, nie musiał, pomyślałem. W tym wypadku miał rację.

Rozdział 44

Podczas gdy nasi technicy zajęli się tropieniem e-maila, złapałem spojrzenie Emily.

– Czy mogę chwilę z tobą porozmawiać na pokładzie? – zapytałem, wskazując wyjście z salonu.

Po drodze przez otwarte drzwi zauważyłem jadalnię ze stołem nakrytym kryształami i srebrnymi sztucami dla dwudziestu osób. Z jakiegoś powodu ten widok wywołał we mnie uczucie samotności.

Nic dziwnego, że Hastings wariuje. Mimo majątku wartego osiemset milionów dolarów życie nie miało dla niego litości. Pomimo jego pijackiego melodramatyzmu bardzo mu współczułem.

– Nie podoba mi się to, Parker – powiedziałem, gdy byliśmy już na zewnątrz, patrząc, jak japiszony ćwiczą golfowe uderzenia. – Coś mi tu śmierdzi. Z jednej strony, wysłanie e-maila pokazuje, że chce nas zaskoczyć i nie działać rutynowo. Ale z drugiej strony, nasz porywacz za bardzo kocha brzmienie swojego głosu, żeby wysyłać e-maila. Uwielbia ze mną rozmawiać i wypłakiwać mi się w ramię. Nie jestem przekonany, że to ten sam facet.

Nagle Ramirez wystawił głowę na zewnątrz.

– Mike, chodź tu szybko. Myślałem, że ci z Columbii powariowali, ale to dopiero teraz mamy do czynienia z wariatami.

W środku zobaczyłem dużego, łysego jegomościa w prążkowanym garniturze, który zdejmował ze stołów laptopy.

– Pogoń ich, Vin – krzyczał ze śmiechem Hastings z kanapy. Zapalił cygaro. – Powiedz im, że ich usługi nie są nam już potrzebne.

– Vinny Carbone – przedstawił się mężczyzna, wyciągając dłoń. – Jestem prawnikiem pana Hastingsa. Będę go reprezentował podczas trwania sprawy.

Skonsternowany gapiłem się na Parker.

– Nie byłem świadomy, że toczy się postępowanie sądowe – powiedziałem.

– Najważniejsze jest to, że nie musicie montować żadnych oprogramowań, systemów namierzających i tym podobnych na komputerach pana Hastingsa – kontynuował prawnik. – Miał z wami trochę kłopotów, zwłaszcza z urzędem podatkowym, więc przykro nam, ale nie możemy współpracować. W zasadzie możecie też odłączyć się od jego telefonów. Od tej pory sam będzie zajmował się tą sprawą. A jeśli założyliście jakieś podsłuchy, to zabierzcie je ze sobą. Po waszym wyjściu i tak będziemy sprawdzać całą Łódź.

Systemy namierzające i podsłuchy? – pomyślałem. Ci ludzie naprawdę byli gorsi niż świry z Columbii.

– Panie Carbone – zacząłem, podnosząc dłonie. – Mamy do czynienia z porwaniem. Dan Hastings jest obywatelem. Nie możemy po prostu sobie pójść.

– Powiedz mu, żeby spieprzali z mojej łodzi, Vinny – krzyknął Hastings, dla wzmocnienia swoich słów grożąc cygarem. – Powiedz im, że sami damy sobie radę. Sami. Pozwolę tym dupkom zająć się sprawą, a Dan wróci do mnie w plastikowej torbie.

– Sam słyszałeś, dzieciaku. Z pierwszej ręki – rzucił prawnik swoim brooklyńskim akcentem. – Musicie iść.

Chyba z trzęsącej się ręki pijaka, pomyślałem.

– Ta, już lecimy, tatuśku – powiedziałem i przeszedłem obok niego.

– To może nawet nie jest ten sam porywacz – zwróciłem się do ojca, starając się nie tracić nad sobą panowania.

Emily, która stała za mną, chyba już je straciła.

– Myślisz, że możesz wykupić swojego dzieciaka? – powiedziała głośno. – Przez ciebie zginie.

– Odpieprz się, glino – odparł Hastings. – Przegrywacie już dwa do zera. Nie macie pojęcia, co robicie, durnie!

Machnął na nas cygarem. Nagle jego głos brzmiał o wiele mniej dystyngowanie, niż gdy go poznaliśmy.

– Och, niech się pan nie martwi, odpieprzam się, panie Hastings – krzyknęła Emily, gdy wychodziliśmy. – Byłam wkurzona od momentu, gdy pana poznałam.

Rozdział 45

Wielmożny pan Vinny Carbone wyszedł za mną i Emily na zewnętrzny pokład.

– Czy jest pan tak samo szalony, jak tamten facet? Toczy się federalne śledztwo – odezwała się do prawnika Parker.

– Chwileczkę, agentko Parker – powiedziałem, odciągając ją. – Chyba dam sobie radę.

– Posłuchaj, Vinny. Jeśli chcesz nakaz sądowy, dostaniesz go. Gwarantuję jednak, że teraz będziemy przeglądać jego komputery i telefony bardzo uważnie. Zamknę go za przeszkadzanie w śledztwie albo, do cholery, może w ogóle uczynię go głównym podejrzanym. Uciszysz go albo zabiorę jego bogate, pijackie dupsko na posterunek w Harlemie.

Vin nie rozmyślał długo o mojej propozycji. Mimo swojego pospolitego zachowania wiedział, co jest grane.

– Pogadam z nim – powiedział. – Dajcie mi chwilę.

Gdy czekaliśmy wpatrzeni w samochody na autostradzie West Side, ja i Parker zrobiliśmy burzę mózgów.

– Musimy sobie wszystko poukładać, zanim ten idiota naprawdę doprowadzi do śmierci swojego syna – stwierdziła Emily.

– Dobra, Parker. Na chwilę założmy, że to ten sam porywacz. Jak się w to wpisuje Dan Hastings?

– Oczywiście jest bogaty – odpowiedziała. – Jedno z pozostałej dwójki też było na pierwszym roku studiów. Jest jedynakiem.

– Nie jest – zauważyłem. – Ma przecież dwójkę przybranego rodzeństwa, pamiętasz?

– Masz rację – przytaknęła. – Czy to ważne?

– Nie wiem, ale tym się różni. Poza tym ten facet właśnie się rozwodzi, a pozostałe dwie rodziny były pełne.

– Dobre spostrzeżenie, ale czy to wskazuje, że stoi za tym inny porywacz?

- Albo że łączy ich coś jeszcze, o czym nie wiemy.
 - No to lepiej, żebyśmy się jak najszybciej dowiedzieli – powiedziała Parker, gdy zauważyliśmy, że na parking podjeżdża opancerzony samochód.
- Wysiedli dwaj uzbrojeni strażnicy w uniformach, podeszli do bagażnika i wyjęli dwie bardzo duże torby z gotówką.
- Wygląda na to, że ten statek z bandą głupców na pokładzie zaraz odpłynie.

Rozdział 46

Pozwolono nam wrócić na pokład pod warunkiem, że nasi technicy będą nadzorowani przez pracowników Gordona Hastingsa. Doradca Hastingsa do spraw IT stał nad głową technika z FBI, gdy ten instalował program do weryfikacji adresu komputera.

Atmosfera była jeszcze trochę napięta, gdy punktualnie o trzeciej po południu rozległo się kolejne: „Masz wiadomość!”. Hastings sam otworzył e-maila:

Należy dokładnie przestrzegać następujących instrukcji:

1. Pięć milionów dolarów ma zostać umieszczone w czarnej torbie na kółkach.
2. Ty, tylko ty i nikt więcej, przyniesiesz pieniądze na południowy plac zabaw na osiedlu Polo Grounds przy Sto Pięćdziesiątej Piątej w Harlemie o 16.45.
3. Kiedy tam dotrzesz, a my będziemy mieli pewność, że nikt cię nie śledził ani nie przyprowadził policji, otrzymasz kolejne instrukcje.

Pamiętaj:

Jeśli pojawi się jakikolwiek dowód na to, że obserwuje nas policja, z ziemi albo z powietrza, już nigdy nie zobaczysz swojego syna.

Pierwsza dwójka miała pokazać, na co mnie stać. Tylko ty dostałeś szansę ocalenia swojego cennego potomka. Nie zmarnuj jej.

Hastings i jego prawnik zniknęli w kabinie. Carbone pojawił się sam pięć minut później.

– Pan Hastings sam dostarczy pieniądze. To nie podlega negocjacom. Będzie miał na sobie podsłuch, więc będziemy wiedzieli, gdzie się znajduje i co się dzieje. Poza tym będzie postępował zgodnie z zaleceniami porywacza. Żadnych helikopterów. Słyszysz, Bennett?

Wiedziałem, że w którymś momencie tego śledztwa będę musiał skorzystać z umiejętności zdobytych podczas szkolenia z negocjacji. Nigdy jednak nie przypuszczałem, że zrobię to, rozmawiając z ojcem uprowadzonego.

Niechętnie, ale zgodziliśmy się. Naprawdę od Hastingsa zależało to, jak wszystko rozegra, zwłaszcza gdy w grę wchodził okup. Nie znaczyło to jednak, że będziemy wymigiwać się od odpowiedzialności i nie zrobimy wszystkiego, co w naszej mocy, żeby uratować jego syna.

Emily i ja szybko zadzwoniliśmy do naszych przełożonych, aby poinformować ich, jak kiepsko rozwijały się wydarzenia. Carol Fleming powiedziała mi, że słyszała o adwokacie Hastingsa, Carbone. Słynął z reprezentowania podejrzanych typów.

Czy ten fakt może być ważny w sprawie? Nie wiedziałem. Nie mieliśmy czasu, żeby to sprawdzić. Za dwie godziny porywacz miał dostać okup, a nasi ludzie już dawno powinni być przygotowani do tej akcji.

Hastings stał przy barze i pił kawę, gdy nasi technicy zakładali na nim podsłuch. Jego zespół był zajęty pakowaniem pieniędzy. Rozumiałem, dlaczego według instrukcji gotówka miała być w torbie na kółkach. Nawet w studolarowych banknotach okup ważył jakieś czterdzieści kilogramów.

– Ten facet nie jest w stanie zawiązać sobie sznurówek, jak ma uratować swojego syna? – zapytała Emily.

– Nie uratuje – powiedziałem. – My to zrobimy.

Rozdział 47

Detektywi Ramirez i Schultz musieli zostać i dopilnować spraw na jachcie, podczas gdy Emily i ja popędziliśmy autostradą West Side, a następnie przez miasto wzdłuż Sto Pięćdziesiątej Piątej. Nie było dużego ruchu na ulicach, ale przecież i tak nie zatrzymywaliśmy się na czerwonych światłach.

Sierżant Jack Bloom z dystryktu czwartego czekał na nas na tyłach najbardziej wysuniętego na południe budynku na osiedlu Polo Grounds.

– Patrolujemy tę ulicę z bronią gotową do strzału – powiedział, gdy weszliśmy na dach. – Zdarzają się tu pobicia, przemoc na tle seksualnym. Błagamy zarządców budynków, żeby zamykali drzwi na dach na klucz, ale ciągle powtarzają, że nie mogą ze względu na przepisy przeciwpożarowe. Podczas patrolowania tych podwórek pod nami musimy mieć oczy szeroko otwarte, bo dzieciaki czasem przesyłają nam z dachów niespodzianki.

Z miejsca, w którym staliśmy, roztaczał się niesamowity widok na stadion jankesów na drugim brzegu Cieśniny Harlemskiej. Bloom wyjaśnił, że okoliczne osiedla wybudowano na terenie, gdzie kiedyś znajdował się stadion baseballowy Polo Grounds.

– Żartujesz? – spytała Emily. – Stadion Polo Grounds, na którym giantsi wygrali ligę?

Bloom ponuro przytaknął.

– Teraz toczą się tu tylko pojedynki między dilerami na klatkach schodowych.

– Cóż, to zdecydowanie równie przygnębiające miejsce, jak pozostałe dwie lokalizacje – stwierdziła. – Może to jednak ten sam facet.

Dwadzieścia minut później dostaliśmy informację, że Gordon Hastings czeka z pieniędzmi w samochodzie, pół przecznicy na zachód przy Sto Pięćdziesiątej Piątej. Spojrzałem na zegarek. Była czwarta trzydzieści. Za piętnaście minut miał nastąpić kontakt.

Wszystko, co mogliśmy przygotować, było gotowe. Oprócz posiłków

powietrznych, które czekały w Highbridge Park kawałek stąd. Łódź straży przybrzeżnej była w pogotowiu na Cieśninie Harlemskiej, na południe od miejsca, w którym byliśmy, na wypadek gdyby coś zostało wrzucone do wody.

Dwie nadzorujące ekipy służb porządkowych i ekipa FBI specjalizująca się w ratowaniu porwanych znajdowały się w mieszkaniach otaczających południowy plac zabaw.

Słyszałem przez radio, jak dostrajają częstotliwości.

Jeśli nasz porywacz był wystarczająco głupi, żeby się tu pokazać, musieliśmy go złapać. Naprawdę miałem nadzieję, że tak się stanie.

Wypuściłem powietrze, gdy spojrzałem na podwórka poniżej. Pierwszy raz mieliśmy coś, czego chciał porywacz. Musieliśmy teraz zagrać bardzo ostrożnie.

Pięć minut później Emily przywołała mnie do krawędzi dachu.

– Mike, spójrz na to.

Obok placu zabaw młodzi, ciemnoskórzy mężczyźni w tradycyjnych afrykańskich strojach rozstawiali swoje instrumenty. Chwilę później rytmiczne dźwięki bębnów wypełniły okolicę.

– Niezły rytm – powiedziałem. – Chcesz potaćzyć?

– Nie, idioto. To nasi. Są ze specjalnego oddziału nowojorskiego biura.

– Nie ma mowy – zaśmiałem się.

Emily przytaknęła.

– Facet w zielonych szatach jest agentem specjalnym. Która godzina?

– Jeszcze dziesięć minut – odparłem, ocierając z twarzy pot.

Rozdział 48

Kiedy Hastings wreszcie wysiadł z samochodu przy Clayton Powell Jr. Boulevard, wzmógł się wiatr oraz rytm mojego serca. Przez wysokiej klasy lornetkę śledziłem kroki udęczonego ojca przemierzającego ponure betonowe podwórko.

– Uwaga – usłyszeliśmy przez radio głos jednego z członków zespołu monitorującego okolicę. – Zwróćcie uwagę na ciemnoskórego mężczyznę w brązowej skórzanej kurtce, który nadchodzi od południowej strony.

Pospieszyliśmy z agentką Parker w południowo-wschodni kraniec dachu. Dokładnie pod naszym punktem obserwacyjnym młody, łysy czarny mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych przemieszczał się przez południowy parking w kierunku Hastingsa.

Krzyknął, gdy Hastings dotarł do placyku znajdującego się w podwórzu. Podkręciłem odbiornik radiowy podłączony do mikrofonu przymocowanego do Hastingsa.

– Tutaj! – krzyknął mężczyzna.

Hastings stanął. Oddychał ciężko i obiema dłońmi ścisnął uchwyt torby z pieniędzmi, gdy mężczyzna szedł w jego kierunku.

– Gdzie jest Danny? – zapytał. – Gdzie jest mój syn?

Ignorując jego pytania, mężczyzna wyjął z kieszeni komórkę i podał ją Hastingsowi.

Pewnie nawet gdybym nie obserwował sceny przez lornetkę, zauważyłbym radość, która pojawiła się na twarzy ojca sekundę później.

– Och, Danny! – powiedział i zaczął płakać. – To ty! Mój Boże, myślałem, że nie żyjesz. Czy nic ci nie jest? Czy coś cię boli?

Kiedy wymieniliśmy zaskoczone spojrzenia z Emily, na krótką chwilę ogarnęło mnie uczucie ulgi. Nasz porywacz zamordował pierwsze dwie ofiary niemal od razu. Fakt, że Dan Hastings jeszcze żył, był bardzo mile widzianą nagłą zmianą

modus operandi porywacza.

– Odzyskam cię, Danny – rzucił do słuchawki medialny potentat. – Zrobię, co mi każą. Wrócisz do mnie do domu. Ja...

Ucieszona mina ojca zniknęła równie nagle, jak się pojawiła. Porywacz musiał przejąć słuchawkę. Bardzo frustrujące było to, że nie mogliśmy słyszeć obu rozmówców.

– Tak, oczywiście, że mam pieniądze – powiedział Hastings. – Ale nie dostaniesz ani centa, dopóki nie wypuścisz mojego syna.

Bezradnie przyglądaliśmy się, jak Hastings słuchał czegoś, co mówi mu porywacz.

– Spojrzeć gdzie? Na telefon? – wreszcie się odezwał. Hastings odjął telefon od ucha i spojrzął na wyświetlacz. Co się działo? Czy patrzył na zdjęcie? Czy na wideo?

– Czy ktoś ma widok na telefon? Na co on patrzy? – krzyknąłem do krótkofalówki.

– To chyba ktoś na wózku inwalidzkim – odezwał się jeden ze snajperów. – Ledwo widzę.

– Okay, okay, dobrze – powiedział wreszcie Hastings. Oddał torbę mężczyźnie z telefonem.

Cokolwiek zobaczył, przekonało go, że jego syn będzie wolny. Ja jeszcze nie miałem takiej pewności.

– Weź je. Są twoje, co do centa – rzucił Hastings. – Zrobiłem, co każę. Teraz wypuść Danny'ego.

Rozdział 49

Ciemnoskóry mężczyzna klęknął i otworzył torbę, żeby sprawdzić, czy na pewno są w niej pieniądze, a ja i Emily rzuciliśmy się biegiem do drzwi prowadzących na dach. Musieliśmy znaleźć się jak najszybciej na ulicy, aby śledzić, dokąd wędrują pieniądze. Tylko to mogło nas doprowadzić do syna Hastingsa.

– Ruszył na południe, w kierunku Bradhurst – odezwał się głos w radio, gdy dwie minuty później dotarliśmy na podwórko.

– Będę go śledził pieszo – krzyknąłem do Emily, gdy dostrzegłem mężczyznę z torbą idącego przez plac. – Śledź nas samochodem i trzymaj się przynajmniej dwie przecznice za mną. Na wozie FBI jest więcej anten niż na cholernej wieży nadawczej. Nie możemy go spłoszyć.

Emily odbiła w bok, a ja podążyłem za ciemnoskórym mężczyzną. Trzymałem się możliwie z tyłu. Nie szedł zbyt szybko. Nie oglądał się ani nie wydawał się zaniepokojony tym, że ktoś może go śledzić. Zastanawiałem się, czy był przebiegły, czy po prostu głupi. Stawiałem bardziej na to drugie.

Kiedy za nim szedłem, pozostawałem w kontakcie z naszymi ludźmi, którzy monitorowali okolicę. Cały ten zakątek wschodniego Harlemu był pod naszą obserwacją. Musieliśmy poradzić sobie nie tylko z rzeką, Harlem River Drive i bliskością stacji metra, ale także osiedlami oddzielonymi od reszty Harlemu wysokim urwiskiem. W okolicy było mnóstwo wąskich alejek, jednokierunkowych i ślepych uliczek, wiele miejsc, w których łatwo było się ukryć i nas zgubić.

Przyszedł czas na zabawę w kotka i myszkę i nie byłem pewny, kto z niej wyjdzie zwycięsko.

Zdziwiłem się, gdy mężczyzna skręcił w prawo i przeszedł pod wiaduktem na Sto Pięćdziesiątej Piątej obok znaku DROGA ZAMKNIĘTA. Zauważyłem, że na końcu tej ślepej uliczki stało kilka samochodów. Czy wsiądzie do któregoś z nich?

Zamiast tego jednak znów skręcił w prawo i ruszył w górę schodami, których wcześniej nie zauważyłem. Pokręciłem z niedowierzaniem głową, gdy do nich

dotarłem i zobaczyłem, jakie są strome.

Nie byłem pewien, czy to moje uda, czy płuca bardziej mnie piekły, gdy zbliżałem się na szczyt.

– Mamy obraz – usłyszałem, gdy mężczyzna wspiał się po schodach i wyłonił się przy wjeździe na Harlem River Drive. Sto metrów dalej na północ mieliśmy w pogotowiu nieoznakowany patrol, gdyby mężczyzna próbował tą drogą wywieźć pieniądze.

Nie próbował. Gdy dotarłem na szczyt schodów, przechodził na drugą stronę Edgecombe Avenue wzdłuż górnego odcinka Sto Pięćdziesiątej Piątej Ulicy. Myślałem, że zejdzie na stację metra na skrzyżowaniu z St. Nicholas, gdzie czekała nasza kolejna ekipa, ale zaskoczył nas wszystkich, gdy wszedł do Eagle Pizza i kupił sobie kawałek.

Pizza? – zastanawiałem się. Czy ten facet jest poważny? Nikt nie byłby tak spokojny na jego miejscu. Przyglądałem się pieszym, którzy wchodzili i schodzili schodami prowadzącymi na perony metra. Odnosiłem wrażenie, że w całej akcji było coś dziwnego.

Podjechała Emily i wsiadłem do samochodu FBI. Patrzyliśmy, jak mężczyzna z pieniędzmi kończy jeść i rusza dalej na zachód.

Skręcił, ciągnąc za sobą torbę, za kolejny róg, gdy to się wydarzyło. Zapiszczał silnik i na motorze BMX pojawiła się postać w czarnym, motocyklowym kasku i skórzanym stroju do jazdy w tym samym kolorze.

Nie mogliśmy się zatrzymać. Mogliśmy wyłącznie z rozdziawionymi ustami patrzeć, jak przechwytuje torbę z rąk ciemnoskórego mężczyzny. Motocyklista popędził przez czerwone światła, niemal zahaczając o maskę naszego samochodu, i pojechał w przeciwnym kierunku, w dół Sto Pięćdziesiątej Piątej.

Rozdział 50

Byliśmy odwrócenii w przeciwnym kierunku, kiedy obok nas przemknął. Emily wjechała na krawężnik, gdy wykręcała samochodem. Krzychałem do krótkofalówki, informując naszych ludzi o tym, co właśnie się wydarzyło, gdy motocyklista gwałtownie skręcił w lewo, w Amsterdam i ruszył na północ. Wjechał po chodniku do parku miejskiego. Wydawało mi się, że pękła oś samochodu, gdy Emily znów z impetem uderzyła w krawężnik i ruszyliśmy za nim.

– Czyli już nie utrzymujemy bezpiecznej odległości? – krzychałem, gdy znaleźliśmy się na nierównej trawie i ścigaliśmy BMX-a.

Motocyklista zatrzymał się gwałtownie obok miejskiego basenu. Zostawił motocykl i zaczął przedzierać się z torbą między drzewami. Nie miałem czasu powiedzieć: „Chyba sobie żartuje!”, a już wyskoczyłem z samochodu.

Znalazłem przerwę między gęstymi krzakami i ruszyłem za facetem z torbą, gdy zorientowałem się, dokąd biegnie.

Zmierzał w stronę mostu pieszego należącego do High Bridge, który łączył Manhattan z Bronksem. Zbudowane w połowie dziewiętnastego wieku, wysokie na trzynaście pięter wąskie kamienne przejście rozpięte nad Cieśniną Harlemską kiedyś używane było jako akwedukt, który sprowadzał wodę do miasta z górnej części stanu. Teraz stanowiło tylko zaniedbaną strukturę na południe od drogi ekspresowej Cross Bronx, nad której przyszłością debatowano, ponieważ władze miasta nie wiedziały czy ją remontować, czy burzyć.

Mężczyzna w kasku zarzucił sobie torbę na plecy, wskoczył na jakieś przedpotopowe rusztowanie i zaczął się wspinać. Po chwili przeskoczył przez dziurę w drucie kolczastym i zaczął znikać, pędząc w kierunku Bronksu przez porośnięte chwastami brukowane przejście.

– Powiadomcie Bronx! – krzychałem przez nadajnik. – Posterunek czterdziesty czwarty. Ten walnięty sukinsyn biegnie przez High Bridge w kierunku Bronksu.

– I ten drugi też – wymamrotałem do siebie, gdy wcisnąłem krótkofalówkę do

kieszoni i zacząłem wspinać się po rusztowaniu.

Zatrzymałem się, aby zeskoczyć na most. Miał może trzy metry szerokości, a po bokach tylko liche, sięgające do pasa stalowe bariery, które miały uchronić mnie przed przerażającym upadkiem. Zakręciło mi się w głowie.

Motocyklista przebiegł na drugą stronę mostu, zdjął torbę i rzucił ją. Myślałem, że wpadnie do rzeki, ale widziałem, jak ląduje, unosząc kłęb kurzu, między drogą ekspresową Major Deegan a torami linii Metro North.

– Rzucił torbę! – krzyknąłem. – Wyślijcie kogoś na drugą stronę rzeki, tam, gdzie są tory. Pieniądze są przy torach po stronie Bronksu!

Kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem, że facet biegnie w przeciwnym kierunku. Prosto na mnie!

Nie miał już na sobie kurtki i ścisnął coś w dłoni. Wystawały z tego kable. Wydawały się iść wzdłuż jego ramienia w stronę pleców.

Bomba!? – zastanawiałem się, sięgając po swojego glocka.

O co, do cholery, chodzi?

– Stój! Natychmiast! – krzyknąłem. Facet nie zwrócił na to uwagi.

– Na kolana! – krzyknąłem znowu.

Biegł nadal. Widok mężczyzny biegnącego w moim kierunku bez żadnego zrozumiałego powodu był więcej niż surrealistyczny. Miałem już pociągnąć za spust, kiedy on zrobił coś zadziwiającego.

Nie zatrzymując się, zboczył w moje lewo, wspiął się na barierkę i bez żadnego dźwięku skoczył.

Serce mi stanęło. Podbiegłem do bariery i spojrzałem w dół. Facet spadał, kiedy nagle nastąpiła dziwna eksplozja koloru, którą początkowo wziąłem za wybuch. Myślałem, że wysadził się w powietrze, ale zaraz zorientowałem się, że to pomarańczowy spadochron.

Sukinsyn! – pomyślałem. Nie popełnił samobójstwa. Zeskoczył ze spadochronem z mostu. Wiedziałem, że powinienem go zastrzelić. Zastanawiałem się, czy powinienem spróbować teraz, gdy oddalał się z nurtem rzeki.

– Wyślijcie łódź i helikopter! – krzyknąłem. – Sukinsyn właśnie zabawił się w Jamesa Bonda i zeskoczył z mostu ze spadochronem. Powtarzam. Zeskoczył ze spadochronem z mostu!

Rozdział 51

Myślałem, że zginiemy dziesięć minut później, kiedy Parker z piskiem opon zjechała z autostrady na drogę wewnętrzną Metro North. Nadal hamowaliśmy, kiedy wyskoczyłem z samochodu i biegłem przez tory w miejsce, w którym, jak mi wydawało się, wylądowała torba z pieniędzmi.

Przeszukiwałem krzaki jak opętaniec. Kopnąłem puszkę, jakieś pudełko, kilka opon. Gdzie ona jest, do cholery? Wtedy dostrzegłem czarny pasek. Podbiegłem i pociągnąłem za niego. Cholera! Nic nie ważyła. Torba była pusta.

Usiadłem na wyschniętej trawie. Za mną biegła dróżka, która miała jakieś trzydzieści metrów i dochodziła do autostrady. Porywacze musieli czekać. Już dawno odjechali.

Spieprzyliśmy to. Straciliśmy pieniądze.

– Cholera! I jeszcze raz cholera! – powiedziała Emily, kiedy pokazałem jej pustą torbę. Podała mi rękę i pomogła wstać. – Przynajmniej udało się złapać spadochroniarza. Chodźmy.

Nadal buzowała we mnie adrenalina, gdy wyskoczyłem z samochodu FBI i biegłem brzegiem rzeki na północ. Policja rzeczna wyciągnęła skoczka z wody. Funkcjonariusze trzymali go przy wjeździe na drogę ekspresową Cross Bronx w kierunku południowym.

Z pomocą jednego z policjantów posadziłem chłopaka, który do tej pory leżał na ziemi na brzuchu, mokry i skuty kajdankami. Był młodym, pryszczatym białym dzieciakiem z nażelowanym irokezem.

– To już koniec. Gdzie jest Dan Hastings? Gdzie on jest? – krzychałem.

– Kto? Jaki Danny? – zapytał wyraźnie zaskoczony dzieciak. – To jakiś nowy w teamie? Jest z Birdhouse Team?

Zmrużyłem oczy.

– Masz dwie sekundy, żeby powiedzieć mi, o czym mówisz, albo pójdiesz popływać w kajdankach.

– Hej, stary. Nic nie zrobiłem. Ten facet, Mark, zapłacił mi, żebym skoczył z mostu. Powiedział, że jest z Birdhouse, no wiesz, skateboardowej firmy Tony’ego Hawka. Powiedział, że szukają szalonych filmików do jednej z nowych produkcji. Wiem, że nie było to do końca legalne, ale zapłacił mi dziesięć tysięcy w gotówce. Powiedział, że jakiś czarny koleś zostawi torbę na rogu Amsterdam, a ja mam ją zabrać do mostu i zrobić swój trik. Połowę zapłacił mi z góry. Przysięgam na Boga, że to prawda.

Wpatrywałem się w tego głupiego dzieciaka z furją.

– A co sobie myślałeś, kiedy celowałem do ciebie z broni? Że gram metodą Stanisławskiego?

– Tak – odpowiedział. – Myślałem, że to wszystko część filmu, stary. Chcesz mi powiedzieć, że nie nakręciliście tego wszystkiego?

Czy ktoś naprawdę mógł być aż tak głupi? Chyba tak, ten chłopak mógł.

– Nadal kręcimy – stwierdziłem, gdy pojawiło się kilku gliniarzy z Bronksu. – W kolejnej scenie trafiasz do więzienia.

– Ten idiota mówi, że został wynajęty, żeby skoczyć z mostu, a ja mu wierzę – wyjaśniłem Emily, kiedy wróciłem z powrotem do samochodu.

Nastąpił najgorszy moment naszego dochodzenia. Straciliśmy pieniądze i trop, który mógł nas doprowadzić do syna Hastingsa. Zrobili nas w balona. Spieprzyliśmy akcję.

Porównywaliśmy informacje z resztą zaszokowanych policjantów, którzy monitorowali operację, gdy samochodem podjechał ojciec ofiary, Gordon Hastings.

– Daliście dupy! Straciliście moje pieniądze! Zabiliście mojego syna! – krzyczał Szkot czerwony na twarzy, idąc w moją stronę po poboczu autostrady.

Miał szczęście, że nie przedarł się przez szóstkę policjantów i agentów, którzy stanęli mu na drodze. Byłem już tak sfrustrowany, że z radością wybiłbym mu zęby, ojciec czy nie.

Rozdział 52

Pięć minut później zajechaliśmy z Parker na trzydziesty posterunek, gdzie zawieszono dwóch podejrzanych.

Po tym jak przegrałem w rzucie monetą w gabinecie kapitana posterunku, spotkał mnie wątpliwy zaszczyt zatelefonowania do One Police Plaza z informacją o naszym niepowodzeniu. Nawet zazwyczaj bezlitosny, doświadczony kapitan O'Dwyer spojrzał na mnie ze współczuciem, gdy zostawił mnie w swoim gabinecie, abym dostał lanie. Kiedy przekazałem wszystkie złe wieści, zacząłem się obawiać, że uszy mi zaczną krwawić od wyzwisk.

Nadal dochodziłem do siebie na jednym z plastikowych krzeseł w biurze kapitana, gdy przyszła Emily, aby zdać sprawozdanie z przesłuchań, które toczyły się na drugim końcu korytarza.

– To samo – powiedziała, zamykając notes i opadając na jedno z pomarańczowych krzeseł obok mnie. – Łysy czarny mężczyzna i dzieciak zostali wynajęci i opłaceni gotówką przez tajemniczego Marka. Opisują go jako krzepkiego, białego faceta w typie harleyowców. Mówią, że miał rudą brodę w stylu Abrahama Lincolna i ramiona pokryte tatuażami. Kolejna przykrywka?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wierzę – powiedziałem. – Po tym wszystkim znaleźliśmy się znów w punkcie wyjścia. A nawet w jeszcze gorszym miejscu.

Dan Hastings nadal był zaginiony. Zniknęło pięć milionów dolarów. Niemal zabiłem nierozważnego dziesiętnastolatka i pobiłem nierozważnego multimilionera w średnim wieku. Nawet dla kogoś takiego jak ja był to naprawdę kiepski dzień pracy.

– Musimy wrócić na dobry trop. Chodźmy na kawę i omówmy jeszcze raz wszystko, co wiemy.

Nie udało nam się znaleźć Starbucksa, a najbliższej kawę podawali w greckiej knajpie naprzeciwko sądu.

– Od zniknięcia Jacoba Dunninga nasz porywacz wynajmował ludzi, którzy kupowali mu komórki. Myślisz, że mógł wynająć jeszcze jednego pośrednika, tego Marka, żeby zajął się przejęciem okupu?

– To chyba możliwe – stwierdziła Parker. – Chociaż wszystko wskazuje na to, że jest raczej samotnikiem. Ale w sumie, im dłużej o tym myślę, tym bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że chodziło o pieniądze. Pierwszą dwójkę zabił, żeby pokazać ojcu Hastingsa, na co go stać i że ma do czynienia z wyrachowanym graczem. Może od teraz powinniśmy zakładać, że to Hastings był prawdziwym celem.

Moja obolała szyja strzeliła, gdy zacząłem nią kręcić. Wstałem.

– Może masz rację. Wracajmy na kampus Columpii.

Rozdział 53

Z trzydziestego posterunku ruszyliśmy prosto do akademika Dana Hastingsa na kampusie Columbia University. Być może z powodu jego niepełnosprawności, a może kontaktów ojca, Dan Hastings mieszkał w pokoju w nowym akademiku przy Sto Osiemnastej, który zwykle zarezerwowany był dla studentów prawa. Jeden ze strażników wpuścił nas do jego pokoju.

Panował w nim niezwykły porządek. Urządzony był wyglądającymi na bardzo drogie, robionymi na zamówienie meblami, a szafę wypełniały ubrania z równie drogiego domu towarowego Barneys. Obok łóżka znaleźliśmy egzemplarze „National Review” i najnowszą książkę Seana Hannity’ego¹⁴. Nawet sześćdziesięciocalowy plazmowy telewizor Dana ustawiony był na kanał Fox News.

– Utajony konserwatysta na Columbii? Jak ci się to podoba? – powiedziała Emily.

W telewizji zaczął się reportaż o obchodach Mardi Gras w Nowym Orleanie. Przypomniałem sobie znak z popiołu na czołach Jacoba Dunninga i Chelsea Skinner oraz odniesienia porywacza do środy popielcowej. Mimo że cała sprawa wyglądała jak skomplikowane porwanie dla okupu, nie mogłem pozbyć się myśli, że wszystkie trzy porwania były jakoś z nią związane.

Od ochrony dostaliśmy numer komórki do sąsiada Hastingsa. Zadzwoniliśmy i umówiliśmy się na spotkanie ze studentem pierwszego roku prawa, Kennym Gruberem, pod salą gimnastyczną, gdzie trenował koszykówkę.

– Na wózku czy nie, Dan był bardzo popularny – powiedział Gruber, pociągając łyk red bulla. – Miał więcej przyjaciół niż ktokolwiek inny, kogo znam. Urządzał niesamowite imprezy. Czy rozmawialiście z Galiną?

– A kto to? – zapytała Emily.

– Jego dziewczyna, Galina Nesser. Mój Boże, co to za laska! Rosyjska bogini. Studiuje fizykę. Wiecie już, co mam na myśli, kiedy mówię, że Dan jest

wyjatkowy? Jak facet na wózku zdobył taką ekstra laskę?

Emily chrząknęła znacząco.

– Och, przepraszam panią. Zapomniałem się – zmieszał się Gruber. – Jeśli chcecie wiedzieć o Danie więcej, powinniście porozmawiać z Galiną.

– Przepraszam panią? – powiedziała Emily, gdy wychodziliśmy z kampusu. – Wyglądam na panią?

– Oczywiście, że nie – stwierdziłem. – Wyglądasz, jak ekstra...

Odkoczyłem w bok, gdy agentka Parker szturchnęła mnie w ramię.

– A to za co? – zapytałem, rozcierając bolące miejsce. – Chciałem tylko powiedzieć, że wyglądasz, jak ekstra policjantka. Jezu, a ty co myślałaś?

Rozdział 54

Francis X. Mooney przeklął pod nosem, gdy jego taksówka wspinała się Sto Piętnastą Ulicą do Lenox Avenue. W dole, w kierunku Sto Dwudziestej Piątej, i na kolejnym wzniesieniu samochodu wlekły się zderzak w zderzak przez następne piętnaście przecznic.

Wcisnął dwadzieścia dolarów przez otwór w szybie oddzielającej go od kierowcy i otworzył drzwi. Był bardzo spóźniony. Szybciej będzie na piechotę.

Kiedy znalazł się na chodniku, zaczął biec. Chryste, co za dzień, pomyślał, gdy na jego twarzy pojawiły się strużki potu. Miał tyle spraw na głowie, że ledwo mógł je spamiętać.

Dotarł do Sto Trzydziestej Siódmej Ulicy, nie mając ani chwili zapasu. Był w drodze do mieszkania matki skazanego na śmierć Reginalda Franklina. Mimo iż miał tyle swoich planów i mnóstwo ważnych obowiązków, sumienie nie pozwalało mu zapomnieć o skazańcu.

Skręcił z Lenox Avenue, przeszedł obok Harlem Hospital Center i wszedł przez zniszczone drzwi frontowe do wąskiej, trzypiętrowej, ceglanej czynszówki. Gdy tylko przekroczył próg i znalazł się na cuchnącej klatce schodowej, rozległo się szczekanie.

Nie dziwne, że Kurt z organizacji New York Heart nie chciał zajmować się już tą sprawą, pomyślał, słuchając niezwykle głośnego ujadania. Nieważne. Z psami czy bez, na szali leżało ludzkie życie.

Kiedy Francis X. znalazł się na półpiętrze, drzwi do mieszkania pani Franklin na drugim piętrze się uchylły. Zastygł bez ruchu, gdy wyskoczył na niego ogromny pies. Wyglądał jak potwór. Był to dog kanaryjski, przedstawiciel niezwykle wściekłej rasy. Taki sam jak ten, który zagryzł kobietę w San Francisco. Miał pręgowaną sierść i musiał ważyć jakieś siedemdziesiąt kilo.

Francis X. zaczął oddychać, dopiero gdy zobaczył, że pies jest na łańcuchu. Na uwięzi trzymała go stara, żylasta, czarnoskóra kobieta.

– Jestem z organizacji New York Heart, proszę pani – szybko powiedział Francis. – Doradzam im w sprawach prawnych. Przychodzę w sprawie pani syna Reggiego. Chciałbym mu pomóc uniknąć egzekucji. Czy mogłaby pani zabrać swojego pupila?

– Masz jakiś dokument, biały chłoptasiu? – zapytała pomiędzy rozlegającymi się głośnymi szczeknięciami.

Francis pokazał jej identyfikator służb socjalnych. Pies próbował go złapać i niemal połknął razem z dłonią prawnika.

– Dobrze, dobrze. Chwileczkę – powiedziała wreszcie starsza kobieta.

Czy mu się tylko wydaje, czy ta stara Afroamerykanka ma na twarzy uśmieszek?

– Mówił pan, że przyjdzie, prawda? Musiałam zapomnieć. Proszę czekać, a ja zamknę Chestera.

Drzwi zamknęły się i znów otwały. Z głębi mieszkania dobiegały odgłosy wydawane przez rozszalałego psa.

– Już chyba może pan wejść – stwierdziła, machając niecierpliwie dłonią. – Niech pan zamknie za sobą te cholerne drzwi. Co pan mówił o Reggieem?

Wszedł za nią do salonu. W telewizji właśnie trwał program *Sędzia Judy*. Kobieta położyła się na kanapie. Nie ściszyła dźwięku.

– No i? Czego pan chce?

– Słyszałem, że odrzucono ostatnie odwołanie Reginalda, i pozwoliłem sobie napisać prośbę do gubernatora. Wszystko gotowe, musi tylko pani podpisać, a ja wyślę ją kurierem. Mój przyjaciel ze studiów pracuje dla legislatury stanowej na Florydzie i chociaż nie może nic zagwarantować, osobiście wstawi się za Reggieem. Myślę, że mamy spore szanse.

– Muszę coś płacić? – zapytała pani Franklin, gdy gestem dłoni zawołała go do siebie z dokumentem.

– Za moje usługi? Oczywiście, że nie, pani Franklin.

– Nie, to akurat wiem – odparła, podpisując papier. – Mam na myśli kuriera. To cholerstwo jest drogie.

– Nie, to oczywiście też już jest załatwione.

– Dobrze – powiedziała z uśmiechem. – Coś jeszcze? A może pieprzone dziękuję? – pomyślał Francis X., nie potrafiąc zapanować nad swoją złością. Następnie rozejrzał się po pokoju. Zdał sobie sprawę, że to nie była jej wina. Bieda sprawiała, że ludzie się tacy stawali. Pani Franklin była ofiarą. Podobnie jak jej syn.

– To wszystko. Lepiej już pójde. Pomoc pani i pani synowi to dla mnie przyjemność. Chociaż tyle jestem w stanie zrobić.

Rozdział 55

Dochodziła piąta, gdy Emily podrzuciła mnie do domu. Spotkanie podsumowujące dzień, które miało się odbyć w kwaterze głównej, przesunięto na szóstą trzydzieści, a ja rozpaczliwie chciałem wziąć prysznic i włożyć świeże ubranie. Perspektywa zebrania nie napawała mnie entuzjazmem. Będą chcieli rzucić na kogoś winę za stracone pięć milionów.

Z szafy w korytarzu wyjąłem garnitur prosto z pralni. Starłem się wyglądać jak najlepiej zawsze, gdy byłem wzywany na dywanik.

– Niemożliwe, ale jednak! Tatuś jest w domu przed kolacją! Achhh! – krzyknęła podekscytowana jedna z moich córek, Fiona, kiedy pojawiłem się w drzwiach jadalni.

Cały gang, nadal w szkolnych mundurkach, wrócił już ze szkoły i był zajęty odrabianiem lekcji. Obszedłem stół dookoła, przybijając piątki i rozdając uściski, a nawet, tam gdzie było to mile widziane, kilka łaskotek.

Wielu gliniarzy, z którymi pracuję, pytało mnie, po co, do cholery, komuś tyle dzieciaków, a ja zawsze miałem kłopot, aby im to wyjaśnić. Pewnie, zdarzają się kłótnie. Legendarne kolejki do łazienki. Bałagan, o którym nie śniło się profesjonalnym ekipom sprzątającym. Nie wspominając nawet o wydatkach. Zazdroszczę tym, którzy bez problemu żyją od pierwszego do pierwszego. Ale to właśnie w takich chwilach jak ta, gdy cała moja ekipa jest razem – bezpieczna, zadowolona i zajęta – myślę, że każde wyrzeczenie jest tego warte, i czuję czyste, niezmacone niczym szczęście.

Dzieci są moim stadem, moją paczką. Zebraliśmy je razem i wszystko, czego kiedykolwiek nauczyliśmy się z moją żoną Maeve, przekazaliśmy dzieciom. Nie tylko wzięły sobie te lekcje do serca i stosują się do nich w domu – są dla siebie miłe i grzeczne, nawet kiedy nie mają na to ochoty – ale im są starsze, tym większe kręgi zatacza ich dobroć. Nie zliczę, ile razy nauczyciele, sąsiedzi czy rodzice innych uczniów mówili mi, jak wspaniałe, uprzejme i niesamolubne są moje dzieci.

Maeve, a teraz Mary Catherine, spędzając z nimi czas w domu każdego dnia, zapracowały dziewięćdziesiąt dziewięć procent zasług za to, jakimi ludźmi są dzieciaki. Ale dzięki temu mojemu jednemu procentowi jestem z siebie dumny bardziej niż z czegokolwiek, co udało mi się osiągnąć w życiu zawodowym.

Mary Catherine uśmiechnęła się do mnie, podnosząc wzrok znad morza niebiesko-złotej kratki mundurków szkoły katolickiej.

– Mike, czy to ty? – zapytała. – Zrobić ci coś do jedzenia?

– Nie kłopotz się – powiedziałem, kładąc komórkę na komodzie i ruszając do swojego pokoju. – Wpadłem tylko na chwilkę. Mam godzinę, a może mniej, zanim ten szatański przedmiot znów się o mnie upomni.

Dwadzieścia minut później, w garniturze wolnym od potu, borygo i plam z trawy, wróciłem do jadalni i niemal zemdlałem. Zamiast stołu zawalonego podręcznikami, zeszytami, czerwonymi długopisami, kalkulatorami i linijkami, ujrzałem stół nakryty tak, jakby znów była niedziela.

Mary Catherine, Brian i Juliana weszli chwilę później z talerzem pełnym smażonego kurczaka, kukurydzianego chlebka z jalapeflo i świeżą sałatką. Kolejny niesamowity posiłek, dzięki mojemu prywatnemu zbawcy, Mary Catherine.

Pokręciłem głową z niedowierzaniem, że tak się postarała. Oprócz mojej żony, Mary Catherine była najbardziej szczodłą osobą, jaką znałem.

Kto by pomyślał? Może znaczyło to, że była chociaż troszkę mniej na mnie wkurzona.

Po tym jak zmówiliśmy modlitwy, porwałem kromkę gorącego kukurydzianego chleba. Zamknąłem oczy w ekstazie.

– Jakim cudem irlandzka dziewczyna tak dobrze gotuje przysmaki z Południa? – powiedziałem z pełnymi ustami. – Niech zgadnę, jesteś z południowo-zachodniej części Irlandii?

Uśmiechy i wesołość zniknęły jak balon przebity szpilką, gdy rozległ się dzwonek mojego telefonu. Wstałem, żeby go odebrać, ale Chrissy sięgnęła za siebie i podniosła aparat.

– Och nie, tatusiu – powiedziała, rzucając nim na drugi koniec stołu do Bridget. – Zostajesz tutaj. Nie ma telefonu, nie ma pracy.

Wszyscy zaczęli skandować:

– Nie ma telefonu! Nie ma pracy! – kiedy zaczęliśmy zabawę w głupiego Jasia. Zgadnijcie, kto był Jasiem.

– To nie jest zabawne – stwierdziłem, próbując się nie śmiać, ale mi się nie

udało.

Nie udało mi się także odzyskać telefonu. Gra w głupiego Jasia przeciwko dziesięciu osobom nie jest sprawiedliwa. A w zasadzie przeciw jedenastu, ponieważ Mary udała, że podaje mi telefon, po czym w ostatniej chwili przekazała go za plecami Brianowi. Ten rzucił go Eddiemu, który wreszcie go odebrał. – Przykro mi, ale pan Bennett nie może w tej chwili rozmawiać – oznajmił, a wszyscy zaczęli chichotać. – Proszę zostawić wiadomość po sygnale. Piiii.

– Mike, czy to ty? – zapytała Emily, gdy wreszcie udało mi się wydrzeć telefon z rąk Eddiego.

– Przepraszam, Parker. Moja rodzinka się wygłupia. A przynajmniej tak im się wydaje. Co się dzieje?

– Zgadnij – powiedziała.

– Nie – odparłem.

– Tak – odezwała się ponuro. – Uprawdzono kolejnego dzieciaka, Mike. Właśnie podjeżdżam pod twój dom.

Rozdział 56

Emily wręczyła mi swoje notatki na temat ostatniego porwania, gdy zapinałem pasy na przednim siedzeniu jej federalnej bryki. Zaskoczyła mnie gorącą, czarną kawą, która czekała na mnie w uchwycie na kubek i czarno-białym ciasteczkiem z Zaro's. Zauważyłem też, że świetnie sobie radzi, przedzierając się przez chaos popołudniowego ruchu na Manhattanie.

Niezdrowe jedzenie i zdrowa dawka agresji za kółkiem, pomyślałem z uznaniem. Moja nowa partnerka szybko pojęła, na czym polega bycie nowojorskim gliniarzem.

Spokój, którym cieszyłem się po wzięciu gorącego prysznicza i spotkaniu z dziećmi, trwał mniej niż nowojorską minutę, gdy zacząłem przeglądać notatki Emily. Ostatnia ofiara była najmłodsza: siedemnastoletnia licealistka Mary Beth Haas. Zniknęła w południe. Ostatnio widziano ją, gdy wychodziła ze swojej bardzo elitarniej żeńskiej szkoły Brearley przy Wschodniej Osiemdziesiątej Trzeciej Ulicy i szła do należącej do szkoły sali gimnastycznej przy Wschodniej Osiemdziesiątej Siódmej. Nigdy tam nie dotarła. Biedna dziewczyna zniknęła.

– Podobieństwo do uprowadzenia Hastingsa jest uderzające – powiedziałam. – Oboje zniknęli z elitarnych manhattańskich szkół. Musimy sprawdzić, czy żaden z nauczycieli nie pracował w obu placówkach.

– Nic nowego w sprawie Hastingsa? – zapytała Emily.

– Policjanci z dwudziestego szóstego posterunku szukają jego rosyjskiej dziewczyny, ale nie mam żadnych wieści – poinformowałem i wróciłem do czytania raportu. Przeczytałem, że matka Mary Beth, Ann, była prezesem i głównym udziałowcem funduszu Price Templeton, drugiego największego funduszu powierniczego na Wall Street. Nic dziwnego, że nasza nowa sprawa postawiła na nogi wszystkich w One Police Plaza.

– Sprawdziłam matkę w internecie – powiedziała Emily. – Jest chyba piątą albo szóstą najbogatszą kobietą w kraju. Jej ojciec założył fundusz, ale ona zaczynała

jako analityk i mówi się, że tak czy siak doszłaby do swojego stanowiska prezesa, nawet gdyby nie odziedziczyła po ojcu trzydziestu czterech procent udziałów. Jest również jednym z najhojniejszych ofiarodawców na rzecz nowojorskiej filharmonii i biblioteki publicznej.

– Kolejna jedynaczka bardzo bogatych nowojorskich rodziców, podobnie jak w przypadku Dunningów, Skinnerów i Gordona Hastingsa? – zapytałem.

Emily przytaknęła.

– Nie mogę uwierzyć, że tak szybko porwał kolejnego dzieciaka. Musiał uprowadzić Mary Beth, zanim Hastings przekazał okup.

– Na litość boską. – Chciałem przywalić w coś pięścią. – Myślałem, że przestanie po tym, jak dostał swoje pięć milionów. A teraz dwa porwania w jeden dzień? Co to za facet? I o co mu chodzi, jeśli nie o pieniądze?

Przemknęliśmy przez most brooklyński i zjechaliśmy pierwszym zjazdem w kierunku najbardziej luksusowej części dzielnicy, Brooklyn Heights. Dwa nieoznakowane samochody stały już przed wielkim domem w stylu greckim, przy wysadzanym drzewami Columbia Heights. Z ulicy rozciągał się widok na Brooklyn Promenade i prawdopodobnie najbardziej majestatyczny widok na dolny Manhattan, jaki można było sobie wymarzyć.

Drzwi otworzyła nam kobieta detektyw, którą znałem z wydziału zabójstw południowego Brooklynu. Za nią technik w ortalionowej, policyjnej wiatrówce z napisem NYPD rozkładał na części aparat telefoniczny.

Podniosłem wzrok, ponieważ ze schodów zaczęła schodzić filigranowa kobieta koło pięćdziesiątki, z bardzo krótkimi blond włosami. Obsesyjnie odgarniała je, gdy szybko mówiła coś do komórki. W środku aż jęknąłem, gdy zobaczyłem ogromny smutek i rozpacz na twarzy Ann Haas. Mogłem sobie tylko wyobrażać, przez co musiała przechodzić.

Widziałem, jak niewyobrażalnie smutny, zły i zrozpaczony byłbym, gdyby zaginęło któreś z moich dzieci. Pani Haas na pewno przechodziła przez piekło.

– Chyba są już ludzie z FBI, John. Zadzwoń później – powiedziała zrozpaczona matka do telefonu, gdy znalazła się na dole. Gestem zaprosiła nas do salonu.

Jej komórka odbiła się od dębowej skrzyni, która służyła za stół kawowy, kiedy kobieta opadła na ogromną, obitą jedwabiem kanapę. Pomimo drogiego kostiumu, który miała na sobie, kiedy podwinęła nogi w czarnych pończochach, nagle wyglądała jak mała dziewczynka. Mała dziewczynka, która straciła swoją

jedyną lalkę, pomyślałem.

Wyraźna linia wieżowców dolnego Manhattanu wydawała się drapać o szybę znajdującego się za nią okna wykuszowego. Ann Haas odwróciła się i wpatrzyła w biurowce.

– Wyprowadziliśmy się z tego szalonego miejsca, kiedy urodziła się Mary Beth, żeby zapewnić jej jakiś spokój i normalność – powiedziała cicho i pokręciła głową. – Chciałam, żeby jeździła do szkoły i z powrotem z kierowcą, ale odkąd skończyła czternaście lat, Mary Beth uparła się, że będzie korzystać z metra. Mam znajomych, którzy wynajmują profesjonalistów, żeby pokazali ich bogatym dzieciakom, jak wygląda życie normalnych ludzi, ale z Mary Beth było wręcz odwrotnie. Musiałam staczać z nią wojnę za każdym razem, gdy próbowałam przekonać ją, że nie ma nic złego w korzystaniu z zasobów, które mamy.

Spojrzała na mnie zakłopotana, tak jakbym znał lekarstwo na ból, który ją teraz ogarniał. Wkurzało mnie, że nie mogłem jej pomóc.

– Czy pani mąż jest w domu? – zapytałem.

– W ciągu tygodnia pracuje dla UBS w Londynie, ale wraca najbliższym samolotem. Czy uwierzycie, że jakiś idiota z Brearley próbował mnie przekonać, że moja córka po prostu wybrała się na węgry? Mary Beth jest kapitanem drużyny lacrosse i siatkówki. Przyjęli ją już wstępnie na Bard, na litość boską. To nie jest dziewczyna, która miałaby ochotę na węgry. Proszę, powiedzcie mi, że domyślacie się, kto mógł ją porwać. Proszę powiedzcie mi, że przywieziecie Mary Beth do domu.

Pełne cierpienia oczy kobiety skupiły się na moich, gdy zaczęła cicho płakać. Spuściła wzrok, dopiero gdy Emily usiadła obok niej i położyła jej dłoń na nadgarstku.

– Zrobimy co w naszej mocy, pani Haas – zapewniła ją Emily. – Nie mogę zagwarantować pani nic oprócz tego, że damy z siebie wszystko, żeby pani córeczka trafiła z powrotem do domu.

Rozdział 57

Mimo oczywistego cierpienia Ann Haas udało się opowiedzieć nam o swojej córce, Mary Beth. Była pilną uczennicą z dobrą średnią, której marzeniem była pomoc biednym w Ameryce Południowej, gdzie spędzała wakacje na różnych obozach dla wolontariuszy, odkąd skończyła czternaście lat.

– W tym roku zamiast jechać do Europy, jak wielu jej przyjaciół, Mary Beth planowała prowadzić teatr dla dzieci w Perez Zeledón, jednej z najbiedniejszych części Kostaryki – powiedziała pani prezes, wręczając nam zdjęcie. – Tylko o tym ostatnio mówiła.

Mary Beth była atrakcyjną, niebieskooką dziewczyną z długimi kruczoczarnymi włosami i lekką nadwagą. Na zdjęciu miała na sobie zieloną bandankę oraz dopasowaną kolorystycznie koszulę i szorty. Uśmiechała się i machała z jakiejś zabłoconej ścieżki w dżungli.

Najbardziej zdziwiło mnie to, że Mary Beth nie miała konta na żadnym portalu społecznościowym, ani na MySpace, ani na Facebooku, w przeciwieństwie do pozostałych ofiar. Nie pasuje do współczesności, pomyślałem, patrząc na jej uśmiech. Była bardzo dobrym i wyjątkowym dzieciakiem.

Ann Haas miała właśnie zabrać nas do pokoju córki, gdy zadzwonił telefon stacjonarny. Technik, który podłączył sprzęt i rozłożył się przy kominku, spojrzał na ekran laptopa i gwałtownie pokiwał głową. Pokazałem pani Haas, żeby odebrała telefon w salonie, a technik wręczył mi słuchawki.

Kostki pani Haas były równie blade, jak jej twarz.

– Tak? – odezwała się.

– Pani Haas – powiedział porywacz. – Biedna, biedna pani Haas. Co za ironia, biorąc pod uwagę ostatnią listę „Forbesa”, nieprawdaż?

Skinąłem głową do wszystkich zebranych w pokoju. Dzwonił ten sam facet.

– Och, pani Haas – kontynuował porywacz. – Tak wspaniale wygląda pani podczas wszystkich imprez charytatywnych. Jak pięknie flesze z aparatów

paparazzi odbijają się od pani diamentów. Czy kiedy błysk panią oślepił, choć przez chwilę nie pomyślała pani, że jest kimś więcej niż zwykli śmiertelnicy? Chyba tak było. Pycha jest jednym z pani grzechów głównych, Ann. Mogę zwracać się do ciebie Ann, prawda? Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko. Po tym ile czasu spędziłem z twoją córką, czuję się, jakbyśmy byli rodziną.

– Ty pieprzony sukinsynu! – krzyknęła do słuchawki pani Haas. – Oddaj ją!

Porywacz westchnął smutno.

– O jejku, jejku. Jakim brzydkim językiem w naszym spaczonym społeczeństwie może posługiwać się nawet najbardziej uprzywilejowana osoba. Czy naprawdę powinniśmy tak rozmawiać? Czy ci sztywni, biali naukowcy nauczyli cię tak mówić w Sarah Lawrence College? Czy może nauczył cię tego tatuś? Nic dziwnego, jak się jest jedną z kilku kobiet na przesiąkniętym testosteronem Wall Street.

Co prowadzi nas do twojego kolejnego grzechu, Ann. Cudzołóstwa. Z wieloma partnerami, jeśli plotki są prawdziwe. Czy mam przejść do szczegółów? Czy to nie na tym polega bycie bogatą? Seks, pieniądze i ludzie wynajęci do prania pościeli z egipskiej bawełny? Jesteś brudną grzesznicą, Ann, tak samo jak twój nudny mąż, ten angielski bufon.

– Proszę, pozwól mi porozmawiać z Mary Beth – błagała pani Haas. – Chociaż chwilkę. Jakkolwiek ci zawiniłam, przepraszam.

– Ja również – powiedział porywacz. – Ale rozmowa z Mary Beth nie będzie możliwa. Jestem tu, żeby nauczyć cię, że jesteś śmiertelnikiem, Ann. I tak jak każdy śmiertelnik musisz przejść do porządku dziennego nad tym, czym jest strata. Grzech i strata idą ramię w ramię. Proszę teraz przekazać słuchawkę mojemu przyjacielowi detektywowi Bennettowi. Bardzo miło mi się z tobą rozmawiało, mimo że używasz wstrętnego języka. Mam nadzieję, że nie narobił ci nadziei, pani prezes. A z drugiej strony, w sumie to mam nadzieję, że tak zrobił. Im bardziej będziesz dumna, tym gorszy będzie twój upadek. Pa, pa.

– Tu detektyw Bennett – powiedziałem, przejmując słuchawkę od łkającej prezes. – Jak się czuje Mary Beth? Czy z nią wszystko w porządku?

– Nic jej nie jest, Mike. Na razie. Czeka ją ważny sprawdzian. Można powiedzieć, że to egzamin końcowy. Wszystko w jej rękach. Zadzwoń, jak tylko będę znał wynik.

– Czeka. Nie chcesz pieniędzy?

– Żadne pieniądze tego świata nie uchroniłyby Mary Beth przed spotkaniem

z przeznaczeniem, Mike.

Co to, do cholery, miało znaczyć? Nie miało to sensu. W tle usłyszałem charakterystyczny dźwięk, klik-klik. Skrzywiłem się. Do diabła. Właśnie załadował automat.

– Módl się za nią, Mike. Tyle jej zostało.

Rozdział 58

Mary Beth Haas mocniej wgrzyła się w wielki kłęb gazy, który miała wetknięty w usta, gdy próbowała ustawić się w pozycji siedzącej.

Znajdowała się w zupełnie ciemnym, metalowym pudle z niskim wiekiem i zimnymi, zardzewiałymi ścianami i podłogą. Miała na sobie kaftan bezpieczeństwa. Siedziała w nim już kilka dobrych godzin. Najpierw była przerażona. Potem wściekła. Teraz czuła już tylko smutek, bezgraniczny, beznadziejny smutek.

Kiedy siedziała w tej ciemnej klitce, jak w niekończącym się koszmarze, przez głowę w kółko przebiegały jej wydarzenia dzisiejszego popołudnia.

Wiedziała, że nie powinna opuszczać kampusu, żeby biegać w Brearley Field House przy Osiemdziesiątej Siódmej, ale ponieważ była seniorem i współkapitanem drużyny ubiegającej się o ponowne mistrzostwo stanowe w siatkówce, nauczyciele i trener przymykali oko, gdy wymykała się, żeby potrenować podczas porannej przerwy.

W drodze z sali gimnastycznej przechodziła właśnie przez jeden z tych wyglądających jak jaskinia tuneli znajdujących się pod ulicą, gdy mężczyzna stojący przy drzwiach otwartej furgonetki powiedział: „Mary Beth?”.

Pamiętała uczucie paraliżu w klatce piersiowej, kiedy odwróciła się w stronę głosu. Zdrętwiało jej całe ciało i bezsilna opadła do przodu. Jej nos i usta wypełnił mocny, medyczny zapach, a potem straciła przytomność.

Obudziła się z potwornym bólem głowy w kaftanie bezpieczeństwa. Ile godzin temu się to zdarzyło? Siedem? Może osiem. Osiem godzin ciemności i ciszy. Osiem godzin głodu, pragnienia, brudu i potrzeby skorzystania z toalety. Czuła się, jakby dryfowała po morzu. Morzu ciemności, gdzie nie było szansy na ocalenie.

Najpierw jej smutek był ostry, ale teraz słabł jak wypalająca się świeca. Myślała o swoich przyjaciółkach i nauczycielach.

O swojej mamie. Przepraszam wszystkich, pomyślała. Przepraszam, że byłam

taka głupia. Przepraszam, że nawaliłam.

Nie wiedziała, jak dużo czasu jeszcze upłynęło, zanim usłyszała dźwięk przesuwanej, metalowej żaluzji.

O Boże! Ktoś nadchodził. Mężczyzna, który ją uprowadził.

Poczuła napad zwierzęcej wręcz paniki i zastygła bez ruchu. Teraz jej pewnie dotknie. Oni tak robią, prawda? Szaleńcy? Krzywdzą cię. Gwałcą. Mordują. Zapłakała. Lepiej by było, gdyby ją po prostu pochował. Nie chciała cierpieć.

Wtedy otrząsnęła się i przestała nad sobą uzalać. Znalazła w sobie bezpieczne miejsce i skupiła się na nim. Będzie walczyć o życie. Będzie gryzła, krzyczała i kopała. Poczuła się lepiej, gdy o tym myślała. Chciała żyć, ale przede wszystkim chciała walczyć. Nagle poczuła, że jest na to gotowa.

Dobiegł ją odgłos zbliżającego się silnika samochodowego. Znów usłyszała metalową bramę, która tym razem została opuszczona. Dźwięk gasnącego silnika i otwierających się drzwi sprawiły, że przez chwilę się zawahała, ale zaraz mocniej zagryzła swój knebel i jej pewność siebie powróciła.

Chcę żyć, pomyślała. Proszę, Boże, daj mi tylko szansę na przeżycie.

Rozdział 59

Metaliczne skrobanie zamka było głośne i rozległo się tuż przy uchu Mary Beth. Pokrywa stalowej skrzyni zazgrzytała i otworzyła się.

Nawet w słabym świetle wiedziała, że to on. Garnitur. Siwe włosy i okulary. Wyglądał inteligentnie, jak ojciec, miły lekarz albo popularny profesor. Jak ludzie mogą być tak źli? – zastanawiała się.

Ramiona, a zwłaszcza dłonie miała silne dzięki grze w siatkówkę. Uwolni ją, żeby się do niej dostać, prawda? Jak tylko nadarzy się okazja, uderzy go pięścią w okulary i spróbuje wbić mu odłamek w oko, tak głęboko, jak tylko jej się uda.

Podniósł ją za sznureczki z tyłu kaftana. Zobaczyła, że przetrzymywał ją w dużej, przemysłowej skrzyni na narzędzia. Znajdowali się w ogromnym, ciemnym magazynie. Za furgonetką stały słupy wyglądające jak szyny i kanistry z benzyną. Czy mogła jeden z nich kopnąć i wzniecić pożar? Co najlepsze, nad wejściem znajdowało się wysokie okno. Po drugiej stronie był świat.

Musisz się tam dostać, dopingowała się. Za wszystko, co ludzie zrobili dla ciebie w twoim życiu, musisz się tam przedostać.

Mężczyzna posadził ją na ławce przy metalowym stole, a sam usiadł po drugiej stronie.

Z kieszeni marynarki wyjął dwa przedmioty i położył je na stole tak, żeby je zobaczyła. Zapłakała na ich widok.

Przed nią leżały żyletka i czarny pistolet.

– Wyjmę ci teraz knebel. Jeśli zaczniesz krzyczeć, będę musiał pociąć tę twoją nieskazitelną buzię, Mary Beth. Pokiwaj głową, jeśli rozumiesz.

Skinęła głową. Sięgnął przez stół, przyłożył jej zimną żyletkę do twarzy i przeciął gazę. Oddychała przez usta i ruszała obolałą szczęką, żałując, że ma związane ręce i nie może podrapać się po policzku.

– Cześć, Mary Beth – odezwał się. – Wiesz, kim jestem?

Hm, niech zgadnę, pomyślała. Jesteś szaleńcem, który zabija nastolatki?

– Mężczyznę z gazet. Tym, którego szuka policja – odparła.

Pokiwał głową i szeroko się uśmiechnął.

– Przyznaję się do winy – powiedział. – Nie będę kłamał. Ludzie, którzy zginęli, skończyli tak, ponieważ oblali test. Nie mamy już na naszym świecie takiego luksusu, żeby pozwalać żyć bezwartościowym jednostkom. Dlatego cię tu przywiozłem. Muszę się przekonać, czy ty jesteś warta swojego życia.

Test, pomyślała Mary Beth, gdy mężczyzna skrzyknął, a następnie zapalił papierosa. Kiedy wypuścił niebieski, aromatyczny dym z nosa, pozwoliła sobie na iskierkę nadziei. Podejrzewała, że kłamie i tylko z nią pogrywa, ale jeśli tak jednak nie było, może jej się uda.

Przecież była mądra. Dostała 2120 punktów na egzaminie SAT, wstępnie przyjęto ją na Bard, która była jej pierwszym wyborem. Większość dzieciaków, które znała, wypisywała mnóstwo bzdur w swoich podaniach o przyjęcie na studia, ale jej, dzięki jej pracy wolontariusza i zajęciom pozalekcyjnym, zawierało tylko prawdę. Naprawdę uwielbiała uczyć się, czytać i zajmować czymś umysł.

Niech to będzie prawda, pomyślała.

Strzepnął popiół na stół, pomiędzy żyletkę a pistolet.

– Dobrze, pytanie numer jeden: opowiedz mi o sprawiedliwym handlu, cenach kawy i ich skutkach dla plantatorów kawy w Ameryce Południowej.

O mój Boże, pomyślała podekscytowana Mary Beth. Akurat w tym temacie się orientuję. Rozmawialiśmy o tym w zeszłym miesiącu podczas spotkań szkolnego komitetu Politycznej Świadomości.

– Współczesny ruch sprawiedliwego handlu rozpoczął się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku w Holandii – zaczęła. – Rozpoczął się ze względu na okropne wykorzystywanie robotników rolnych na południowej półkuli. Organizacja Fair Trade w ramach gospodarczej współpracy zajmuje się ochroną małych plantacji kawy i daje konsumentom wybór, czy zapłacić robotnikom trochę więcej za ich pracę. Latem, kiedy miałam piętnaście lat, pojechałam na zbiory na plantację w Nikaragui.

Przez chwilę zdawało się, że papieros spadnie z dolnej wargi siwowłosego mężczyzny. Szybko jednak odzyskał rezon.

– Masz rację – powiedział, zaciągając się. – A teraz przejdźmy to trudniejszego tematu efektu cieplarnianego. Ile galonów benzyny Amerykanie zużywają każdego roku?

– Sto czterdzieści sześć tysięcy miliardów – odpowiedziała bez zawahania Mary

Beth. Znała odpowiedź, ponieważ w szkole pracowali nad projektem, w którym udawali Organizację Narodów Zjednoczonych. Dostała rolę reprezentanta Darfuru podczas debaty o zasobach energii.

Mężczyzna po raz pierwszy zdawał się szczerze uśmiechać. Zgniół pod butem papierosa. Podniósł nawet żyletkę ze stołu i schował z powrotem do kieszeni.

– Znów dobra odpowiedź – stwierdził. – Dobrze, Mary Beth. Nieźle ci idzie. Przynajmniej na razie. Jeszcze jednak wiele pytań przed tobą. A teraz pytanie numer trzy. Temat: skrajny głód mieszkańców najbogatszych krajów na świecie.

Rozdział 60

Siedzieliśmy wpatrzeni w telefon. Cała sytuacja wydawała się bez sensu. Porywacz już powinien do nas zadzwonić. Za każdym razem dzwonił, żeby powiedzieć nam, gdzie znajdowało się ciało. Czy brak informacji i trzymanie rodziców w niepewności było jego najnowszą metodą tortur? Jeśli tak, działała pierwszorzędnie.

Jedyny ślad pojawił się po telefonie z firmy telekomunikacyjnej Verizon Wireless, której udało się namierzyć miejsce, z którego nawiązano poprzednie połączenie. Dzwonił z okolic plaży Gateway National, na południowym brzegu Staten Island. Nikogo jednak nie zdziwiło to, że gdy detektywi ze sto dwudziestego drugiego posterunku popędzili na miejsce, zastali jedynie mewy. Porywacz mógł być w samochodzie, gdy do nas dzwonił, a może nawet na łodzi. Znow nic. Kolejna ślepa uliczka.

Kiedy podszedłem do okna po raz trzydziesty, zauważyłem, że coś dziwnego dzieje się na chodniku przed domem Haasów. Zbierał się tłum. Wyglądało to na sąsiedzką imprezę.

Wyszedłem na zewnątrz, myśląc, że to prasa, ale zaraz zauważyłem bluzę z emblematem szkoły Brearley. Przyjaciele Mary Beth. Stali, trzymając zapalone świece przy stercie pluszowych misiów, kwiatów i podpisanej piłce do siatkówki. Na tym spontanicznym czuwaniu pojawili się niemal wszyscy uczniowie z klasy maturalnej. Płakali, palili, trzymali jej zdjęcia.

Myślałem o rozpędzeniu tego zbiegowiska, ale potem uznałem, że nie ma powodu. Jeśli porywacz obserwował dom, może taki pokaz przywiązania do Mary Beth dowiedzie mu, że dziewczyna jest wartościowym człowiekiem z krwi i kości, a nie uosobieniem jego nienawiści.

Wpatrywałem się w młode, poważne twarze, gdy ktoś zaczął grać na gitarze. Mimo wszystko to było w dziwny sposób piękne. Drgające płomienie świec zdawały się wtapiać w światła Manhattanu na drugim brzegu ciemnej zatoki. Mary

Beth była wspaniałym dzieciakiem, który wpłynął na wiele osób.

Do szalu doprowadzało mnie to, że nie mogłem jej odzyskać. Nawet po tak długim czasie nadal byliśmy całkowicie skołowani i czuliśmy się bezużyteczni.

Ann Haas wyszła na zewnątrz i zniknęła w objęciach przyjaciół swojej córki. Zamówiła pizzę. Emily i ja pomogliśmy jej ją rozdawać. Muszę przyznać, że byłem pod wrażeniem pełnych emocji reakcji wszystkich zebranych i tego, że starali się nawzajem pocieszać. Szkoda, że dopiero w obliczu tragedii ludzie pokazują swoją dobrą stronę.

Emily i ja wykorzystaliśmy okazję, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o Mary Beth. Ann Haas przedstawiła mnie Kevinowi Adello, wysokiemu koszykarzowi z kręconymi włosami, który chodził do Collegiate, elitarnej męskiej szkoły powiązanej z Brearley. Powiedział nam, że umawiał się z Mary Beth.

– Będzie studiować w Bard, więc zamiast iść na Princeton, zdecydowałem, że będę grał dla Vassar, żebyśmy mogli być bliżej siebie. Musicie wiedzieć, że ona jest inna niż reszta dziewczyn. Mary Beth jest prawdziwa. Puściłaby pawia, gdyby zobaczyła tych wszystkich snobów w ich dżinsach marki Seven. Przepraszam, jestem zbyt surowy. To miło, że tu przyszli, ale chciałbym móc coś zrobić.

Przechadzałem się, gdy na ulicy pojawiła się taksówka. Tłum zebrał się wokół niej. Zmroziło mi krew w żyłach.

– Rozejść się! – krzyknąłem i zacząłem odpychać zszokowanych nastolatków.

Wystraszona dziewczyna w wymiętej bluzie z kapturem otworzyła drzwi taksówki, kiedy się przy nich pojawiłem.

– Wszystko okay – powiedziała Mary Beth, podnosząc ręce do góry. – Nic mi nie jest.

Co? Nie mogłem w to uwierzyć. Kolejny zwrot akcji.

Pierwszy, który nas ucieszył. Uradowani znajomi Mary Beth klaskali i gwizdali, gdy prowadziłem ją po schodach do domu i jej zalanej łzami radości matki.

Pozwolił Mary Beth żyć?

Rozdział 61

Staliśmy z Emily w ostrym świetle w kuchni, patrząc, jak matka i córka radośnie się obejmują. Nie potrafiłem stwierdzić, która z nich bardziej płakała. Emily sprawiała wrażenie, jakby chciała do nich dołączyć.

– Wpadło ci coś do oka, detektywie Twardzielu? – zapytała.

– Hej – szepnąłem, mrugając. – Chyba mam jednak serce, co? Piśnij słówko Schultzowi albo Ramirezowi, a padną strzały.

– Pomóż mi, Mike – powiedziała, wzdychając. – Musimy porozmawiać z dziewczyną, póki jest „świeża”. Chcę zostać z nią sama.

– Pani Haas? Czy mogę z panią chwilę porozmawiać? Musimy przemyśleć strategię postępowania z mediami. To bardzo ważne.

– Teraz? – zapytała, gdy prowadziłem ją na korytarz. – Czy to nie może poczekać? Chcę pomóc córce się umyć. Potrzebuje mnie. Nic nie jest ważniejsze. A tak w ogóle, dlaczego tu jeszcze jesteście? Chciałabym, żebyście już sobie poszli, a nasze życie wróciło do normalnego stanu.

– Mamo! – krzyknęła Mary Beth. Odezwała się po raz pierwszy, odkąd weszła do środka. – Muszą ze mną porozmawiać. Czy to dziwne? Przestań mnie traktować jak trzylatkę. Nic mi nie jest.

Oczy Ann Haas otwarły się szeroko, gdy zaskoczoną udało mi się ją wreszcie wyprowadzić na korytarz. Z każdą minutą coraz bardziej lubiłem tę charakterną nastolatkę. Emily zaczęła przesłuchanie.

– Cześć, Mary Beth. Nazywam się Emily Parker. Pracuję dla FBI. Nawet nie wiesz, jak się cieszymy, że nic ci nie jest. Teraz jednak chciałabym, żebyś odpowiedziała na kilka pytań, bo może nam to pomóc w złapaniu porywacza.

– Jeśli chcesz odbyć gadkę o gwałtach i tym podobnym to sobie daruj. Nawet mnie nie dotknął.

– Dobrze. To bardzo dobrze. W takim razie, czy możesz go opisać, Mary Beth? Ile ma lat? Jak wygląda?

– Jest koło pięćdziesiątki. Ma szerokie ramiona, mniej więcej metr osiemdziesiąt wzrostu. Jest szpakowaty, w zasadzie całkiem przystojny. Przypominał mi aktora, który grał ojca w filmie *Pojutrze*, Dennisa Quaida. Tylko że jest bledszy i nosi okulary. Miał też na sobie drogi garnitur.

Parker wszystko notowała. Dlaczego nie założył maski, skoro planował, że ją wypuści, zastanawiała się. Czy to jego niedbalstwo? A może kolejna sztuczka?

– Nie jest wcale taki zły – kontynuowała Mary Beth. – Wiem, że to dziwnie zabrzmiało, ale martwi się o różne rzeczy. Pewnie nawet za bardzo. W sumie, po tym wszystkim, jest mi go przede wszystkim żal.

Co?

– Co masz na myśli? – zapytała Parker.

– Zadał mi listę pytań o to, w jak złym kierunku zmierza nasz świat. Było to coś w rodzaju testu. Z każdą moją poprawną odpowiedzią robił się coraz bardziej szczęśliwy. Na końcu nawet płakał. Powiedział, że jest ze mnie bardzo dumny. Powiedział, żebym pilnie studiowała. Mówił, że świat mnie potrzebuje. Przeprosił za to, że musiałam przez to wszystko przejść, a potem odwiózł na róg i wsadził do taksówki. Zapłacił nawet kierowcy.

Parker musiała bardzo koncentrować się na tym, żeby nie kręcić głową z niedowierzaniem. Ten facet był naprawdę stuknięty.

– Nie udało ci się przypadkiem zapamiętać jego rejestracji?

– Nie – powiedziała. – To była furgonetka w jasnym kolorze. Chyba w żółtym.

– Pamiętasz coś jeszcze, Mary Beth?

– Sam skręca swoje papierosy. Zaraz, zanim mnie wypuścił, nakreślił mi znak krzyża popiołem na czole. Spójrz – powiedziała i podniosła dłoń, żeby go dotknąć.

Parker chwyciła ją za nadgarstek, zanim dziewczyna zdążyła się wytrzeć.

– Mike! Chodź tu! – krzyknęła zadowolona. – Chyba mamy odciski palców!

Rozdział 62

Ponieważ nie mieliśmy czasu czekać na ekipę kryminalistyczną, sami zdjęliśmy odciski. I kiedy mówię „my”, mam na myśli Emily.

Zostałem z Mary Beth, podczas gdy agentka specjalna Parker poszła do samochodu i wróciła z rękawiczkami chirurgicznymi i taśmą do ściągania odcisków.

– To zajmie tylko chwilę, skarbie – powiedziała Emily, gdy uważnie nakładała taśmę na czoło dziewczyny. Lekkim, sprawnym ruchem wygładziła taśmę, a następnie ją odkleiła.

Musiałem powstrzymać się od wiwatowania, gdy odbiła odciski na specjalnej białej tekturce. Wyglądały idealnie. Nawet zdejmowanie odcisków z zimnego szkła bywa czasem trudne, ale Emily zrobiła to tak zwinnie, jak specjalista. Czy istniało coś, czego ta babka z FBI nie potrafiła robić?

Emily wróciła do samochodu i wyjęła z bagażnika duże, szare pudełko. Znajdowała się w nim drukarka LiveScan 10, przenośny sprzęt do skanowania odcisków palców. Podłączyła ją do samochodowego terminalu i skan został przesłany do systemu identyfikacji odcisków w Clarksburgu w stanie Wirginia.

Jeśli odciski naszego faceta znajdowały się w zawierającym pięćdziesiąt milionów osób systemie IAFIS IAFIS – Integrated Automated Fingerprint Identification System – Zintegrowany System Automatycznej Identyfikacji Odcisków Palców, największa baza danych biometrycznych na świecie., w ciągu dwóch godzin będziemy o tym wiedzieć. Mieliśmy najlepszy do tej pory trop. Byłem zachwycony.

– Musimy przekazać to również do laboratorium w DC, gdzie przeprowadzą synchrononową mikrospektroskopię w podczerwieni – powiedziała Emily, wkładając tekturkę do specjalnej koperty.

– Synchro podczerwień co? – zapytałem.

– To zupełna nowość. Widzisz, w każdym odcisku znajdują się ślady potu.

Technicy potrafią teraz zbadać go i rozróżnić znajdujące się w nim związki chemiczne. Można sprawdzić, na przykład, czy podejrzany zażywa narkotyki albo znaleźć hormony wskazujące na płeć podejrzanego. Jeśli odcisków nie ma w systemie identyfikacyjnym, musimy zdobyć jak najwięcej informacji. Chcesz powiedzieć, że nigdy o tym nie słyszałeś?

– Oczywiście, że słyszałem. Żartujesz sobie? – skłamałem. – Tylko cię sprawdzałem.

Rozdział 63

Kiedy opuszczaliśmy dom Haasów, Mary Beth siedziała z policyjnym rysownikiem. Wtedy zauważyłem, że tłum zebrany pod ich domem się zmienił. Nastolatki wyglądały na bardziej wściekłe, bez serca, niemal jak hieny. No tak, pomyślałem, gdy zauważyłem furgonetkę kanału z wiadomościami. I wszystko jasne.

Szukałem miejsca, którym moglibyśmy się przecisnąć między zebranymi reporterami, gdy nagle przystanąłem na najniższym stopniu schodów. Zamiast uciekać, przywołałem tłum gestem. Wpadł mi do głowy pewien pomysł.

– Mam dla państwa oświadczenie – oznajmiłem.

Odchrząknąłem, gdy światła i mikrofony zostały skierowane w moją stronę. Zerkając na mnie zza wielkich kamer, zebrani dziennikarze wyglądali jak armia cyborgów, która napadła na Ziemię. Mój problem z nimi polegał na tym, że często traktowali mnie, jakbym sam był częścią armii cyborgów z kosmosu.

– Dziś została porwana kolejna młoda osoba, ale tym razem porywacz zdecydował się ją wypuścić – zacząłem. – Przede wszystkim, jeśli osoba odpowiedzialna za porwanie mnie słyszy, chcę jej podziękować za litość. Chciałbym również poprosić ją o skontaktowanie się ze mną, abyśmy raz na zawsze mogli rozwiązać tę sprawę. Jestem dostępny o każdej porze dnia i nocy. Masz mój numer. Proszę, skontaktuj się ze mną.

– Czy macie już jakieś tropy? – zapytał jeden z cyborgów.

– Do diabła – powiedziałem rozzłoszczony. – Nie widzicie, że prowadzimy śledztwo? To wszystko. Zejdźcie mi z drogi. Mówię poważnie!

Parker milczała, gdy wsiedliśmy do samochodu. Nagle pstryknęła palcami.

– Ach, już rozumiem – stwierdziła. – Chciałeś odegrać wkurzonego gliniarza w wiadomościach o jedenastej. Chcesz, żeby nasz porywacz myślał, że nadal nic nie mamy.

– No właśnie – przytaknąłem i puściłem do niej oko. – Po co ma wiedzieć, że

jesteśmy coraz bliżej złapania go? Zacznie uciekać, a ja chcę, żeby myślał, że ma przewagę. A potem bum! Kiedy dostaniemy informację o odciskach, dopadniemy go.

– Świetnie, Mike – powiedziała Emily. – Bardzo mi się to podoba.

– Staram się tylko dotrzymać ci kroku, agentko specjalna.

Spojrzałem na zegarek.

– Modłę się tylko, żeby nie załatwił jeszcze dzieciaka Hastingsa. Musimy jak najszybciej dowiedzieć się czegoś w sprawie odcisków. A jeśli tyle zmartwień nam nie starczy, za kilka godzin będziemy mieć środę popielcową. Kto wie, co zaplanował ten czubek.

– Może postanowił, że nam odpuści, i ruszył do Nowego Orleanu, żeby załapać się na końcówkę Mardi Gras – powiedziała Emily.

– Brzmi zachęcająco – stwierdziłem. – Ty i ja też powinniśmy pojechać. Chętnie wybrałbym się na samochodową wyprawę.

– Nie tak prędko, Mike. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, za półtorej godziny będziemy znać tożsamość porywacza. Kiedy przyskrzynimy tego wariata, postawię ci pierwszą kolejkę.

Rozdział 64

Gdy Francis Mooney wszedł na Park Avenue, limuzyny i eleganckie samochody ciągnęły się przed Waldorf Astoria. Musiał iść ulicą, żeby uniknąć tłumu paparazzich tłoczących się za barierką na chodniku. Oślepiło go trzydzieści lamp błyskowych, kiedy otworzyły się drzwi jednej z limuzyn. Wyłonił się niedbale wyglądający mężczyzna w smokingu i zadowolony mrużył oczy w białym, migającym świetle. Może był aktorem?

Amerykańskie Stowarzyszenie na rzecz Uchodźców ma tu dziś swoją galę, przypomniał sobie Francis. Cieszył się, że pojawiło się aż tyle ludzi. Mooney był w Komitecie organizacyjnym dziesięć lat temu i wiedział, że to wspaniałe stowarzyszenie, w przeciwieństwie do wielu organizacji charytatywnych, w których ogromne pensje prezesów i rozdmuchane budżety na imprezy pochłaniały większość dotacji.

Idąc dalej Park Avenue, rozmyślał o Mary Beth Haas. Wściekł się na siebie po raz tysięczny za to, że nie miał na sobie maski. Był przekonany, że obleje. Rozleniwił się i pokazał swoją twarz. No cóż. Nie mógł się teraz o to martwić. Miał inne sprawy.

Trzy minuty później skręcił szybko w Pięćdziesiątą Drugą i przeszedł pod daszkiem legendarnej restauracji w hotelu Four Seasons po północnej stronie ulicy. Wchodząc po schodach, uśmiechnął się do olśniewającej piękności w zaprzeczającej grawitacji sukni bez pleców. Ciemnowłosa kobieta rozmawiała po niemiecku przez komórkę. Więcej szykownych kobiet i szczupłych mężczyzn w garniturach czekało na swoje stoliki w środku, pod wiszącym na ścianie obrazem Picassa. Nabrał powietrza gęstego od drogich perfum. Cydr, gardenia, piżmo, pomyślał i westchnął. Właśnie tak pachną pieniądze.

Elegancki starszy maitre d'hotel o platynowych włosach, Christophe, szybko ruszył w jego kierunku z frontowego baru.

– Pan Mooney – powiedział, unosząc dłonie. – Wreszcie pan jest. Pani Clautier

zaczynała się martwić. Czy mogę wziąć pana płaszcz?

– Bardzo dziękuję, Cristophe – odparł Mooney, pozwalając mu zdjąć z siebie płaszcz z wielbłądziej wełny, podczas gdy reszta eleganckiego tłumu udawała, że nie dostrzega tego królewskiego traktowania.

– Czy długo czeka?

– Niezbyt długo, panie Mooney. Czy mam również wziąć pana aktówkę?

Francis podniósł swoją teczkę, w której znajdowała się dziewięćmilimetrowa beretta, udając, że się zastanawia.

– Wiesz co, Cristophe? Wezmę ją ze sobą.

Przystanął na chwilę i ruszył za kelnerem do sali Pool Room. Rozejrzył się po pomieszczeniu z białego marmuru z bogatymi obiciami na ścianach, ważnymi i pięknymi ludźmi siedzącymi przy nieskazitelnych, błyszczących stołach i jedzących z wypracowaną nonszalancją. Niemal wyczuwał władzę tętniącą pod stopami. Nawet on nie mógł zaprzeczyć, że było to porywające uczucie.

Reszta członków stowarzyszenia New York Restore już była na miejscu. Siedzieli tuż obok małego basenu przy podwójnym stole, który rezerwowali zawsze na swoje cokwartalne spotkanie przy kolacji.

– Czy to nie nasz szalony irlandzki przewodniczący? – powiedziała pani Clautier. – Odkąd cię znam, Francis, to chyba pierwszy raz, kiedy przyszedłeś spóźniony.

– W biurze mamy bardzo intensywny czas – odrzekł Francis, uśmiechając się szeroko, i pocałował ją w dłoń ozdobioną diamentami od Cartiera. – Najważniejsze, że już jestem i mogę pławić się w blasku twojej urody.

– Jesteś czarujący – stwierdziła pani Clautier i dotknęła jego policzka. – Francis, wiele razy już ci to mówiłam, ale urodziłeś się kilka pokoleń za późno.

– A ty kilka pokoleń za wcześnie, moja droga – odpowiedział Francis. Odmówił wzięcia menu, które przyniósł mu kelner w smokingu, i zamówił solę.

– Spotkałam się dziś na lunchu z Caroline i powiedziała mi, że Sloan-Kettering szykuje zaprojektowane przez celebrytów pudełka na lunch na swój wieczór – powiedziała zebranym pani Clautier. – Czy to nie świetne? Brooke wpadła na ten pomysł.

Dla pani Clautier, gwiazdy nowojorskiej śmietanki towarzyskiej, wysilenie się i wypowiedzenie nazwisk Kennedy i Shields byłoby wręcz upokarzające. Francis o tym wiedział.

Pani Clautier była bezwstydną snobką. Tak naprawdę gównem obchodziło go

stowarzyszenie New York Restore z jego nudną misją utrzymania i upiększania manhattańskich placów zabaw i przestrzeni publicznych. Jedynym powodem, dla którego zdecydował się mu przewodzić, było zrobienie przyjemności hojnej pani Clautier. Przez ostatnie lata stał się jej nieoficjalnym doradcą w sprawach filantropii i mógł przekierowywać miliony z bezgranicznej fortuny, której na ropy dorobił się jej mąż, na inne, znacznie ważniejsze cele.

W zasadzie po posiłku planował wycisnąć z niej sumę wyższą niż kiedykolwiek wcześniej. Dokumenty, gotowe do podpisania, znajdowały się w jego teczce pod pistoletem.

– Szampana, panie Mooney? – szepnął do niego jak zawsze dyskretny kelner, gdy pani Clautier pograżyła się w opowieściach o kolejnych kłopotach, w jakie wpakował się jej pekińczyk, Charlie.

– Glenlivet. Podwójna – szepnął Mooney.

Część czwarta
Kwestia dobroczynności

Rozdział 65

Budząc się nagle w ciemności, Francis Mooney natychmiast pożałował trzeciej szkockiej, którą zamówił wieczór wcześniej. Alkohol zawsze zakłócał mu sen. Próbował znów zasnąć, gdy włączył się radiobudzik i rozbrzmiała stacja 1010 WINS.

– Dzień dobry – odezwał się prowadzący poranny program. – Jest piąta trzydzieści. Ze względu na środę popielcową zostaje zawieszony system alternatywnego parkowania ulicznego.

Na wspomnienie tego dnia Francis poczuł rozpacz, która podeszła mu do gardła jak wymioty.

Już nadszedł, pomyślał, gdy zaczął łkać w niekontrolowany sposób. Nie! Za wcześnie. Nie mam na to siły. Jak mam stawić temu czoło?

Po policzkach płynęły mu łzy. Przez pełne dziesięć minut oddychał powoli, żeby odzyskać panowanie nad sobą i usiąść w łóżku. Zacisnął pięści i wbił paznokcie w wewnętrzną stronę dłoni tak mocno, jak tylko mógł. Ból był ogromny, ale spełnił swoje zadanie. Francis wytarł oczy, wyłączył radio i spuścił nogi z łóżka.

Zrobił sobie kawę i niósł ją przez nieskazitelne pokoje swego domu przy Dwudziestej Piątej Ulicy w Chelsea. Po wejściu krętymi schodami na drugie piętro znalazł się w swoim ulubionym pomieszczeniu, salonie na dachu.

Na zewnątrz zimne powietrze było przyjemne, gdy stał gołymi stopami na papie. Przypomniawszy sobie, jak w dzieciństwie bawił się w berka na dachu kamienicy, w której mieszkał w Inwood. Czy to dlatego tak bardzo lubił tu teraz wchodzić?

Z niemal pustej ulicy poniżej dobiegł go odgłos pędzącej taksówki. Uśmiechnął się, patrząc na północ, na zielony budynek McGraw-Hill, który górował nad okolicą niczym jakiś wycieczkowy statek w stylu art deco. Uśmiech zniknął z jego twarzy, kiedy odwrócił się w kierunku słońca ledwo rozjaśniającego ciemny, wschodni horyzont za Empire State Building.

Dzień nadchodził. Nie dało się go powstrzymać. Kolejna łza spłynęła mu po

policzku. Wytarł ją. Wreszcie uspokoił się głębokim oddechem i podniósł kubek z kawą w kierunku wznoszącego się słońca, jakby wznosił toast.

Gdy pół godziny później zamykał na klucz frontowe drzwi, na Dwudziestej Piątej Ulicy pojawiło się słabe, szare światło. Zawsze dobrze się ubierał, ale tego ranka postarał się jak nigdy. Pogłaskał gładką klapę swojego najlepszego garnituru: lekkiego, szarego, prążkowanego z pracowni krawieckiej Henry'ego Poole'a, na który wydał sporo pieniędzy, gdy sześć lat wcześniej był w Londynie w podróży służbowej. Czarne buty z cielęcej skóry marki John Lobb za trzy tysiące dwieście dolarów idealnie dopełniały jego stroju. Jediną rzeczą, która nie bardzo pasowała, była duża teczka, którą miał w ręce. Czarna i kanciasta z okuciami ze stali nierdzewnej.

Zapiął spinki do mankietów włoskiej popelinowej koszuli Turnbull & Asser, ostrożnie podniósł ciężką teczkę i wyszedł na ulicę, aby zawołać taksówkę.

Kościół Najświętszego Zbawiciela, przed którym kazał się zatrzymać taksówkarzowi dziesięć minut później, znajdował się przy Trzeciej Ulicy w East Village. Wybrał go na swoją parafię, ponieważ był to najbardziej tolerancyjny kościół, opiekujący się gejami i nosicielami wirusa HIV.

Przy miejscu składania darów wotywnych w maleńkiej kaplicy zapalił świece i zmówił modlitwę za nastolatków, których zabił. Jak w przypadku męczenników, ich dusze pójną prosto do nieba, wiedział o tym. Ich niezbędne poświęcenie na pewno zostało zauważone przez Boga. Francis głęboko w to wierzył. Jak mógłby tak postępować, nie mając wiary?

Podniósł głowę na dźwięk organów. Zaczynała się msza o siódmej. Szybko zapalił ostatnią świecę.

– Żebym dziś nie zwątpił w swoją wiarę, Panie – szepnął w ciemności pachnącej kadzidłami.

Usiadł w ostatniej ławce. Kiedy nadszedł czas, ustawił się w kolejce za kilkunastoma wiernymi i posypano mu głowę popiołem. Powstał z palm takich jak te, które powitały Pana w ostatnim tygodniu jego życia. Francis uspokoił ten fakt. Kiedy ksiądz przesuwał kciukiem po jego czole, niemal krzyknął. Potem usłyszał święte, łacińskie słowa.

– *Memento homo, quia pulvis es, et in pulverem reverteris.*

Pamiętaj, że z prochu powstałeś i w proch się obrócisz.

– Jestem prochem – powiedział do siebie Francis, gdy się odwrócił i zaczął iść do wyjścia. Czuł się niesamowicie, pozbawiony skaz, wypełniony boskim

światłem. Podniósł ciężką teczkę, którą zostawił przy ławce. Wyszedł z kościoła lekkim krokiem w nowy dzień.

Rozdział 66

Idąc następnego ranka do kościoła z dziećmi, uśmiechałem się mimo niewyspania. Przedzieraliśmy się szerokim chodnikiem przez manhattański ruch pieszy, a Chrissy i Shawna zabawiały siebie i resztę, śpiewając każdą piosenkę, którą znały z reklam Nationwide i firm doradztwa finansowego.

W swoich kraciastych szkolnych mundurkach, maszerując w dwóch niemal równych rzędach, moja gromadka chłopaków i dziewcząt wyglądała jak żywcem wyjęta z pierwszej strony *Madeline*¹⁵. Może nie byłem taki srogi, jak panna Clavel, ale nosiłem ze sobą pistolet.

Ciepło i beztroska mojej bandy, kiedy szliśmy ulicami, były tak zaraźliwe, że niemal zapomniałem o koszarnej sprawie, którą się zajmowałem. Do czasu, oczywiście, gdy znaleźliśmy się przed Holy Name i nie zobaczyłem tłumu ludzi z poważnymi minami, którzy wychodzili z porannej mszy.

Wpatrywałem się w popiół na ich czołach. Skręciło mi żołądek, gdy przed oczami stanęły mi twarze dwójki martwych nastolatków. Niemal widziałem plamy krwi z ich ran na schodach kościoła.

Westchnąłem rozeźlony. Niedobrze robiło mi się na myśl, że coś tak świętego nabrało teraz spalonego znaczenia. Prochy miały symbolizować poświęcenie i pokorę w obliczu cierpienia Chrystusa. Nie miały stać się elementem raportu z autopsji, o którym ciągle myślałem.

Wierni wydawali się trochę skrupowani. Wczoraj wieczorem Seamus powiedział mi, że archidiecezja zastanawiała się nad posypywaniem wiernych popiołem ze względu na toczące się śledztwo. Cieszyłem się, że mądre głowy w katedrze Świętego Patryka przeważyły. Straszne byłoby, gdyby jedna osoba miała taki wpływ na całą katolicką społeczność Nowego Jorku.

Gdy weszliśmy do kościoła, Eddie i Ricky ruszyli do przodu, żeby włożyć komże ministrantów. Julia zaprowadziła resztę dzieci do jednej z ławek z tyłu kościoła, a ja poszedłem do miejsca składania wotów.

Wrzuciłem piątkę do puszki na ofiarę i zapaliłem świece. Uklęknąłem przed ich rubinowym blaskiem i zmówiłem modlitwę za zmarłych, a przede wszystkim za ich rodziny. Doskonale zdawałem sobie sprawę, jak strasznym cierpieniem była śmierć dla mocno związanej ze sobą rodziny. Mogłem sobie tylko wyobrazić, jak zrozpaczeni musieli być rodzice, którzy stracili swoje jedyne dziecko.

Kiedy się żegnałem, poczułem stukanie w ramię. Podszedł do mnie Seamus.

– Dobry człowieku. Szukałem właśnie kogoś takiego jak ty – szepnął. – Potrzebuję ochotnika. Pierwsze czytanie czy złożenie darów? Twój wybór.

– Złożenie darów – powiedziałem.

– W zasadzie to będziesz musiał zrobić jedno i drugie. Kłamałem, mówiąc, że masz wybór. Zaczynamy nasze przedstawienie.

Msza wydawała się poważniejsza i smutniejsza niż zazwyczaj. Nieważne, jak bardzo się starałem, nie potrafiłem przestać myśleć o tym mordercy nawet wtedy, gdy Seamus wypowiedział łacińskie zdanie nieodłączne w tym poważnym dniu.

– *Memento homo, qui pulvis es, et in pulverem reverteris* – mówił, kreśląc na czole wiernych znak krzyża.

Z prochu powstaliśmy i w proch się obrócimy, pomyślałem. To samo napisane było na tablicy obok zwłok pierwszej ofiary.

Proszę, Boże, pomóż mi powstrzymać tego chorego osobnika, który jest odpowiedzialny za te śmierci, modliłem się w powrotnej drodze do ławy z krzyżem na czole.

Gdy uklęknąłem, zdałem sobie sprawę, że zostałem oznaczony w taki sam sposób jak te dzieciaki, które zostały zamordowane. Czoło mnie paliło. Niemal wyczuwałem obecność Jacoba Dunninga i Chelsea Skinner. Zamknąłem oczy i widziałem twarz Dana Hastingsa, którego los nadal nie był znany.

Dobry Boże, modliłem się. Nie mogę ich zawieść.

Rozdział 67

Francis X. Mooney mijał Flat Iron Building, gdy wysypał sobie kilka tabletek dekstroamfetaminy na dłoń. Kiedy przeszedł przez ulicę i znalazł się w Madison Square Park, zmienił zdanie i wrzucił je do kosza na śmieci. Dziś nie potrzebował speeda.

Czuł, jakby jego krew śpiewała. W zasadzie wszystko, czego doświadczały jego pobudzone zmysły, zdawało mu się znaczące. Ozdobna architektura fasady budynku Beaux Arts w dolnym Broadwayu, zapach tłuszczu i cukru dochodzący z wózków z pączkami, pokryty brudem chodnik pod jego stopami. Żadna z tych rzeczy nie była wcześniej tak wyraźna.

Teczka stawała się coraz cięższa. Co drugą przecznicę musiał zmieniać rękę, w której ją trzymał. Wysilek sprawił, że oblewał go pot i koszula przykleiła mu się do pleców. Nadal jednak nie chciał zatrzymywać taksówki. Jego ostatni spacer, ostatnia pielgrzymka, musiał odbyć się pieszo.

Zawsze kochał to miasto. Przemierzanie jego nieskończenie fascynujących ulic było jedną z jego największych i najprostszych przyjemności. Francuzi ukuli nawet termin dla takich miejskich wędrowców: *flaneurs*. To ludzie, którzy czerpią przyjemność z obserwowania miejskich scen całkowicie obiektywnie i zachwycają się ich względami estetycznymi.

W tym właśnie jednak tkwił problem, pomyślał. O wiele za długo był zbyt obiektywny.

Na rogu Dwudziestej Piątej i Piątej nagle się zatrzymał. Kobieta z białym workiem na śmieci podeszła do bocznej uliczki przy zniszczonym budynku.

– Przepraszam – krzyknął Francis i podbiegł w jej kierunku. – Proszę pani! Proszę pani!

Zatrzymała się.

– Jak pani może! – powiedział, wskazując na butelkę po dietetycznej coca-coli, widoczną w worku, który trzymała. – To się nadaje do recyklingu. Wyrzuca pani

materiał nadający się do przetworzenia!

– A pan, co? Policja śmietnikowa? – zapytała. Pokazała mu środkowy palec. – Zajmij się swoimi sprawami, żalosny idioto.

Francis przez chwilę zastanawiał się, czyjej nie zastrzelić. Jego beretta, zabezpieczona i załadowana, czekała w teczce. Chciałby zetrzeć samozadowolenie z jej brzydkiej twarzy, chciałby wepchnąć ją do cuchnącej uliczki, w której było jej miejsce. Nagle zdał sobie sprawę z obecności mijających ich pieszych i wziął się w garść. Nie mógł poddawać się emocjom. Miał ważniejsze sprawy do załatwienia.

Nie mógł się jednak powstrzymać, kiedy przystanął po raz kolejny, na Trzydziestej Trzeciej, jedną przecznicę na południe od Empire State Building. Postawił teczkę na ziemi przed furgonetką firmy telekomunikacyjnej, zaparkowaną na rogu z włączonym silnikiem.

– Przepraszam! – powiedział do prostaka jedzącego śniadanie na miejscu kierowcy. Gwałtownie zastukał swoim pierścieniem uniwersyteckim z Columbii w szybę tuż przy twarzy tego idioty. – Powiedziałem przepraszam!

Facet otworzył z impetem drzwi i wyskoczył na chodnik. Miał ogoloną na łyso głowę i ramiona jak futbolista.

– Spieprzaj! Po co walisz mi w okno, stary? – zawarczał, plując okruchami pączka.

– Po cholere! masz włączony silnik, stary? – odparował Francis. – Naruszasz kodeks postępowania administracyjnego miasta Nowy Jork, sekcja dwadzieścia cztery łamane przez sto sześćdziesiąt trzy, mówiący o tym, że jedynie upoważniony pojazd służb ratunkowych może być zaparkowany z włączonym silnikiem dłużej niż trzy minuty. Widzisz tę truciznę, która wydobywa się z rury wydechowej? Zawiera benzen, formaldehyd, aldehyd octowy, nie wspominając nawet o cząstkach stałych, które mogą odkładać się w płucach. Zabijają ludzi i nagrzewają środowisko. A teraz wyłącz go.

Mężczyzna z firmy telekomunikacyjnej stał z szeroko otwartymi oczami. Parsknął nagle, wyciągając swoją wielką dłoń. Chwycił Francisza za krawat, obrócił go o trzysta sześćdziesiąt stopni i puścił. Francis stracił równowagę i wpadł na automat z gazetami, który stał na rogu. Zdarł sobie skórę z brody i dłoni, gdy poleciał na asfalt Piątej Alei. Rozległy się klaksony, a reklamujące warsztaty broszurki Stowarzyszenia Pisarzy Gotham przefrunęły obok jego twarzy.

Kiedy się odwrócił, Francis przyjął porządną porcję cząstek stałych, które buchnęły z rury wydechowej odjeżdżającej furgonetki. Zakaszał, podniósł się

i usiadł na krawężniku.

W krwawiące dłonie powbijały mu się małe kamyczki, a na rękawie swojej szytej na miarę marynarki miał czarną, moką plamę. Spojrzał w dół na rozdarte na kolanie spodnie z Savile Row. Przez chwilę znów poczuł się jak na szkolnym boisku, popychany i zaczepiany przez dupków, którzy byli więksi i starsi. Podobnie jak wtedy, zaczynała w nim buzować frustracja powodowana własną bezsilnością.

Wtedy jednak przypomniał sobie złość na twarzy mężczyzny z furgonetki i nagle zaczął się śmiać. Musiał skończyć z tym nonsensem. I tak mu się upiekło, zważywszy na to, jak wielki był tamten facet. Miał szczęście, że uszedł z życiem.

Poza tym, przecież nie jest już bezsilny, prawda? – pomyślał, gdy odnalazł swoją teczkę. Pogłaskał ją z miłością, podniósł i kontynuował pielgrzymkę na północ.

Gdy przyspieszył, do głowy przyszedł mu fragment wiersza Roberta Frosta, który czytał w szkole.

Zarecytował sam sobie: *Lecz woła trzeźwy świat nadziei, i wiele mil od snu mnie dzieli*¹⁶.

Rozdział 68

– Tatusiu, czy mój popiół dobrze wygląda? Powiedziałam dziadkowi, że dobrze się spisał – powiedziała moja pięcioletnia córka Chrissy, gdy usiedliśmy przy oknie w zatłoczonym Starbucksie na rogu Dziewięćdziesiątej Trzeciej i Broadway.

Właśnie odprowadziliśmy jej rodzeństwo do szkoły po kościele. Chrissy, która teraz była w przedszkolu, na szczęście nie musiała tam iść aż do południa. W naszej wielkiej rodzinie bardzo rzadko zdarzała się okazja, aby spędzić z kimś czas sam na sam. Nawet seria zabójstw nie powstrzymałaby mnie przed naszym cośrodowym spotkaniem w Starbucksie.

– Nie wiem, pokaż – powiedziałem, sięgając przez stół i unosząc jej malutką brodę, by lepiej się przyjrzeć buzi. Nie mogłem się powstrzymać przed pocałowaniem elfiego noska. – Wygląda wspaniale, Chrissy. Dziadek sobie poradził.

I świetnie pasuje do wąsów z gorącej czekolady.

Kiedy wróciła do popijania swojego napoju, spojrzałem na długą kolejkę przy lodówce z ciastami. Nianie i niemowlaki, wyglądający na zmęczonych budowlańcy oraz mężczyźni i kobiety w biurowych strojach, wszyscy czekali na swoją poranną dawkę najpopularniejszego towaru eksportowego z Seattle. Może jakieś dziesięć procent z nich, wliczając obsługę kawiarni, miało na czole krzyż z popiołu.

Przeszły mnie dreszcze na myśl, że może dzisiejszym zamiarem porywacza było strzelanie do ludzi, którzy mieli ślad z popiołu. Wiadomo było przecież, że coś na pewno dziś zrobi. Wszystko wskazywało na to, że dziś był ten dzień. Pozostawało tylko pytanie: gdzie i jak.

Przetarłem oczy, podniosłem kubek z kawą i pociągnąłem porządny łyk. Przez ostatnie kilka bezsennych dób poziom kofeiny w mojej krwi osiągnął rekordową wysokość, ale nie mogłem nic z tym zrobić. Po wczorajszym spotkaniu zespołu dochodzeniowego spędziłem większość nocy, szukając w internecie wszelkich informacji o środzie popielcowej.

To jeden z najbardziej podniosłych dni w katolickim roku liturgicznym. Dzień ten przeznaczony jest na kontemplację własnych przewinień.

Ale na czyje przewinienia próbował zwrócić uwagę ten morderca? Martwych dzieciaków? Społeczeństwa? Swoje własne?

Zobaczyłem swoje ponure odbicie w szybie.

Cóż, ja tego ranka zdecydowanie rozmyślałem o swoich wpadkach, zdałem sobie z nich sprawę. Robiłem sobie wymówki, że jeszcze nie rozwiązałem tej koszmarnej sprawy.

Chrissy bawiła się w „akuku” z maluchem siedzącym w wózku przy sąsiednim stoliku, więc sprawdziłem po raz milionowy komórkę, żeby przekonać się, że nie przegapiłem żadnej wiadomości. Skrzywiłem się, gdy znów zobaczyłem tylko swój wyświetlacz z logo drużyny jankesów. Emily starała się, jak mogła, aby przyspieszyć badania nad odciskami palców, ale nadal nie mieliśmy na ten temat żadnych wieści.

Kręciłem swoim telefonem na blacie stołu w szachownicę i patrzyłem przez szybę na Broadway. Czuję, jak mija czas, a nic nie mogłem zrobić.

Gdzie i jak? – zastanawiałem się. Gdzie i jak?

Rozdział 69

Mój zaprzątnięty sprawą umysł nadal nie był do końca skupiony na tym, co działo się wokół, gdy wszedłem z Chrissy do mieszkania dziesięć minut później. W przeciwnym razie na pewno sprawdziłbym, kto dzwoni, zanim otworzyłem klapkę swojej komórki.

– Co jest grane? – krzyknąłem.

– Grane, gdzie? – zapytał mój dziadek Seamus. – A w zasadzie, kogo to obchodzi? Czy już jej powiedziałaś?

– Powiedziałem co i komu?

– Mary Catherine, idioto! Widzisz? Wiedziałem, że zapomnisz. A ona ostatnio jest taka rozdrażniona. Czy kojarzysz taką piosenkę *Sto lat*, detektywie?

– Ja pier...niczę – powiedziałem. – Nie. Zapomniałem. Idiota jest na miejscu! – pomyślałem. Nieźle to schrzaniłem. Mogłem jej przynajmniej przynieść babeczkę albo coś podobnego. Jak Mary Catherine zareaguje? – zastanawiałem się. Musiałem zająć się tą sprawą, i to natychmiast. Usłyszałem bulgoczący czajnik w kuchni. Może jeszcze miałem jakieś szanse.

– Zajmę się tym, ojczy – powiedziałem i rozłączyłem się.

Mary zdejmowała kubek z półki tuż przy drzwiach kuchni.

– Mary, tu jesteś. – Zaskoczyłem ją uściskiem. – Wszystkiego najlepszego! – powiedziałem tak wesoło, jak tylko potrafiłem, i chciałem pocałować ją w policzek.

Ale okazało się, że to na mnie czekała niespodzianka.

Mary Catherine odwróciła głowę i nasze usta się spotkały. Początkowo odrzuciło mnie, jakby ktoś potraktował mnie laserem, ale zanim się zorientowałem, moja dłoń znalazła jej kark i, no cóż, „migdalenie” byłoby najbardziej trafnym określeniem tego, co robiliśmy.

Zapomniany kubek Mary ześlizgnął się z blatu i roztrzaskał o podłogę.

Chyba można by to nazwać intensywnym migdaleniem.

– Mary Catherine! – sekundę później odezwała się Chrissy zza kuchennych

drzwi.

Mary niemal złamała mi nos, gdy się ode mnie gwałtownie oderwała. Jej twarz była jakieś dwadzieścia tonów bardziej czerwona niż jej blond włosy o rudawym odcieniu. Moje policzki też płonęły. Nie mogłem zamknąć ust.

– Niech cię diabli, Mike – powiedziała, zanim wybiegła z kuchni. Czy płakała? Dlaczego płakała? Ja nawet nie mogłem złapać tchu. Sekundę później usłyszałem z korytarza trzask drzwi do łazienki.

Stałem tak nadal, mrugając i nie mogąc zebrać myśli, kiedy weszła Chrissy.

– Gdzie jest MC? – zapytała.

– Nie jestem pewien. Zbiłem kubek, Chrissy. Podasz mi zmiotkę, proszę?

Rozdział 70

Kłęczałem na podłodze i skołowany zamiatałem rozbite szkło, gdy zabręczała moja komórka.

– Hej, Mike – odezwała się agentka Parker. – Schodź na dół. Mam dla ciebie wieści. Jestem pod twoim domem.

– Dzięki Bogu – powiedziałem, wyrzucając ostatnie zamiecione okruchy do kubła na śmieci. – To znaczy, już biegnę!

– Idę do pracy, pa, Mary – krzyknąłem tylko, gdy mijałem nadal zamknięte drzwi łazienki.

Czy postąpiłem właściwie? Nie byłem pewny. Nigdy wcześniej nie całowałem się z opiekunką moich dzieci.

Stałem błyszcząc do ust z brody, patrząc w windzie na swoje lustrzane odbicie. Nadal czując smak pocałunku, zastanawiałem się, co się właśnie wydarzyło i jak się z tym czułem.

Tak jakbym potrzebował w tej chwili jeszcze więcej wrażeń.

– Niech cię diabli, Mike.

Rozdział 71

Wsiadłem do zaparkowanego „na drugiego” forda Emily. Miała na sobie nową białą jedwabną bluzkę i gładką brązową garsonkę. Zdałem sobie sprawę, że przez przedłużające się śledztwo musiała kupić sobie ubrania.

Czy mi się wydawało, czy bluzka pokazywała jej ładny dekolt? Przetarłem oczy. Co się ze mną dzieje, do cholery?

– Dobrze się czujesz, Mike?

– Nigdy nie czułem się lepiej – powiedziałem z uśmiechem. – Co się dzieje?

Emily wręczyła mi teczkę.

– Wreszcie dostaliśmy raport toksykologiczny popiołu z czoła pierwszej ofiary, Jacoba Dunninga. Czy słyszałeś o fluorescencyjnej spektroskopii rentgenowskiej?

– Tak, robili mi to sześć miesięcy temu – odparłem, kiwając głową. – Doktor powiedział, że jestem czysty.

– Posłuchaj uważnie, mądralo. – Emily zignorowała mój gorzki żart. – Mniej więcej chodzi o to, że rozmaite cząsteczki różnie odbijają promienie rentgenowskie. Przebadali w specjalnym urządzeniu popiół i okazało się, że większość to zwykły tytoń. Ale, co ciekawe, w laboratorium odkryli również ślady innych interesujących substancji, które znajdowały się w pocie zabójcy.

– Na przykład jakie? – zapytałem.

Emily podniosła notatki.

– Amfetaminę i lek, który nazywa się... iressa. Stosowany jest w chemioterapii raka płuc.

Otarłem twarz.

– Świetna robota – powiedziałem. – Każę Schultzowi skontaktować się z centrum onkologicznym Sloan-Kettering i innymi oddziałami, żeby sprawdzili swoich pacjentów. Cała sprawa wydaje się coraz jaśniejsza, jeśli chodzi o motywy zbrodni. Jeśli ten gość jest śmiertelnie chory, może stworzył sobie jakąś listę osób, które mu zawiniły. Może w ten sposób chce odejść z hukiem.

– To zabawne, że wspomniałeś o huku – powiedziała Emily, wskazując palcem słowo na wydruku faksu, który trzymała w ręce. – Te prochy to nie najgorsze. Znaleziono jeszcze ślad substancji, która nazywa się pentaerytryt i stosuje się ją do produkcji plastycznych materiałów wybuchowych.

Rozdział 72

Porwania, zabójstwa dzieci, a teraz plastyczne materiały wybuchowe? Ta koszmarna sprawa robiła się coraz gorsza. Staralem się otrząsnąć, kiedy Emily odebrała swój zakodowany telefon komórkowy.

– Zaczekaj, Tom – powiedziała do słuchawki. – Włączę cię na głośnomówiący.

– Dostaliśmy informacje na temat odcisków palców, Em – chwilę później odezwał się szef techników laboratoryjnych, Tom Warriner. – Nie uwierzysz. Znaleźliśmy je w systemie, ale są zakodowane w COINTELPRO.

– Cointelpro? – powtórzyłem.

– Program kontrwywiadowczy FBI – wyjaśniła Emily.

– Tę sekcję prowadziło biuro w Nowym Jorku – kontynuował Warriner. – Oddział do spraw Wewnętrznych Zagrożeń Terrorystycznych istniał w latach sześćdziesiątych. Kryptonim pasujący do tych odcisków to Shadowbox.

– W wywiadzie, jeśli tożsamość jakiejś osoby jest tajna, nadaje jej się kryptonim – wyjaśniła Emily, zerkając na mnie. – Podobnie jak w CIA, agenci FBI też uwielbiają kryptonimy i kody. James Bond może się schować.

Mówiła teraz do telefonu.

– Co więc o tym myślisz, Tom? Nasz facet, ten Shadowbox, był krajowym informatorem na temat wewnętrznej grupy terrorystycznej?

Terroryzm? Ja nadal starałem się ogarnąć umysłem temat materiałów wybuchowych.

– Prawdopodobnie – powiedział szef laboratorium FBI.

– Jak więc możemy dopasować nazwisko do kryptonimu? – zapytałem.

– Dwa razy próbowałem dostać się do tych starych baz danych, ale brakuje niektórych danych COINTELPRO – odparł Warriner.

Emily parsknęła.

– No pewnie. Wkraczasz na niebezpieczne terytorium. Co więc, do cholery, możemy zrobić? Jak możemy to obejść?

– Wypytywałem tu i tam i najlepsza rada, jaką mogę wam dać, to jechać do Johna Browninga – stwierdził Warriner. – Jest byłym agentem, który kierował tą grupą od sześćdziesiątego ósmego do siedemdziesiątego czwartego. Próbowałem się do niego dodzwonić, ale w jego domu w Yonkers nikt nie odbiera. Pracowałem z nim przy kilku sprawach, kiedy byłem złotodziobem. Jest sarkastycznym draniem, ale umysł ma ostry jak brzytwa. Jeśli on nie będzie w stanie wam powiedzieć, kim był Shadowbox, to już nikt nie pomoże.

Rozdział 73

Silnik V8 Crown Vic zawył, gdy pędziliśmy zygzakiem na północ zatłoczoną trasą Saw Mill River Parkway. Danica Patrick¹⁷ nie była w niczym lepsza od Emily Parker, myślałem ściskając zbielełą pięścią klamkę w samochodzie.

Browning mieszkał w ślepej uliczce w pobliżu pola golfowego Dunwoodie. Na podjeździe stała furgonetka z logo U-Haul. Proszę, żeby to nie znaczyło, że się wyprowadził, modliłem się, gdy gwałtownie zatrzymaliśmy się tuż za nią.

Żyłasty, gładko ogolony sześćdziesięcio-, a może siedemdziesięciokilkuletni mężczyzna w bluzie St. John's University wyszedł z garażu, niosąc pudło z modelami pociągów. Zauważyłem, że też ma na czole krzyż z popiołu.

– Mogę jakoś pomóc? – zapytał, a jego inteligentne, niebieskie oczy patrzyły raz na mnie, raz na Emily.

– Mamy nadzieję – powiedziała Emily, pokazując mu swoją odznakę. – Przysłał nas Tom Warriner. Chodzi o...

Podniósł palec, gdy z domu po drugiej stronie ulicy wyszła kobieta z tacą z doniczkami.

– Chodzi o pana, hm, poprzednią pracę – cichym głosem dokończyła Emily.

– Widzę – powiedział. – Wejdźcie. – Machnął dłonią, żebyśmy weszli przez otwarte drzwi do garażu. – Wreszcie ruszam na Florydę – oznajmił, gdy zamknął za sobą drzwi. – Właśnie sprzedałem dom ludziom, którzy mieli dość wysokiego czynszu w mieście. Parka japiszonów z Manhattanu. Powiedzieli, że chcą, żeby ich yorki miały więcej miejsca. Udało mi się tu wychować cztery córki, więc może oni też będą szczęśliwi.

– Potrzebujemy twojej pomocy, John – szybko przerwała mu Emily. – Nie mamy czasu na biurokrację, a czas nam ucieka. W sześćdziesiątym dziewiątym prowadziłeś agenta o kryptonimie Shadowbox. Właśnie znaleźliśmy jego odciski w systemie. Myślimy, że może mieć coś wspólnego z porwaniami nastolatków, które wydarzyły się ostatnio w mieście.

– Rozumiem – powiedział, stukając palcem w policzek.

– Jeśli chcesz, możesz zadzwonić do Toma, aby potwierdzić moją tożsamość – podsunęła Emily.

– Żartujesz? – Browning popatrzył na mnie. – Wiedziałem, że pracujecie dla rządu, zanim wasze buty stanęły na moim podjeździe. Shadowbox nazywa się Mooney. Francis Xavier Mooney. Błady studencik. Nosił okulary. Bystry, bardzo bystry dzieciak z rodziny robotniczej w Inwood. Studiował na Columbii, ale zaczął zadawać się z radykałami. Po tym jak wpadł za narkotyki, doradzał nam w sprawie terrorystycznego odłamu Weathermen.

– Cholera – zakląłem. – Znów to słowo na T.

Browning przytaknął.

– Którejś nocy zadzwonił do mnie i powiedział o fabryce materiałów wybuchowych, którą zorganizowali jego chłopcy w mieszkaniu w Village. Powiedział, że jego kumple szykują się do rozwalenia stacji Grand Central. Zrobiliśmy nalot i bum! Jeden z tych dupków, uciekając do okna, przewrócił coś, czego nie powinien, i mieszkanie wyleciało w powietrze. Rozwaliło pół budynku. Czterech z nich zginęło. Mooney nie mógł tego przeboleć. Obwinił się. Po tym epizodzie wyłączyliśmy go z programu. Wtedy ostatni raz o nim słyszałem.

– Kiedy to było?

– Och... – Emerytowany agent zastanawiał się przez chwilę, patrząc na sufit swojego garażu. – Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty. Kiedy to było? Prawie czterdzieści lat temu.

Zmienił mu się wyraz twarzy. Przez moment wyglądał nawet na trochę zaniepokojonego.

– To było w środę popielcową w siedemdziesiątym. Mówiliśmy o tym wydarzeniu „wybuch w środę popielcową”. Terrorysty i rocznice. Nie brzmi to najlepiej.

Byłem szybszy od Emily o ułamek sekundy, gdy sięgnąłem po komórkę.

– Zajmij się tym – powiedziałem Schultzowi, gdy odebrał. – Podejrzany nazywa się Francis Xavier Mooney. Mieszka najprawdopodobniej na Manhattanie. Może mieć ze sobą ładunek wybuchowy. Powiedz, żeby wzmocnili ochronę na Grand Central. Dworzec może być potencjalnym celem. Zadzwoni do mnie, jak tylko będziesz mieć adres tego faceta.

– Ile osób zabił? – zapytał Browning, gdy czekaliśmy, aż jego automatyczne drzwi do garażu się otworzą.

– Dwoje, może troje dzieciaków – odparłem.

Pokręcił głową.

– Nie jestem zaskoczony. Pieprzony czubek. Nawet jak wygrzebaliśmy jego kumpli z gruzów, nadal mówił tylko o tym swoim freeganizmie i innych bzdurach. Bądźcie ostrożni. Mooney to idealista. Jedną rzecz, której nauczyłem się podczas pracy, to właśnie to, że z takimi jak on trzeba najbardziej uważać.

Rozdział 74

Gdy pędziliśmy z domu byłego agenta FBI z powrotem na autostradę, zaczęło padać. Dudnienie działających na najszybszym biegu wycieraczek niemal dorównywało waleniu mojego serca. Buzowała we mnie adrenalina. Perspektywa dopadnięcia Mooneya działała lepiej niż wypicie zgrzewki red bulla.

Moja komórka zadzwoniła, kiedy dotarliśmy do wjazdu na trasę.

– Mike – usłyszałem głos naczelnik Fleming. – Namierzyliśmy Mooneya. Mieszka w Chelsea przy Zachodniej Dwudziestej Piątej, numer cztery cztery osiem. To pomiędzy Dziewiątą a Dziesiątą, jakieś trzy przecznice od Fashion Institute of Technology.

– Nareszcie! – krzyknąłem. Powtórzyłem Emily adres. Po wszystkich ślepych uliczkach, w które się zapędziliśmy, i po frustracji pierwszy raz podczas tego śledztwa wiedzieliśmy, co robimy.

– Mooney nadal może przetrzymywać Dana Hastingsa – kontynuowała moja szefowa. – Zastępca szefa z nowojorskiego biura FBI upoważnił oddział specjalizujący się w odbijaniu zakładników do przeprowadzenia akcji. Są już w drodze do Chelsea razem z oddziałem antyterrorystycznym. Nadal pracujemy nad pozwoleniem na wkroczenie siłą. Harry Dobbins, szef wydziału zabójstw prokuratury okręgowej, sam je napisał i zadzwoni do mnie z Centre Street, jak tylko znajdzie sędziego, który mu to podpisze. Gdzie jesteście?

– Mamy jakieś pół godziny drogi – powiedziałem. – A jak zdobyliście adres Mooneya? Z rejestru karnego?

– Nie, trzymaj się – usłyszałem. – Jego nazwisko pojawiło się w spisie pracowników socjalnych. Właśnie rozmawiałam z nimi przez telefon. Pracuje na pół etatu, a w papierach ma napisane, że zatrudnia go Ericsson, Weymouth and Roth na Lexington. Słyszałam o nich. To czołowa korporacja prawnicza. Wysłaliśmy tam jednostkę specjalną.

– Masz do nich telefon? – zapytałem.

Kiedy wykręcałem numer, poprzez prześwit między drzewami zauważyłem boleśnie daleki zarys Manhattanu. Do diabła. Musimy tam być jak najszybciej. Czy Mooney już zaatakował? Czy za cel obrał swoje biuro? Czy jesteśmy spóźnieni?

– Ericsson, Weymouth and Roth. Czy poczekają państwo na połączenie? – zapytał miły, kobiecy głos.

– Nie, do cholery! – krzyknąłem. – Mówi detektyw Mike Bennett z nowojorskiej policji. Sprawa jest niezwykle pilna. Muszę wiedzieć, czy Francis X. Mooney przyszedł dziś do pracy.

– Pan Mooney? Jest jednym z naszych starszych partnerów. Mogę połączyć pana z jego pocztą głosową – powiedziała kobieta.

– Proszę mnie posłuchać! – wrzasnąłem. – Mamy powody podejrzewać, że pan Mooney jest uzbrojony i niezwykle niebezpieczny, gotowy na samobójstwo albo zabójstwo. Czy przyszedł dziś do pracy? Tak czy nie?

– Och, mój Boże! – wykrzyknęła kobieta. – Nie jestem pewna.

– To niech pani natychmiast sprawdzi! – poleciłem.

Usłyszałem, jak odkłada słuchawkę.

– Właśnie rozmawiałam z jego sekretarką – odezwała się recepcjonistka. – Nie ma go. Szef naszego biura jest przy mnie i chciałby z panem porozmawiać.

– Mówi Ted Provencal – odezwał się męski głos.

– Mike Bennett z policji. Mamy powody podejrzewać, że pana współpracownik, Francis Mooney, jest odpowiedzialny za niedawne zabójstwa nastolatków.

Mężczyzna zaczął szybko oddychać. Wydawał się oszołomiony.

– Francis? – zapytał. – Francis?!

– Wiem, że to dla pana szok. Potrzebuję jednak jak najwięcej informacji na jego temat. Gdzie on teraz jest?

– Nie wiem. Nie ma na dziś zaplanowanych żadnych spotkań. Ostatnio przychodził do pracy w kratkę. Odkąd zdiagnozowano u niego raka płuc, ograniczyliśmy liczbę spraw, które prowadził. Miał elastyczny czas pracy.

Mamy wyjaśnienie obecności leku w pocie, pomyślałem.

– Mooney ma raka? – zapytałem.

– Czwarte stadium, rak niedrobnokomórkowy – odpowiedział. – Dowiedział się trzy miesiące temu. Choroba była zbyt zaawansowana, aby można było operować, biedak. Palił dwie paczki dziennie. Błagaliśmy go, żeby przestał. Staraliśmy się go motywować. Wydawało się to takie głupie, zważywszy na to, jak niezwykle mądrym jest człowiekiem.

– Jest mądry? Jak bardzo?

– Bez wątpienia to jeden z najmądrzejszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem. A jaki skrupulatny... Nigdy nie słyzałem, żeby przegapił jakiś szczegół w kontrakcie albo testamencie albo czegoś nie dopilnował. Szefował naszemu działowi mienia i powiernictwa. Był jednym z najbardziej lubianych pracowników w firmie, i to zarówno przez współpracowników, jak i klientów. Zarządzał też naszym działem *pro bono*. Czy ma pan stuprocentową pewnośc, że jest zamieszany w tę sprawę? Te okropne wydarzenia, o których piszą gazety? Dzieciaki, które zostały zastrzelone? Naprawdę trudno w to uwierzyć. Czy jest pan pewien?

– Niech pan uwierzy! – krzyknąłem. – Policja już jest w drodze. Zamknijcie biuro i powiadomcie ochronę, żeby pod żadnym pozorem nie wpuszczać Mooneya do środka. Jest uzbrojony i podejrzewamy, że ma ładunki wybuchowe.

Rozdział 75

Zjeżdżaliśmy z piskiem opon z autostrady West Side na Dwudziestą Trzecią w Chelsea, kiedy Emily odebrała służbową komórkę. Skierowano nas do brzydkiego, beżowego wieżowca na rogu Ósmej Alei i Dwudziestej Piątej Ulicy.

Kiedy wjeżdżaliśmy do garażu podziemnego, duża biała furgonetka błysnęła światłami. Emily zatrzymała się za nią, tuż przed przyozdobionym graffiti wejściem na pakę.

Drzwi otworzyły się, ukazując nieskazitelne wnętrza wypełnione ekranami i serwerami. Wyglądało to tak, jakby każdy centymetr ścian pokrywały kable łączące bardzo skomplikowany sprzęt elektroniczny. Najbardziej jednak zaskakujący był widok sześciu mężczyzn ubranych na czarno, którzy zabezpieczali swoje karabiny maszynowe na ławach ciągnących się wzdłuż ścian. Całkowicie nas zignorowali i nadal koncentrowali się na zabezpieczaniu i składaniu swojej broni i sprzętu.

– Ruchome Centrum Operacyjno-Taktyczne Oddziału do Odbijania Zakładników – wyjaśniła Emily, gdy znaleźliśmy się w środku. – Najbardziej zaawansowany sprzęt do monitoringu i centrum dowodzenia w jednym. Mamy tu kamery światłowodowe i mikrofony, jak również połączenie audio i wideo ze wszystkimi snajperami obserwującymi okolicę.

– Witajcie w miejscu, gdzie każdy dolar wydany na bezpieczeństwo narodowe ciężko pracuje – powiedział młody przystojny Azjata, gdy założył swoje gogle balistyczne i szturchnął Emily.

– Mike, poznaj Toma Chow. Jest szefem drugiego oddziału do odbijania zakładników – przedstawiła go Emily.

Chow wskazał na ekran komputera pokazujący dwupiętrowy, ceglany budynek.

– Oto on. Jesteśmy tu już jakieś pół godziny i nikt nie wszedł ani nie wychodził. Nie możemy potwierdzić, że jest w środku.

Chow sięgnął po zdjęcia, które leżały obok komputera. Przedstawiały budynek

Mooneya sfotografowany z góry pod różnymi kątami.

– Mamy dwa miejsca, którymi możemy wejść, przez dach i drzwi frontowe – powiedział, wskazując je palcem. – Widzicie ten wyższy budynek obok? To magazyn. Mamy już tam ekipę, która czeka, gotowa opuścić się na linach na dach Mooneya. Snajper, który obserwuje mieszkanie z drugiej strony ulicy, będzie zabezpieczał okna, więc reszta z nas może wyważyć drzwi frontowe. Służby ratownicze czekają przy Dziesiątej Ulicy i są gotowe wkroczyć, gdy zlokalizujemy dzieciaka.

Chow odwrócił się, gdy podjechała duża furgonetka nowojorskiej policji. Czarny labrador na przednim siedzeniu machał ogonem pomiędzy dwoma gliniarzami w dużych, szarych kombinezonach antybombowych.

– O proszę – stwierdził Chow. – Nawet saperzy już są. Pora zacząć imprezę.

Chwilę później Chow wyjął z kieszeni dzwoniącą komórkę. Słuchał przez moment, a gdy skończył, uśmiechnął się. Zdjął gogle i zapukał w przyciemnioną ściankę z pleksiglasu, która oddzielała tył ciężarówki od szoferki.

– Mamy zielone światło. Ruszamy.

Włożyliśmy z Emily pożyczone kamizelki kuloodporne. Wnętrznosci podskoczyły mi do gardła, gdy nagle ruszyliśmy.

Sekundę później ciężarówka gwałtownie się zatrzymała. Drzwi się otworzyły, komandosi FBI wyskoczyli na ulicę i pobiegli w kierunku kamienicy. Szybciej, niż byliby w stanie nacisnąć dzwonek, drzwi Mooneya zostały wyważone za pomocą ładunku wybuchowego.

Dwóch mężczyzn w czerni zaczęło opuszczać się na linach z budynku obok, podczas gdy komandosi wkroczyli do domu z pistoletami maszynowymi MP5 marki Heckler and Koch.

Wśród krzyków i głosów dobiegających z nadajników radiowych ruszyłem za nimi z glockiem w dłoni. Emily szła za mną ze strzelbą Remington.

– Proszę, bądź w domu, dupku – usłyszałem za plecami, gdy biegliśmy.

– Tak, sukinsynu – zgodziłem się. – Bardzo ładnie proszę, bądź w domu.

Rozdział 76

Podczas gdy drzwi do jego domu były rozwalane w drobny mak, Francis X. Mooney zatrzymał się na rogu Park Avenue, sześćdziesiąt przecznic na północny wschód, i postawił na ziemi teczkę.

Obrócił się w stronę czteropiętrowego gotyckiego budynku szkoły, który zajmował większość północnej strony Osiemdziesiątej Piątej Ulicy, pomiędzy Park a Lexington. W budynku mieściła się St. Edward's Academy, elitarna, prywatna szkoła, do której uczęszczał od siódmej klasy aż do matury.

Był brudny po incydencie z kierowcą furgonetki, mokry od deszczu i całkowicie wykończony po spacerze, jaki sobie zafundował, ale wreszcie dotarł.

Historia zatoczyła koło i znalazł się w miejscu, w którym wszystko się zaczęło.

Stał tak przez sekundę, przypominając sobie swój pierwszy dzień w tej szkole. Stał dokładnie w tym samym miejscu, chory i zmarznięty, pewien, że ponieważ jest dzieciakiem ze stypendium, jego ubrania, jego twarz i każdy inny centymetr jego jestestwa nie będą wystarczająco dobre.

Szybko wyjął pistolet z teczki i włożył go za pasek spodni. Dłonią wygładził marynarkę.

Czuł się podenerwowany dokładnie tak samo, jak wiele lat temu i przełykając ślinę, dźwignął teczkę.

Myślał o swoich powodach.

Nie mogę tego zrobić, pomyślał.

Muszę to zrobić, pomyślał.

– Francis? Francis, czy to ty?

Francis się odwrócił. Wysoki, szczupły ciemnoskóry mężczyzna, mniej więcej w jego wieku, zatrzymał się obok i uśmiechnął. Miał na sobie czapkę z daszkiem z logo St. Edward's, a w dłoni trzymał torbę z jedzeniem na wynos.

– Czy my się znamy? – zapytał Francis.

– Mam nadzieję. To ja, Jerry Webb. Byliśmy razem w drużynie, skończyliśmy

szkołę w sześćdziesiątym piątym. Teraz jestem trenerem. Przez jakiś czas pracowałem w finansach, ale potem wróciłem do starego dobrego Świętego Eda, żeby nauczyć ich, jak grać w piłkę. Uwierzysz w to? Ja czasem nie mogę. Zwłaszcza gdy dostaję czek na koniec miesiąca.

– O mój Boże. Jerry. Tak – wykrztusił wreszcie Francis. Szczerze się uśmiechnął, gdy wymienili uścisk dłoni. Faktycznie byli razem w drużynie. Jeśli można tak powiedzieć.

Webb był ich gwiazdą, napastnikiem, a Francis musiał wyciskać z siebie siódme poty podczas każdego treningu, żeby dostąpić zaszczytu grzania łąwy.

– Minęło... – zaczął Francis.

– Zbyt dużo czasu – dokończył trener Webb i puścił oko. – Stary Francis X. Powrót do przeszłości. Wiedziałem, że to ty. Nie jestem jeszcze taki stary, żeby nie poznać kumpla z drużyny. Nadal potrafisz pędzić lewą stroną jak szalenięc?

Uśmiech nagle zniknął z twarzy Francis. Nigdy nie umiał grać na lewej stronie. Ciągle śmiali się z tego jego koledzy z pierwszego składu. Czy Webb był jednym z tych zaangażowanych w incydent podczas letniego treningu? Francis przecesał w głowie swoje nadal bolesne wspomnienia sprzed czterdziestu lat. Pokiwał głową. Ach tak, on tam był.

– Co cię tu sprowadza? – chciał wiedzieć ten zadufany w sobie dupek i zmierzył Francis wzrokiem. – Wyglądasz na trochę zmarnowanego.

Jak miło, że zauważyłeś, pomyślał Francis.

– Miałem za rogiem umówione spotkanie z klientem. Najpierw się poślizgnąłem, wysiadając z taksówki, potem złapał mnie deszcz, a w końcu klient mnie wystawił – kłamał Francis. – Nie chcę cię zanudzać szczegółami, ale to nie mój dzień. Pomyślałem, że skoro jestem w okolicy, wpadnę, żeby zapytać o podanie o przyjęcie dzieciaka jednego z moich przyjaciół.

– Och, wiem, jak jest – powiedział trener Webb. – Jedna tradycja u Świętego Eda się nie zmienia. Nigdy nie będzie tu łatwo się dostać, prawda? Chodźmy.

Ostrzyżony na jeża strażnik w średnim wieku, który siedział za łukowymi szklanymi drzwiami, na widok trenera nacisnął przycisk zwalniający zamek. Francis znów przełknął ślinę, gdy wszedł do środka. Teraz przed nim najtrudniejsza część planu. Nie miał czasu na rekonesans i nie był pewien, czyjego kiepskie wymówki będą trzymać się kupy.

– On jest ze mną, Tommy – oznajmił trener Webb, wpisując ich do księgi gości.

– To Francis X., ważny absolwent naszej szkoły. Ma sprawę do załatwienia

w dziale do spraw rekrutacji. Zaprowadzę go.

– Nie ma sprawy, trenerze. – Strażnik uniósł kciuk do góry.

Francis otarł brew, gdy szli korytarzem z uczniowskimi szafkami. Zerknął do sal lekcyjnych, które mijali. Ogarnęła go panika. Co, do cholery? Wszystkie klasy były puste.

– Gdzie są wszyscy? – zapytał tak beztrosko, jak tylko potrafił.

– Spotkanie przedmeczowe w sali gimnastycznej. Nasza drużyna baseballu od zeszłego sezonu gra w lidze stanowej. Gdybym tylko mógł znaleźć się tam z moimi chłopakami.

Spotkanie przedmeczowe. Czy to pokrzyżuje jego plany? Prawdopodobnie. Nie ma czasu nic z tym zrobić. Będzie musiał improwizować.

Trener Webb poklepał Francisa po ramieniu, gdy zatrzymali się przy drzwiach z tabliczką REKRUTACJA.

– Odwiedź mnie kiedyś, Francis. Pogadamy albo może zagramy sobie jeden na jeden. Oczywiście, jeśli nadal tak dobrze grasz na lewej stronie. Świetnie było cię zobaczyć, stary.

– Ciebie też, Jerry. Dzięki za wszystko – odpowiedział Francis z szerokim uśmiechem.

Dzięki, że pomogłeś mi rozpocząć najczarniejszy dzień w historii St. Edward's, ty zadufany osiłku, pomyślał, gdy trener odchodził.

Rozdział 77

Trzydzieści sekund zajęło mu przejście głównym holem do sekretariatu. Stara kobieta o włosach w kolorze platyny w tweedowej garsonce stuknęła w klawiaturę. Łagodne tony piosenki *I Left My Heart in San Francisco* dobiegały z radia stojącego przy jej komputerze.

– Dzień dobry, czy mogę w czymś pomóc? – zapytała grzecznie. Uśmiechnęła się, gdy na niego spojrzała. Była atrakcyjną siedemdziesięcioletnią kobietą o jasnych oczach. Opuściła okulary w drucianych oprawkach.

Francis nagle zdrętwiał. Co innego strzelać do kogoś w cichym miejscu, po ciemku, w tajemnicy. Zdał sobie sprawę, że teraz było zupełnie inaczej. Na jego rozpalonym czole pojawiły się krople potu. Tutaj, w świetle jarzeniówek, z grającą muzyką, czuł się zupełnie inaczej, do cholery.

Teraz! – krzyczał głos w jego głowie.

Francis kopniakiem zamknął za sobą drzwi i głośno zaczerpnął powietrza.

Kobieta zaczęła wstawać, gdy doskoczył do lady, za którą siedziała, i złapał ją za klapy. Wyjął z kieszeni kartkę. Na wydruku znajdowały się zdjęcia dwóch uczniów St. Edward's wraz z nazwiskami. Nie wiedział, kto trząśł się bardziej, ona czy on sam.

– Czcz-czy ci uczniowie przyszli dziś do szkoły? – jąkał się.

– Co? Proszę natychmiast mnie puścić! Nie może pan tak robić! Kim pan jest?

– Posłuchaj mnie! – krzyknął Francis. Wyjął zza paska beretę i przyłożył jej do głowy. – Czy ci uczniowie przyszli dziś do szkoły? – powtórzył.

Starsza kobieta zaczęła płakać na widok broni.

– Proszę! – zapiszczała, próbując się wyrwać. Zamknęła oczy i zaczęła łkać. – Nie, proszę. Dlaczego chce pan wiedzieć, czy ci uczniowie są w szkole? Proszę nie robić mi krzywdy! Co pan robi?

Do diabła, pomyślał Francis, potrząsając nią. To nie tak miało być.

Odwrócił się na cichy dźwięk za plecami. To były drzwi. Francis zauważył

Webba z szeroko otwartymi oczami.

– Co ty, na litość boską, wyprawiasz? – zapytał trener.

Francis puścił kobietę. Otworzył usta, gdy ich oczy się spotkały. Przyłapany. Cholera jasna. Przyłapał mnie.

Jego umysł i ciało zdawały się jednocześnie zablokowane. Czuł, jakby dostał w brzuch i nie mógł złapać tchu. Pistolet nagle wydał mu się niewiarygodnie ciężki.

To już koniec. Był na to za słaby. Wiedział o tym. Nie powinien nawet stać teraz na nogach. Gdzie w ogóle był? Czwarte stadium. Zaawansowane czwarte stadium. Był bardzo chorym, słabym, umierającym człowiekiem. Powinien teraz leżeć w centrum Sloan-Kettering.

– Odłóż broń, Francis – powiedział trener Webb. – Teraz, stary.

Czy nadal pędzisz lewą stroną jak szaleniec? – Francis usłyszał jego głos. Przez głowę przemknęło mu wspomnienie. Webb w drzwiach szkolnej łazienki, wyjący jak kojot i trzymający majtki Francisa nad głową.

Skupił się na poczuciu krzywdy i złości, które się w nim gotowały. Jakby złapał drugi oddech. Francis pewniej ujął pistolet. Postanowione. Podniósł go.

– A może ty tutaj wejdiesz i zamkniesz te pieprzone drzwi, stary? – Trener przez chwilę wyglądał, jakby chciał rzucić się biegiem do ucieczki, ale spojrzał na panią Stukam-w-klawiaturę-w-rytm-starych-hitów i posłuchał Francisa.

Webb odwracał się właśnie po tym, jak zamknął drzwi, kiedy Francis pociągnął za spust. Kula trafiła go prosto w jego zadowoloną twarz gwiazdora szkolnej drużyny. Upadł komicznie szybko, jakby poślizgnął się na skórce od banana. Bang! Dwa punkty! – pomyślał Francis i niemal się zaśmiał. Co mówią podczas meczów knicksów? *Whoomp! There it is!*

Francis poczuł się niewiarygodnie skoncentrowany, gdy odwrócił się z powrotem w stronę kobiety. Tak jakby ktoś do oporu podkręcił pokrętło z jego poziomem energii.

– Czy ci uczniowie przyszli dziś do szkoły? – zapytał znów wyraźnie i pewnie swoim głosem prosto z sali sądowej. Stracił jej okulary i przystawił lufę do jednej z mocno zaciśniętych powiek.

– Tak – powiedziała.

Kobieta cicho popłakiwała. Francis nagle zorientował się, że sam też płacze.

Tyle krwi, a jeszcze tyle zostanie przelane, pomyślał. Pokiwał głową. Było warto.

– Wykazała się pani odwagą, próbując chronić dzieciaki – szepnął jej do ucha czułym głosem. – Czekają ich jednak wyższe cele. Dlatego tu jestem. Żeby pokazać im, że mają przed sobą najważniejsze zadanie.

Rozdział 78

Kaszłąc w dymie z granatu, znalazłem okno w kuchni Mooneya i szybko je otworzyłem.

– Do cholery! – krzyknęła Emily, odkładając broń na granitowy blat. – Minęliśmy się z nim.

– Niech to szlag – powiedziałem zniesmaczony. Poluzowałem jeden z pasków ciężkiej kamizelki kuloodpornej i usiadłem obok niej. Oddział specjalny przeszukał każde pomieszczenie na obu piętrach. Niczego nie znaleziono. Nikogo nie było w domu. Nie było Mooneya. A co gorsza, nie było też Dana Hastingsa.

Zadzwoiłem do szefowej, powiedziałem jej też, że Mooney nie pojawił się w biurze. W pewnym sensie było to dobrą wiadomością, bo możliwe, że chciał wszystkich tam zabić. Jeśli jednak nie był w pracy, to gdzie się podziewał?

– Gdzie powinniśmy najpierw szukać? – zapytałem.

– Gabinet – odpowiedziała.

Poszliśmy na drugie piętro i zaczęliśmy przeszukiwać jego domowe biuro. Dosłownie roznieśliśmy je na kawałki. W szafkach znaleźliśmy dokumenty związane z funduszami i mieniem, prawdopodobnie praca, którą zabierał ze sobą z firmy. Jedną ze ścian pokrywały zdjęcia Francisa na eleganckich bankietach charytatywnych. Kilka ramek ze stronami z magazynów „Vanity Fair” i „Avenue”. W szufladzie znajdowała się jego wizytówka, na której Mooney określony był jako konsultant do spraw filantropii. Sądząc po przyjęciach, na których bywał, na pewno doradzał bogatej klienteli.

Jeden z komandosów zawołał nas podekscytowany z dołu.

– Chyba coś znalazłem, Em – powiedział Chow, gdy zeszliśmy do piwnicy. Skierował światło latarki przymocowanej do lufy karabinu na otwarte drzwi. Sięgnąłem ręką do pomieszczenia i zapaliłem światło.

Stałem, mrugając, ale nie z powodu oślepiającego światła.

O cementowe ściany opierały się sterty książek i gazet. W niektórych miejscach

miały nawet sto osiemdziesiąt centymetrów wysokości. Wyglądało to na raczej eklektyczną kolekcję. Mooney miał kolekcję książek przeciwników polityki George'a Busha. Zniszczone tomy Spinozy. Pozycja zatytułowana *Geometria kwantowa strun bozonowych* leżała na autobiografii Martina Luthera Kinga juniora. Zauważyłem książki Rousseau i Alexis de Tocqueville'a w oryginale, które miały na marginesach ręczne notatki po francusku. Zauważyliśmy też wiele książek autorstwa Jean-Paula Sartre'a i współczesnego francuskiego filozofa Michela Foucault.

– Ten facet może i jest mordercą i psycholem – stwierdziła Emily – ale przynajmniej jest naprawdę czytany.

W szufladzie metalowej szafki na dokumenty znaleźliśmy laptopa. Emily włożyła chirurgiczne rękawiczki, zanim go włączyła. Cały pulpit wypełniały ponumerowane dokumenty w Wordzie.

Emily otworzyła pierwszy z brzegu. Był naprawdę dziwny.

– „Trzeba im pokazać – zaczęła czytać. – Komunikacja nie ma sensu. Podobnie jak Malcolm X, ja również zgadzam się z filozofią, że należy wykorzystać konieczne środki. Ja również mam wolną wolę i jestem oświeconą istotą ludzką, która ma nadzwyczajny dar. Ja również mam odpowiedzialność, która przewyższa odpowiedzialność zwykłych ludzi. Ja również mam...”.

– Chorobę psychiczną, która przekracza normę – dokończyłem.

– To się ciągnie w nieskończoność – powiedziała Emily, zjeżdżając myszką na dół strony. – O mój Boże, ten dokument ma pięćset stron. Musi tu być jakaś setka takich plików. Miesiące zajmie przebrnięcie przez te brednie.

Wtedy usłyszeliśmy szczekanie.

Na szczycie schodów do piwnicy stał pies przeszkolony do wykrywania ładunków wybuchowych i szczekał jak szalony.

– Chyba nie chodzi mu o to, żeby iść na spacer – krzyknął Chow. – Wychodzić! Natychmiast! Opuśćcie budynek!

Nie musiał nam dwa razy mówić. Czekaliśmy po drugiej stronie ulicy, która została odcięta i zabezpieczona, kiedy dziesięć minut później saperzy wyszli z domu Mooneya. Każdy z nich niósł kartonowe pudełko.

Starszy saper z wąsami przywołał mnie machnięciem ręki na tył ich furgonetki. Przełknąłem ślinę. Nie sądziłem, że zaprasza mnie na przejażdżkę.

– Lepiej, żebyś to był ty niż ja, Mike – powiedziała Emily i zatkała uszy.

– Znaleźliśmy to w niższej części piwnicy obok jego biblioteczki –

poinformował, kiedy podszedłem. Ostrożnie zajrzałem do pudła, które trzymał. W środku znajdowała się sterta długich, białych kostek, które wyglądały, jakby zrobione były ze smalcu.

– Spokojnie, to C-cztery. – Starszy gliniarz machnął z lekceważeniem ręką. – W zasadzie to niemal jestem pewien, że to PE-cztery, bardzo podobna substancja produkowana w Wielkiej Brytanii. Jest całkowicie bezpieczna. Mógłbyś kopać ją jak piłkę. Mógłbyś nawet ją podpalić i nic by się nie stało. Nic się nie stanie, dopóki nie podłączysz jej do...

Zamilkł na chwilę i pokazał mi zawartość drugiego pudełka, w którym znajdowała się rolka czegoś, co wyglądało jak gruby sznurek na bieliznę.

– Detonatora. Ten tutaj nazywa się Cordtex. Wygląda jak sznur, zachowuje się jak sznur, ale ma wybuchowy środek, który powoduje eksplozję. Można powalić drzewo niecałymi dwoma metrami. Albo budynek, jeśli podłączy się go do odpowiedniej ilości PE-cztery z pudełka numer jeden.

Saper pogłaskał się po wąsach i westchnął tak, że włosy na karku stanęły mi dęba.

– Co? – zapytałem.

– Problem tkwi w pudełku – powiedział.

– W pudełku?

– PE-cztery pakuje się w paczki po dwadzieścia pięć funtów, czyli jakieś jedenaście kilo. Tutaj zostało tylko koło sześciu, może siedmiu funtów. Poza tym brakuje mniej więcej połowy detonatora.

Nie miałem wąsów, więc potarłem skronie, gdy zrobiłem obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni i objąłem wzrokiem budynki, autobusy i pieszych. Cele jak okiem sięgnąć. Mooney mógł być teraz wszędzie.

– Cholera.

– Ty to powiedziałeś – dodał saper.

Rozdział 79

Francis włożył na głowę czapkę z logo szkoły, którą zabrał zamordowanemu trenerowi, i szedł szybko pustymi szkolnymi korytarzami. Uśmiechnął się, mijając stare laboratorium chemiczne. Przypomniawszy sobie, jak klasa go nienawidziła, bo zawsze zdobywał najlepsze oceny i zawyżał wymagania.

Otworzył drzwi do pustej sali gimnastycznej używanej przez młodsze roczniki. Nadal pachniało w niej potem i maścią Bengay. Zerknął na grubą warstwę farby na ścianach, zniszczone kraty w wysokich oknach. Ile rzutów z dwutaktu wykonał na tym parkiecie? Ile razy przebiegł tę salę? Przechodząc teraz przez nią, odkręcił tłumik ze swojej beretty i rzucił nim do kosza prawie z połowy boiska. Upadł jakiś metr przed koszem.

– Pudło. Nic nowego – mruknął i schował broń.

Gdy wszedł na główną salę gimnastyczną, uderzył go ryk tłumu. Trybuny po brzegi wypełniali uczniowie. W swoich sweterkach i spodniach wyglądali podobnie do chłopaków z jego klasy, ale ich przydługie włosy i poluzowane krawaty skończyłyby się dla nich kożą w uciążliwych czasach jego młodości. Chociaż teraz zauważył w tłumie większą liczbę ciemnoskórych, więc nastąpił chociaż taki postęp.

– Naprzód St. Ed! – dyrektor krzyczał przez megafon. – Jedziemy St. Ed! – Obok niego dzieciaki w baseballowych koszulkach nałożonych na krawaty zaciskały pięści w geście triumfu i machały ramionami, zachęcając tłum do głośniejszego dopingu.

Te krzyki przypomniały mu półfinały. Gorączkę, doping i dźwięk piłki odbijającej się od parkietu. Nie zagrał w tym meczu nawet minuty, chociaż trener obiecywał mu coś innego. Webb wygrał dla nich mecz w ostatnim ułamku sekundy. Wszedł, gdy zaczęli nosić tego dupka na ramionach. Zdecydowanie jednak otrzymał w St. Edward doskonałe wykształcenie. Tutaj pierwszy raz dowiedział się, jak popieprzona może być ludzkość.

Ludzie gapili się na niego, gdy szedł wzdłuż trybun. Wskazał na swoją czapkę i machał z entuzjazmem.

– Naprzód, St. Ed! – krzyczał razem z tłumem, gdy szedł w stronę podestu.

Dyrektor skakał w górę i w dół, kiedy Francis znalazł się na scenie obok niego. Wykrzywił twarz zaskoczony, gdy Mooney przystawił mu pistolet do skroni. – Jestem dobrym człowiekiem – powiedział Francis i wyrwał mu z dłoni megafon.

Rozdział 80

Wymachując brzydkim czarnym pistoletem nad głową, Mooney spojrzął na uczniów. Członkowie drużyny przykleili się do obitej materiałem tylnej ściany. Na trybunach znajdujących się pod nowym plakatem reklamującym mistrzostwa w baseballu przechylony na bok nauczyciel, nie myśląc o sobie, starał się osłonić tyłu uczniów, ilu mógł.

Mooney wziął głęboki oddech, żeby zapanować nad przyspieszonym pulsem. Skupił teraz na sobie całą uwagę. Radosne okrzyki szczęścia uczniów urwały się tak nagle, jakby Mooney wcisnął klawisz wyciszania na pilocie.

W nagłej ciszy przerażone dyszenie łysego dyrektora brzmiało, jakby robił ćwiczenia oddechowe. Mooney przystawił mu lufę beretty do czoła i podniósł megafon.

– Niech wszyscy zostaną na miejscach – odezwał się. – Każdy, kto spróbuje uciec, zostanie zastrzelony. Nie chcę odbierać nikomu młodego życia, ale jeśli będę musiał, to tak zrobię. Coś trzeba zrobić. I właśnie ja to robię.

Po twarzy Francisca pociekł pot. Prawie nie było już widać znaku z popiołu, który rano miał na czole.

Niektórzy uczniowie na trybunach wydawali się dziwnie zafascynowani sytuacją, być może byli w szoku. Kilku chłopaków nerwowo stuknęło w klawiatury swoich komórek, na pewno pisząc wiadomości z prośbą o pomoc. Zauważył niezbyt subtelnego, brzydkiego blondyna w górnym rzędzie, który trzymał kamerę telefonu skierowaną na scenę. Już pewnie byli na żywo w internecie.

Tak. Pokażmy się na YouTube, pomyślał. Niech cały świat zobaczy. Właśnie to było potrzebne. Nic nie będzie bardziej skuteczne niż wykrzyczenie na żywo tego, co chce przekazać w głuche uszy świata.

Francis zauważył, że kilku chłopaków płacze. Po jego twarzy też zaczęły cieknąć łzy.

– Mielicie być przyszłymi przywódcami tego świata – zawołał. – Wiem to,

ponieważ sam ukończyłem tę prestiżową akademię. Teraz jestem tutaj, aby przeprowadzić test waszej wartości, ostateczną próbę waszego charakteru.

Megafon zaskrzeczał i nastąpiło sprzężenie zwrotne, gdy Francis nacisnął spust.

– Posłuchajcie mnie! – krzyczał. – Pytanie numer jeden: Podczas gdy graliście w *Metal Gear* i *Sniper Elite* na swoich konsolach, które dostaliście na Gwiazdkę, ile osób zginęło w Iraku i Afganistanie? W Darfurze?

Rozdział 81

Przed pozbawionym drzwi domem Mooneya przy Dwudziestej Piątej Ulicy panował harmider. Do saperów i oddziału do odbijania zakładników dołączyło teraz około trzydziestu innych policjantów z Manhattanu, którzy przyszedli zabezpieczyć miejsce.

W środku tego zamieszania, na chodniku za taśmą odgradzającą nas od reszty ulicy, Emily i ja chodziliśmy w tę i z powrotem, jak czekający rodzice. Zadzwoniliśmy do wszystkich, którzy według nas mogli pomóc w namierzeniu Mooneya.

Wysłaliśmy Schultza z ekipą do Inwood, gdzie mieszkała matka Mooneya. Ramirez pojechał do jego firmy prawniczej, licząc, że dowie się czegoś więcej, ale na razie nie wrócił z żadną informacją.

Co kilka sekund mijaly nas migające czerwone niebieskie światła pędzących na sygnale wozów policyjnych.

– Komisarz przydzielił do tej sprawy wszystkich policjantów na dziennej zmianie i postawił w pogotowiu oddział antyterrorystyczny Hercules – powiedziała mi Carol Fleming. – Samochody i personel skierowano na Times Square, do Rockefeller Center i wszystkich głównych skupisk ludności w mieście.

Sfrustrowany wypuściłem powietrze. Naprawdę mieli więc sporo roboty, biorąc pod uwagę to, że cały Manhattan to jedno wielkie skupisko.

– Komisarz chce również na wczoraj informacje, skąd, do cholery, Mooney wziął brytyjski wojskowy ładunek wybuchowy.

– Zapytam się go o to, jak tylko odczytam mu jego prawa – odparłem i rozłączyłem się.

– Tak, przed ostatnim namaszczeniem – wymamrotała Emily, która wydawała się nawet bardziej wściekła niż ja.

Zerknąłem na nią i niemal wybuchnąłem śmiechem. Przypomniałem sobie, jak jeszcze trzy dni temu Parker była agentką FBI z Południa. Teraz zaczynała mówić

jak ja.

– Nowojorska gorycz i sarkazm – stwierdziłem. – Jestem pod wrażeniem, agentko Parker.

Oba końce tej wąskiej ulicy w sercu Chelsea były teraz zamknięte, ale oczywiście na miejscu z każdą minutą pojawiała się więcej ludzi ciekawych tego, co się dzieje. Róg Dziewiątej Ulicy, przy zaporze, wyglądał jak uliczny festyn. Ludzie, których można było wziąć za sobowtóry obsady musicalu *Rent*, wychylali się przez okna po drugiej stronie ulicy, stali z lornetkami na schodach przeciwpożarowych, obserwowali sytuację z dachów. Nie słyszeli nigdy o tym, co może się stać z materiałami wybuchowymi? Chyba nie.

Nie zdążyłem nawet schować telefonu do kieszeni, gdy znów zadzwoniła do mnie szefowa.

– Mike, to coś, och Boże, to coś nowego. Znajdź połączenie z siecią bezprzewodową. Idź na stronę Twitpic. Znajdziesz tam podcast *Przejęcie szkoły*.

– Przejęcie czego?! – krzyknąłem.

Nie rozłączając się, pobiegłem z Emily do furgonetki FBI, gdzie znaleźliśmy laptopa. Otworzyłem przeglądarkę i wpisałem adres strony.

– Powiedz mi, że to jakiś żart – błagała Emily, patrząc mi przez ramię.

Nie był to żart. Zabrakło mi tchu.

Zobaczyliśmy zdjęcie Mooneya. Stał na scenie w sali gimnastycznej, w jednej ręce trzymając megafon, a w drugiej pistolet. Lufa pistoletu przystawiona była do głowy innego mężczyzny – nauczyciela? – w garniturze. Przed nimi znajdowały się setki chłopców w mundurkach prywatnej szkoły.

Wpatrując się w mężczyznę i przerażonych uczniów, poczułem nieopisany gniew. To właśnie to. Ostatni występ Mooneya. Zauważyłem obok niego dużą teczkę. Saper powiedział mi, że pół kilo PE-4 może wysadzić w powietrze ciężarówkę. Nie chciałem nawet wyobrazić sobie, co z tymi wszystkimi dziećmi może zrobić osiem kilo ładunku.

– Podcast pojawił się w sieci pięć minut temu. Jest prawdziwy – odezwała się moja szefowa.

– Która to szkoła? – krzyknąłem.

– W ciągu ostatnich dziesięciu minut dostaliśmy trzy telefony od matek, których dzieci chodzą do St. Edward's Academy na Upper East Side. Dzieciaki wysyłają SMS-y, że podczas spotkania przedmeczowego do ich sali gimnastycznej wszedł facet z pistoletem.

Głowa opadła mi tak nisko, że niemal sięgała kolan. Teraz Mooney przejął szkołę pełną dzieciaków. Nasz największy koszmar właśnie stał się rzeczywistością.

– Która to szkoła? – zapytała Emily.

Odskoczyła, gdy pięścią walnąłem w bok furgonetki.

– St. Edward's. Prywatna męska szkoła niedaleko Park Avenue. Chodzą do niej najbogatsze dzieciaki w mieście.

– Radiowozy już tam podjeżdżają – powiadomiła moja szefowa. – Jedźcie tam natychmiast!

Rozdział 82

Kiedy pędziliśmy Park Avenue, mijaliśmy jeden długi ciąg żółtych taksówek. Portierzy w uniformach i piesi stali nieruchomi pod płóciennymi dachami i patrzyli na nas przerażeni. Nie wiem, co było głośniejsze, nasza syrena czy zakłócenia dobiegające z radia FBI, którego częstotliwość zalewały napływające z całego miasta wezwania alarmowe.

Zatrzymaliśmy się gwałtownie przy kilku chevroletach suburban z zaciemnionymi szybami, które stały wzdłuż Wschodniej Osiemdziesiątej Pierwszej Ulicy.

Należały do sprawiającej groźne wrażenie antyterrorystycznej jednostki nowojorskiej policji Hercules. Oddział wyglądających jak jednostka specjalna policjantów ustawiony był za skrzynkami na listy i zaparkowanymi samochodami. Lufy ich karabinów szturmowych M4 celowały w gotycki, imponujący budynek szkoły.

Obok nas zatrzymał się z piskiem opon bentley continental. Wskoczył z niego elegancki siwy mężczyzna w prążkowanym garniturze i jedwabnych szelkach. Gliniarz w mundurze zastąpił mu drogę, gdy chciał przedrzeć się przez zaporę.

– Dajcie mi przejść. Mój syn jest uczniem St. Edward’s. On tam jest! – krzyczał, szarpiąc się z funkcjonariuszem.

Zauważyłem chudą jak szczapa kobietę w okularach przeciwsłonecznych w stylu Jackie O., która stała na przeciwległym rogu, przy rangeroverze westminster z kierowcą w uniformie. Dłonią przyozdobioną brylantowymi pierścionkami zasłaniała usta.

– Proszę – odezwała się z rosyjskim akcentem do najbliższego oficera. – Nazywa się Terrence Osipov. Proszę, gdzie on jest? Chodzi do siódmej klasy.

– Mówiłeś, że jak bardzo elitarna jest ta szkoła? – zapytała Emily, wpatrując się w klejnoty kobiety.

– Nie wiesz? – powiedziałem. – Przedszkole w St. Edward’s według magazynu

„New York” kosztuje trzydzieści tysięcy dolarów rocznie. Nie tylko płaci się tyle co za Harvard, ale dostanie się tu jest jeszcze trudniejsze.

Zauważyłem młodo wyglądającego ciemnoskórego kapitana, który stojąc pod wejściem do kamienicy po północnej stronie ulicy, kierował policjantami.

– Rozmawialiśmy ze strażnikiem – odezwał się do mnie. – Powiedział, że ten świr przyszedł jakieś pół godziny temu, żeby coś załatwić w biurze do spraw rekrutacji. Najwyraźniej ma broń i zamknął się z uczniami w sali gimnastycznej. Mają jakieś przedmeczowe spotkanie. Cała szkoła się tam zebrała.

– Najpierw musimy ewakuować cały kwartał – powiedział Tim Curtin, specjalista od bomb, który pojawił się za mną. – Jeśli w nieodpowiednim miejscu odpali swój ładunek, mogą pójść instalacje gazowe.

Tom Chow, dowódca oddziału do odbijania zakładników, patrzył na budynek przez lornetkę, gdy nad budynkami pojawił się helikopter Bell należący do nowojorskiej policji.

– Musimy zrobić to podręcznikowo – stwierdził. – Zamknijcie wszystkie drogi ucieczki. Rozstawcie snajperów na okolicznych budynkach. Podjedźmy chronionym pojazdem z telefonem, wrzucie go do środka i zacznijmy negocjacje. Potrzebne nam będą plany budynku.

– Brzmi dobrze – krzyknęła Emily, przebijając się przez hałas łopat helikoptera. – Tyle że Mooney do tej pory był bezlitosny. Nie uwierzę, że będzie chciał negocjować na jakikolwiek temat.

Policjantka podeszła do nas z bladą jak ściana, około siedemdziesięcioletnią kobietą.

– Kapitanie – powiedziała. – To szkolna sekretarka. Widziała faceta, który przetrzymuje uczniów.

– Zastrzelił trenera Webba – wydusiła z siebie starsza pani, łkając histerycznie. – Strzelił trenerowi Webbowi w twarz.

To było to. Wystarczy. Już zaczął strzelać. Przed oczami mignęły mi zbyt dobrze znane obrazy szkolnych strzelanin. Nie ma mowy. Do diabła, nie ma mowy.

Nie namyślając się dłużej, postanowiłem zacząć działać. Zacząłem biec w kierunku łukowatego wejścia do St. Edward's.

Rozdział 83

– Mike! Zaczekaj! Co ty, do diabła, robisz? – zawołała za mną Emily.

– Skończę tę sprawę! – krzyknąłem przez ramię, wyjmując broń. – Tak albo inaczej. Teraz.

Z glockiem w dłoni, przyczajony, wkroczyłem do środka. Kiedy zatrzasnęły się za mną drzwi, czułem, jakby serce miało mi eksplodować.

W szklanej gablocie obok mnie ustawione były fotografie w sepii, które pokazywały uśmiechniętych uczniów St. Edward's z przełomu wieków. Wzięłem głęboki oddech i przygryzłem wargę, gdy wychyliłem się zza rogu i spojrzałem w długi, przygnębiający, pusty korytarz.

– Nie tak szybko, Bennett – szepnęła Emily, która pojawiła się za mną.

Za nią szło ośmiu członków oddziału specjalizującego się w odbijaniu zakładników.

– Trzymajcie się razem i uważajcie na rogach – szepnął Chow w mikrofon taktyczny. – Odsuń się od ściany, Jennings. Kule odbijają się rykoszetem, pamiętasz? Broń i oczy, ludzie. Jeśli zepsujecie mi opinię, skopię wam tyłki.

Wyszkoleni komandosi sprawdzali każdą salę lekcyjną. Przy każdych drzwiach pochylali się, żeby zarysy ich sylwetek nie były widoczne ze środka.

Trzy minuty później w sekretariacie znaleźliśmy ciało trenera Webba. Został postrzelony w głowę. Poczułem mieszankę wściekłości i smutku, gdy spojrzałem na ranę w kształcie krzyża na jego czasce. Prawie jak popiół, pomyślałem.

Patrzyłem na chorą wersję środy popielcowej Mooneya.

Wychodziliśmy z sekretariatu na korytarz, gdy usłyszeliśmy głośnie dudnienie. Drzwi na drugim końcu korytarza otworzyły się. Jednocześnie nabrałem powietrza i przełknąłem ślinę.

– Wstrzymać ogień! – krzyknąłem.

To dzieciaki. Uczniowie w granatowych swetrach, setki uczniów, wybiegli w panice z sali gimnastycznej. Wielu z nich biegło i płakało.

Szukałem wzrokiem Mooneya, ładunku wybuchowego albo pistoletu. Nie było go nigdzie. Co teraz? I o co tu, do diabła, chodziło? Wypuścił ich?

Skierowaliśmy uczniów do głównego wyjścia i nadaliśmy komunikat, że wychodzą. Kiedy ostatni z chłopców znalazł się w holu, pobiegliśmy dalej w kierunku sali.

– Nie ruszaj się! – krzyknął Chow do wyglądającego na zszokowanego mężczyznę, który wyszedł zza trybun.

– Proszę, nie! Jestem dyrektorem. Henry Joyce – odezwał się zrozpaczony łysy mężczyzna.

– Zabrał dwójkę uczniów. Jeremy’ego Masona i Aidana Parrisha. Wywołał ich i spiął razem kajdankami, a potem kazał wszystkim uciekać. Nic nie mogłem zrobić. Mój Boże!

Wskazał na drzwi po drugiej stronie boiska do koszykówki.

– Chyba zabrał ich do piwnicy.

Rozdział 84

Po drugiej stronie boiska z rozpędu uderzyłem w drzwi do piwnicy. Emily była tylko pół kroku za mną. Ekipa komandosów podążała za nami, gdy schodziliśmy cementowymi schodami.

Piwnica była ciemna, duszna i śmierdziała chlorem. Czy będzie próbował zabić tych dwóch chłopaków, zanim do niego dotrzemy? A może już to zrobił? Kiedy mijaliśmy maszynownię szkolnego basenu, odezwał się bojler.

Gdy skręciliśmy za róg, zobaczyłem promyk światła. Pochodził z otwartej kratki w suficie piwnicy. Wspiąłem się szybko po krótkiej, stalowej drabince i wystawiłem pistolet. Nie rozległy się strzały, więc wytknąłem głowę.

Do diabła! Po swojej prawej miałem uliczkę, w której stały kontenery na śmieci. Na jej końcu znajdowała się stalowa bramka. Otwarta stalowa bramka, która prowadziła na Osiemdziesiątą Ulicę na końcu szerokiego na kwartał szkolnego kampusu.

Zza rogu dobiegł krzyk i pisk opon.

– Cholera! Chodźmy! – krzyknąłem do Emily, gdy wspiąłem się na popękany cement. Zszokowany filipiński taksówkarz w białej czapeczce stał na ulicy z komórką przy uchu. Grupa robotników stojąca za nim pokazała na wschód, w kierunku Lexington Avenue.

– Właśnie skręcił w Lex – powiedział taksówkarz, gdy zobaczył odznakę wiszącą na mojej szyi. – Jakiś popieprzony sukinsyn porwał mi taksówkę.

– Czy były z nim dzieciaki? – zapytałem, przebiegając obok niego.

– Dwóch – odpowiedział Filipińczyk. – Byli skuci kajdankami. Co tu się, do cholery, dzieje?

Chciałbym znać odpowiedź na to pytanie, pomyślałem, gdy gnałem środkiem ulicy.

Skręciłem za róg i stanąłem na chwilę skołowany. Lexington Avenue wypełniały ciężarówki, autobusy, samochody i taksówki.

Dziesiątki taksówek jadących w kierunku południowym mijały mnie co chwila. Żadna z nich nie pędziła ani nie wydawała się podejrzana. Jak miałem stwierdzić, w której z nich był Mooney?

Sięgnąłem po komórkę, aby nakazać blokadę ulicy, kiedy zadzwoniła mi w dłoni.

– Mike, to ja – odezwał się spokojny, kulturalny głos.

Mooney! Oniemiałem. Lał się ze mnie pot, walczyłem, żeby złapać oddech. Samochody trąbiły na mnie, gdy wmieszałem się w ruch uliczny i wyciągałem szyję, żeby zobaczyć, czy w jakiś sposób nie uda mi się dostrzec Mooneya. Czy teraz będzie mnie drażnił? Pysznił się tym, że udało mu się uciec? Przyjąłbym od niego nawet strzał, gdybym tylko dzięki temu mógł dowiedzieć się, gdzie teraz był.

Emily pojawiła się na rogu z miną wyrażającą pytanie: „Gdzie on jest, do cholery?”.

– Francis? – zapytałem, wskazując na telefon.

– Jeśli ktoś będzie próbował mnie powstrzymać, chłopcy zginą.

– Nikt nie chciałby do tego dopuścić – powiedziałem. – Posłuchaj, Francis. Wiem o wybuchu w środę popielcową, podczas którego zginęli twoi koledzy. To nie była twoja wina, stary. Nie obwiniaj się za to. Postąpiłeś właściwie. Słyszałem też o twoim raku. Przesrane. Wiemy też o twojej pracy charytatywnej i *pro bono*. Jesteś dobrym człowiekiem. Dlaczego chcesz, żeby ludzie zapamiętali tylko to, co robisz teraz? To tylko bezbronne dzieciaki. Jaki w tym sens?

– A kto powiedział, że na świecie jest jakiś sens, Mike? Poza tym nie liczy się to, co po mnie zostanie – powiedział po chwili. – Liczy się tylko jedno.

Miałem ochotę rozwalić sobie komórkę na czole. O co chodziło temu facetowi? Mówił jak mesjasz, jakby wydawało mu się, że ma do spełnienia boską misję.

– Dlaczego? – krzyknąłem. – Dlaczego to robisz, do cholery.

– Jesteś katolikiem, prawda, Mike? Oczywiście, że jesteś. Który nowojorski gliniarz irlandzkiego pochodzenia nie jest? Czy słyszałeś dzisiejszą ewangelię? Czy słuchałeś dzisiejszej ewangelii? Gdyby tak było, nie zadawałbyś mi tego pytania.

Ewangelia?

– Weź więc mnie, Francis. Weź mnie zamiast tych chłopaków. Cokolwiek chcesz zrobić, możesz wykorzystać do tego mnie.

– To by się nie udało, Mike. Zobaczysz. Wszystkiego się dowiesz. Wszyscy się dowiedzą. Już niedługo. Jestem już prawie na miejscu. W miejscu naszego przeznaczenia. Już prawie po wszystkim. Ulżyło ci? Mnie owszem.

Zaczął płakać. Zabawne, ale wcale nie było mi go żal, pomimo jego oczywistego rozchwiania emocjonalnego.

– To najgorsza rzecz, jaką ktoś kiedykolwiek zrobił. Ale nie szkodzi. Prawdopodobnie jestem jedyną osobą wystarczająco silną, żeby tego dokonać.

Rozdział 85

Mooney przedzierał się przez ruch na Lexington Avenue szybko, ale nie za szybko. Zajeżdżając drogę furgonetce FedEx, zręcznie skręcił pod ostrym kątem w Pięćdziesiątą Siódmą Ulicę.

Nie planował porwania taksówki. Miał nawet wynajęty samochód, który czekał na niego na podziemnym parkingu za St. Edward's. Kiedy jednak zobaczył taksówkę stojącą na ulicy, niemal jakby na niego czekała, chwycił szansę, która się nadarzyła.

Teraz miał na podłodze dwóch uczniów, zakneblowanych i zakutych w kajdanki. Mason był blondynem, a Parrish miał brązoworudawe włosy, ale dwaj maturzyści mogliby uchodzić za braci. Przystojni, wysportowani i elitarni w swoich koszulach burberry i krawatach polo.

Mooney wiedział, że ich problemem nie było to, czy pójdą do college'u. Zastanawiać się mogli jedynie nad tym, na której z uczelni należących do Ivy League będą się uczyć. Niesamowite, ale dwadzieścia pięć procent absolwentów St. Edward's dostawało się na uniwersytety Ivy League. W niektórych publicznych szkołach w mieście mniej niż dwadzieścia pięć procent uczniów podchodziło do matury.

Nierówność oczywiście nie kończyła się na tym. Ojciec Parrisha był prezesem Mellon Zaxo, giganta produkującego artykuły gospodarstwa domowego. W minionym roku był trzecim najlepiej zarabiającym prezesem w Stanach Zjednoczonych, a jego wynagrodzenie wyniosło ponad sto trzysta milionów dolarów w gotówce i akcjach. Ojciec Masona był szefem północnoamerykańskiego oddziału Takia, rosyjskiej firmy z branży gazowej. Właśnie wskoczył do pierwszej dziesiątki, zgarniając nędzne sześćdziesiąt jeden milionów.

Średni dochód amerykańskiej rodziny nie przekraczał pięćdziesięciu trzech tysięcy. Ludzie nie mają ubezpieczeń zdrowotnych i tracą domy przez kredytowe szwindle banków.

Z tylnego siedzenia doszły go jęki.

– Jeszcze tylko jeden przystanek, chłopaki – powiedział.

Krótki przystanek, ale niezwykle ważny, pomyślał.

Zwolnił, gdy podjechał pod hotel Four Seasons na rogu Pięćdziesiątej Siódmej i Park Avenue. Ten charakterystyczny dla centrum miasta, pięćdziesięciodwupiętrowy budynek zaprojektowany przez I.M. Peia był ulubionym miejscem spotkań gwiazd kina i miliarderów.

Przystojny młody portier w liberii w dziewiętnastowiecznym stylu i cylindrze wybiegł przez obrotowe drzwi.

Szybko otworzył tylne drzwi taksówki, po czym stanął jak wryty w swoim nedorzecznym uniformie i wpatrywał się w dwóch uczniów zakutych w kajdanki na podłodze z tyłu samochodu.

Mooney pochylił się przez okienko oddzielające kierowcę od tylnego siedzenia i przycisnął berettę do szczęki portiera.

Chłopak sięgnął do kieszeni i wyciągnął garść jednodolarówek.

– Weź to, bracie. Wszystko dla ciebie – powiedział.

Mooney wytrącił mu pistoletem banknoty z odzianej w białą rękawiczkę dłoni.

– Wsiadaj – rzucił.

– Co? – zapytał zaskoczony portier. – Ja mam wsiadać?

– Tak, wsiadaj z przodu albo wpakuję ci kulkę. Taki napiwek będzie okay? Nie będę powtarzał – stwierdził Mooney i odblokował zamek w przednich drzwiach.

Rozdział 86

Dwadzieścia minut później Mooney odetchnął z ulgą, gdy dojechał do Canal Street. Skręcił w lewo, a potem szybko w prawo i przejechał dwie przecznice na wschód, aż dotarł do ulicy Mott. Wcisnął mocniej gaz i wjechał taksówką w wąską, wijącą się uliczkę w Chinatown.

Udało się. Znalazł się w śródmiejskim labiryncie. To się wreszcie wydarzy. Naprawdę nic nie mogło go już powstrzymać.

Mooney znalazł ulicę Bowery i dojechał nią do St. James Place, a następnie dalej na południe, do Pearl. Myślał, że będzie zdenerwowany, zbliżając się do swojego miejsca przeznaczenia, ale było zupełnie odwrotnie. Nigdy nie czuł się tak podekscytowany, tak czysty. Czuł się wzniośle.

Zatrzymał ukradzioną taksówkę na ulicy Pearl, w połowie przecznicy na północ od Beaver, i spojrzął przez szybę na pełne wieżowców miasto. Surowe, nowoczesne szklane fasady wciśnięte były pomiędzy granitowe budynki w secesyjnym stylu. Cały horyzont zabudowany przez chciwość, pomyślał. Przez zło, niewolnictwo i wojnę.

Czy to dziwne, że nawet przed dwoma atakami na World Trade Center ta okolica miała tak pełną przemocy i krwawą historię? Zamieszki w 1970 roku, podczas których setki robotników dotkliwie pobiło uczestników antywojennej demonstracji. Zamach z 1975 roku na budynek Fraunces Tavern, w którym zginęły cztery osoby, a którego sprawcami byli członkowie separatystycznej grupy z Portoryko, FALN. A nawet już w 1920 roku anarchiści ustawili wóz wypakowany żelaznymi kulkami i pięćdziesięcioma kilogramami dynamitu przed budynkiem nowojorskiej giełdy. Wybuch zabił trzydzieści trzy osoby.

Historia naprawdę się powtarza, pomyślał Francis, gdy otworzył swoją torbę.

Zaczął metodycznie przygotowywać chłopaków, odźwiernego i siebie. Bez słowa wyszedł z nimi na chodnik. Pulchna azjatycka bizneswoman, która wychodziła właśnie z piekarni Au Bon Pain, krzyknęła na ich widok i szybko

wróciła do środka.

Francis zerknął na gigantyczną amerykańską flagę zwisającą z wielkich korynckich kolumn na słynnej neoklasycznej fasadzie budynku giełdy. Spojrzał na labirynt metalowych barierek i betonowe zapory, które miały zapewnić amortyzację wybuchu. Na chodniku znajdował się pułk uzbrojonych po zęby funkcjonariuszy. Stali obok furgonetek służb ratunkowych z karabinami i czarnymi, wyglądającymi jak teleskopy licznikami Geigera. Miał obok nich przejść?

Przyszedł mu do głowy cytat z Nietzschego, który go uspokoił.

„Ten, kto wie, dlaczego żyje, zawsze poradzi sobie z tym, jak żyć”.

Mooney i trzech młodych mężczyzn byli właśnie na rogu Exchange Place i Broad, gdy zaczęły szczekać psy policyjne. Mooney połączony był z chłopakami detonatorem i paskami materiału wybuchowego. Zaplątani w gruby, przypominający sznur na bieliznę ładunek, wyglądali dziwnie i przerażająco, jak skrzyżowanie artystów podczas performance’u i ofiar wypadku na budowie.

Dźwięk repetowanej broni oddziału SWAT stojącego za barierkami poniósł się wąską ulicą, gdy Francis powoli zaczął się do nich zbliżać razem z dwoma chłopcami i portierem. Policjanci ruszyli w ich stronę, gdy doszedł do barierki najbliższej rogu z wejściem dla pracowników giełdy.

Starszy, zadziornie wyglądający gliniarz ostrzyżony na jeża, w garniturze i trenczu, dotarł do nich jako pierwszy. Nazywał się Dennis Quinn i był szefem dziennej zmiany ochrony giełdy. Francis wszystko o nim wiedział, spędził godziny na szukaniu informacji na jego temat.

Quinn służył dziesięć lat w piechocie morskiej i kolejne dwadzieścia w FBI, a potem dostał dobrze płatną posadkę na giełdzie. Mężczyzna krzychał do swojego mikrofonu przyczepionego do kołnierzyka i wyciągnął rugera kaliber.40, celując w głowę Mooneya.

– Na twoim miejscu zastanowiłbym się, gdzie celuję – powiedział Francis z uśmiechem. – Nie chciałbym, żebyś kogoś skrzywdził. – Wskazał na portiera, który przy nim stał. – Zwłaszcza twojego syna, Dennisie.

Broń w dłoni Quinna zadrżała, gdy pierwszy raz spojrział na chłopaka.

– O mój Boże! Kevin? – zapytał.

Francis podniósł ręce, odsłaniając elektroniczny sterownik przyklejony między dłońmi. Pokazał Quinnowi, że kciuk ma przyklejony do przycisku detonującego bombę.

– Widzisz kontrolkę? Detonator? Ładunek? Jesteśmy gotowi, Dennisie. Muszę tylko nacisnąć.

Syn Quinna aż podskoczył na myśl o tym, co może się stać.

Francis z obojętnością patrzył w oczy Dennisa.

– To proste. Ja ginę i giną wszyscy inni. Ty, ja, tych dwóch młodych mężczyzn. Och, i jeszcze twój jedyny syn. Wiem, że jesteś patriotą, Dennisie. Bła, bła, jedenasty września, nigdy nie zapomnimy i takie tam. Ale czy jesteś gotowy poświęcić swojego jedynego syna? Czy jesteś na tyle szalony? Bo dokładnie to się stanie, jeśli nie odsuniesz tych barierek i nie wpuścisz mnie do środka przez te drzwi. To jest test, Dennisie. Możesz chronić albo tych bezdusznych, wielbiących pieniądze barbarzyńców, którzy są w budynku za tobą, albo twojego syna. Jedno albo drugie. Nie, jedno i drugie. Co wybierasz?

Rozdział 87

Kiedy Mooney skończył rozmowę telefoniczną ze mną, pobiegłem ile sił w nogach do głównego wejścia St. Edward's. Po drodze kazałem zamknąć Lexington, a policyjnym helikopterom, aby uważały, czy na południe od Lex nie widać jakiejś dziwnie zachowującej się taksówki. Mógłbym równie dobrze poprosić, żeby uważali na wodę w oceanie, więc nie wiązałem z tym większych nadziei. W zasadzie po tym, co właśnie się wydarzyło, i po wysłuchaniu mesjańskiego monologu Mooneya, byłem zrozpaczony.

Wiele blondwłosych, eleganckich mam z Upper East Side tuliło teraz swoje dzieci na trawniku oddzielającym pasy ruchu. Inni zdenerwowani rodzice czekali, wstrzymując oddech, przy barierkach ustawionych przez policję, krzyczeli i wpatrywali się w tłum wypuszczonych z budynku uczniów. Czy matki Masona i Parrisha też czekały? – zastanawiałem się.

– Saperzy i jednostka specjalna są nadal w środku, zabezpieczają budynek – powiedziała Emily, zasłaniając mikrofon w komórce. – Szukają pułapek i sprawdzają, czy Mooney nie zostawił nigdzie ładunku.

– Bardziej martwi mnie to, że nie zostawił – stwierdziłem, wystukując numer do szefowej. – Obawiam się, że zabrał każdy gram ładunku ze sobą i tymi dwoma biednymi chłopakami.

Służby medyczne wynosiły właśnie zwłoki trenera Webba z budynku, gdy zadzwoniła moja komórka. Nikt inny, dzięki Bogu, nie został ranny.

W każdym razie jeszcze nie.

Młody kapitan z dziewiętnastego posterunku podbiegł do mnie, wyciągając dłoń z komórką.

– Detektywie, mam na linii komisarza Daly'ego.

– Bennett – rzuciłem do słuchawki.

– Mike, mówi John Daly. Mam kiepskie wieści. Mooney właśnie podjechał pod giełdę papierów wartościowych. Przywiązał się do trójki ludzi, ma ładunek

wybuchowy i chce się dostać do budynku.

Zamknąłem oczy i skupiłem się na tym, żeby nie zacząć krzyczeć. Nowojorska giełda? I co on właśnie powiedział?

– Troje ludzi?! – zapytałem. – Porwał tylko dwóch uczniów, o ile wiemy.

– Powiedziano mi, że troje, Mike. Jedźcie tam natychmiast z agentką Parker i jednostką specjalną i zobaczcie, co da się zrobić. Wy znacie go najlepiej.

Tak, pomyślałem, oddając kapitanowi jego komórkę. W tym właśnie tkwił problem. Zbyt dobrze wiedziałem, na co stać Mooneya.

Szybko przywołałem jednostkę specjalną do odbijania zakładników i saperów.

– Dokąd teraz? – zapytała Emily ze zmartwioną miną, gdy wsiedliśmy do samochodu. – Kończy mi się benzyna.

– Do dzielnicy finansowej, gdzież by indziej? – powiedziałem. – Mooney właśnie pojawił się pod giełdą.

Rozdział 88

Złączony z trzema młodymi mężczyznami ładunkiem wybuchowym Francis X. Mooney szedł powoli przez ogromny westybul budynku przy Wall Street. Chociaż było tam dwunastu policjantów oraz pracowników prywatnej ochrony giełdy, którzy mieli broń wycelowaną w jego głowę, schodzili mu z drogi, gdy zbliżał się do wykrywaczy metalu.

Oficerowie szli pół kroku za nimi, jak paparazzi, którzy zamiast aparatów mają pistolety.

Serce Francisa nigdy wcześniej nie biło jak bęben w finale niemieckiej opery. Strach i ekstaza wymieszały się w jego krwi, tworząc coś okropnego i wspaniałego zarazem, coś całkowicie nowego. Wiedział, że dzieciak Quinna był decydującym czynnikiem. Udało mu się dokonać niemożliwego. Naprawdę był w gmachu nowojorskiej giełdy papierów wartościowych!

Parrish potknął się o detonator i upadł. Francis odwrócił się z uśmiechem i ostrożnie pomógł mu z powrotem stanąć na błyszczącej posadzce.

– Już niedaleko, synku. Obiecuję – powiedział.

Skręcili i w połowie ściany po prawej stronie Mooney zatrzymał się przy drzwiach, do których zmierzał. Za nimi znajdowały się schody prowadzące do kolejnych drzwi na balkon górujący nad parkietem giełdowym. Tam właśnie dzwonkiem rozpoczyna się każdy dzień handlowy.

Raz już tu był. Jeden z jego klientów wprowadzał na giełdę swoją firmę biotechnologiczną i Mooney został zaproszony na ceremonię. Stał za prezesem firmy, uśmiechał się i grzecznie klaskał, gdy staromodny dzwonek rozpoczął kolejny dzień na giełdzie.

Ilu ludziom pomógł zgromadzić nieprawdopodobne ilości niesprawiedliwego bogactwa? – zastanawiał się. Zbyt wielu, by zliczyć. Dlatego tu teraz był. Musiał się zrehabilitować. Za wszystko.

Odwrócił się i spojrzał na podążających za nimi policjantów.

– Wejdziemy teraz przez te drzwi. Sami. Po tym jak wejść do środka, zakleję drzwi ładunkiem. Wejdźcie za mną, a wszyscy zginą. Dziękuję.

Mooney otworzył drzwi, wprowadził trzech młodych mężczyzn i zaplombował drzwi materiałem wybuchowym PE-4. Był teraz całkiem bezużyteczny, ponieważ Mooney nie przymocował do niego detonatora, ale skąd funkcjonariusze mieli to wiedzieć? Ważne było, że ta groźba ich odstraszy.

Krzyki z ogromnego parkietu były niemal namacalne, gdy dotarli do szczytu schodów i otworzyli drzwi. Poprowadził chłopaków do barierki balkonu.

Na ogromnych granitowych ścianach wisały ogromne amerykańskie flagi i niebieskie płachty z logo giełdy NYSE. Wydawało się, że co kilkadziesiąt centymetrów stoi jakiś monitor. Na nich widoczny był niekończący się marsz cyferek, które pokazywały stale zmieniającą się sytuację na rynku.

Poniżej rozgrywało się istne pandemonium, trwała kotłowanina mężczyzn i kobiet w eleganckich garniturach i garsonkach. Krzyczeli i stukali w klawiatury małych komputerów, które mieli zawieszane na szyjach, gdy tłoczyli się wokół biurka maklerskich. Spojrzał w dół na to żalosne zamieszanie, na mrówki, które walczyły o swoje okruszki. Podziękowałby mu za to, co chce zrobić.

Mooney wszedł na podium przed barierką balkonu, tam gdzie zwykle celebryci otwierali dzień handlowy. Włączył mikrofon i postukał w niego swoimi oklejonymi ładunkiem dłońmi.

– Stop! – krzyknął.

Na sali zapadła złowieszcza cisza, gdy brokerzy i kupcy oderwali się od zajęć i spojrzeli w górę.

Mooney znów płakał. Zaskoczyło go to, że niektórzy z maklerów mieli na czole znak krzyża. Czy naprawdę byli gotowi wziąć na siebie cierpienie świata? Poświęcić się?

Wziął głęboki oddech.

Pora się przekonać, pomyślał.

Rozdział 89

Ruch w śródmieściu nigdy wcześniej nie wydawał mi się tak trudny do sforsowania jak teraz, gdy przedzieraliśmy się przez miasto z Emily. Upływały cenne minuty, a my z piskiem opon torowaliśmy sobie drogę przez Lexington, Turtle Bay i Murray Hill, Flat Iron District, Gramercy Park i Union Square.

– Tyle dzielnic, tak mało cholernego czasu – krzyknąłem z uchem przy radiu, spodziewając się najgorszych możliwych wieści.

Dojeżdżaliśmy do Soho, kiedy zadzwonił mój telefon. Czy już po wszystkim?

– Mooney właśnie wtargnął do budynku giełdy – poinformowała mnie naczelnik Fleming.

– Że co? – krzyknąłem. – Jak, do cholery, mu się to udało?

Nie mogłem w to uwierzyć. Ochrona giełdy papierów wartościowych była najczujniejsza w mieście, a może i na świecie. Wydawało się, że cały południowy Manhattan od czasów 11 września był jedną wielką blokadą.

– Po tym jak wziął tych dwóch dzieciaków z St. Edward's, ten sukinsyn porwał syna szefa ochrony giełdy, który pracuje jako portier, i pojechali tam razem z brakującym ładunkiem wybuchowym i detonatorem. Dennis Quinn, szef ochrony, pilnował wejścia dla pracowników, kiedy pojawił się Mooney, grożąc, że wysadzi jego dzieciaka w powietrze, jeśli Quinn go nie wpuści. Więc go wpuścił. Co innego mógł, do cholery, zrobić? Teraz to już nieważne, prawda?

Emily chyba urwała rurę wydechową, gdy sześć minut później zaparkowała na krawężniku przed Trinity Church. Gdy wyskoczyłem z samochodu, niemal przewróciłem swoją szefową, która stała obok autobusu nowojorskiej policji zaparkowanego w poprzek Broadwayu.

– Mooney zamknął się na balkonie nad parkietem, gdzie dzwonkiem rozpoczyna się praca giełdy – powiedziała Fleming, przekrzykując wycie syren, które zdawało się dochodzić ze wszystkich stron. – Właśnie zadzwonił po służby ratownicze. Przedstawił swoją propozycję. Powiedział, że wymieni uczniów St. Edward's na

ich ojców. Mamy pół godziny, żeby ich tu dowieźć. Już się z nimi kontaktujemy.

Zakręciło mi się w głowie. Mooney chciał wymienić dzieciaki na ich ojców, ale nie na mnie? Próbowaliśmy z Emily wszystko sobie poukładać.

– Porywa dwójkę bogatych dzieciaków, przywozi ich tutaj, a potem chce ich ojców? – powiedziała Emily. – Dlaczego od razu nie wziął ojców? Mooney okazał się prawdziwym geniuszem, jeśli chodzi o uprowadzenia.

Jaki był w tym wszystkim sens? I czego tak naprawdę chciał ten skurwiel?

– A co z ludźmi pracującymi na parkiecie? – zapytałem.

– Wielu udało się wyjść. Nadal jednak na sali jest około trzystu osób. Oprócz wejścia na schody prowadzące na balkon nie zablokował żadnych drzwi, dzięki Bogu.

Fleming prowadziła nas ulicą w kierunku wejścia dla pracowników na rogu Broad i Wall Street. Umundurowani policjanci i funkcjonariusze taktyczni zajęli miejsca po obu stronach ulicy. Pod gigantyczną amerykańską flagą na fasadzie charakterystycznego budynku giełdy trwała ewakuacja przerażonych brokerów i kupców w kolorowych koszulach i z identyfikatorami na szyjach. Kierowano ich na północ Broad Street.

– Snajperzy? – zapytała Emily.

– To byłoby ryzykowne – powiedziała moja szefowa. – Ma detonator przyklejony do dłoni. Nawet gdyby strzelić mu w głowę, nadal mógłby go uruchomić.

Wróciliśmy na Broadway, kiedy podjechała jednostka specjalna FBI. Nawet zawsze stoicki Chow wydawał się przygnębiony, gdy patrzył w sławną na cały świat, wąską Wall Street.

Wskazał dłonią na mapę satelitarą, którą miał już wyświetloną na monitorze.

– Dobrze. Najpierw musimy zdjąć tę wielką flagę z frontu. Moi snajperzy są już w drodze do biurowca po drugiej stronie Broad Street. Te długie okna pomiędzy kolumnami na gmachu giełdy to okna z parkietu. Balkon, na którym jest Mooney, znajduje się jakieś cztery i pół metra na prawo od środkowego okna. Jeśli uda nam się go skłonić, by cofnął się chociaż o trzy metry, możemy wybić szybę i go postrzelić.

– A co z detonatorem, który ma przyklejony do dłoni? – zapytała Fleming.

– Użyjemy niezwykle szybkiego karabinu wyborowego Barrett M107 kaliber pięćdziesiąt. W połączeniu z niezapalnym podkalibrowym pociskiem przeciwpancernym powinniśmy zminimalizować ryzyko. Sami uderzymy

w detonator, zanim będzie miał szansę go uruchomić.

Emily i ja popatrzyliśmy po sobie i skonsternowani pokręciliśmy głowami. Jaka była szansa, że akcja zakończy się bez żadnych ofiar?

– Wiem – powiedział Chow. – To nie brzmi zbyt zachęcająco, ale to jedyne zagranie taktyczne, na jakie nas stać.

Rozdział 90

Kiedy ojcowie uczniów z St. Edward's przyjechali radiowozem, kiepskie wieści nadal rozbrzmiewały nam w uszach.

Howard Parrish, wysoki i blady, z krótkimi, siwiejącymi włosami, wyglądał jak aktor grający prezesa korporacji. Znałem jego twarz z tabloidów relacjonujących burzliwy rozwód, przez który przechodził w zeszłym roku. Edwin Mason, niski, ciemny, w okularach, wyglądał bardziej profesjonalnie w swoich dżinsach i sportowym płaszczu.

– O co tu, do cholery, chodzi, przyjacielu? Mów mi natychmiast! – powiedział na przywitanie Parrish, wchodząc do policyjnego autobusu.

– Howard ma rację. Czy ktoś może nam wyjaśnić, co tu się dzieje? – spokojnym, błagalnym głosem odezwał się Edwin Mason.

– Wasi synowie są przetrzymywani jako zakładnicy w budynku giełdy przez mężczyznę, który nazywa się Francis Mooney – oznajmiłem bez ogródek. – To on jest odpowiedzialny za porwanie i zamordowanie kilkorga bogatych nastolatków, o czym było głośno w ciągu ostatnich dni.

Twarc Parrisha zrobiła się czerwona, jakby miała eksplodować od skoku ciśnienia.

– Ta cholerna szkoła wczoraj wysłała nam biuletyn, że wzmocniono ochronę. Jak to się mogło stać? I dlaczego mój syn? W tej szkole uczą się setki dzieciaków. Dlaczego zabrał mojego syna?

– Chodzi o coś więcej, prawda? – zapytał Mason, smutno patrząc mi w oczy. – Nie mówicie nam czegoś.

– Tak, to nie wszystko – przyznałem. – Mooney skontaktował się z nami kilka minut temu. Powiedział, że chce zrobić wymianę. Wy za waszych chłopaków.

– My? – spytał skołowany Parrish. – Chcecie powiedzieć, że to my mamy być jego zakładnikami? Dlaczego?

– Mooney jest niestabilny emocjonalnie, ale ma też powiązania z radykalną

lewicą, które sięgają aż lat sześćdziesiątych – wyjaśniła Emily. – Krótko mówiąc, jest bardzo niezadowolony z postępowania bogatych. Jego czyny motywowane są quasi-polityką. A w każdym razie, jemu tak się wydaje.

– Pieprzeni liberałowie! – powiedział Parrish łamiącym się głosem. – Pieprzeni liberałowie zamordują mi syna!

Mason zdjął okulary i zaraz znów je założył.

– Czy to najbardziej się teraz dla ciebie liczy? – spytał zmęczonym głosem. – Nasi chłopcy są w poważnych tarapatach.

– Robimy co w naszej mocy – wtrąciłem się. – Panowie, musicie sami zdecydować, jak postąpić. Nie możemy was do niczego zmusić. Nie możemy nawet doradzać. Nie jesteśmy w stanie zagwarantować wam bezpieczeństwa. Jeśli jednak zdecydujecie się na wymianę za synów, nie będziemy ingerować. Być może podczas wymiany nadarzy się okazja, by rozwiązać ten problem.

– Dla mnie to nie jest kwestia wyboru – oznajmił po chwili Mason. – Moja żona zmarła sześć lat temu. Syn to jedyna osoba, na której mi zależy. Wchodzę.

Obgryzając paznokieć małego palca, Parrish gapił się na podłogę między swoimi eleganckimi butami i zastanawiał się przez kilka chwil.

– Dobrze – powiedział wreszcie. – Ja też. Ja też oczywiście w to wchodzę.

Rozdział 91

Z całego serca współczułem obu mężczyznom, gdy zamieniliśmy ich płaszcze na kuloodporne kamizelki. Wielu rodziców wierzy, że bez wahania oddałoby życie za swoje dziecko, ale ci mężczyźni naprawdę stanęli przed takim wyborem. Prosta, ogromna odwaga, jaką się wykazywali, zrobiła wielkie wrażenie na mnie i na każdym obecnym gliniarzu.

– Nie chcę umierać, Edwinie – powiedział Parrish, a jego oczy wypełniły się łzami. Wydawał się mówić bardziej do siebie niż kogokolwiek w pobliżu. – Ale w końcu miałem dobre życie. Los się do mnie naprawdę uśmiechnął. Zawsze starałem się postępować jak najlepiej. I jeśli zginę, przynajmniej moje pieniądze zostaną oddane mojemu synowi i pójdą na szczytny cel: Koalicję na rzecz Walki z AIDS.

– Ładnie powiedziane, Howardzie – zgodził się Edwin Mason i ścisnął ramię Parrisha. – Tak właśnie trzeba patrzeć na życie. Moja kasa pójdzie na AmfAR¹⁸. Miliony ludzi skorzystają na tym, co osiągnęliśmy.

Chwileczkę, pomyślałem. Organizacje charytatywne? Nagle coś zaświtało mi w głowie.

– Kto zajmuje się pańskimi sprawami prawnymi, panie Mason? Kto sporządził pana testament? – zapytałem.

– Kancelaria Ericsson, Weymouth and Roth – odparł. Nie wiem, czyje oczy zrobiły się większe na dźwięk nazwy firmy Mooneya, Emily czy moje.

– To zabawne. Świat jest jednak mały. Mój testament też – stwierdził Parrish. Emily i ja odeszliśmy na bok.

– Organizacje charytatywne? Testamenty? – powiedziała. – To musi być jakoś powiązane. Mooney zajmował się mieniem i powiernictwem, prawda?

– Chwila. Do cholery! Podczas naszej ostatniej rozmowy Mooney wspomniał coś o ewangelii i środzie popielcowej.

Wyjąłem komórkę i zadzwoniłem do Seamusa. Czasem dobrze było mieć

księdza w rodzinie.

– Posłuchaj. Potrzebuję twojej pomocy, Seamusie – powiedziałem. – Nie ma czasu na wygłupy. Dzisiejsza ewangelia. Przeczytaj mi ją.

– Nie mów mi tylko, że nie słuchałeś uważnie? Przypomnij mi, żebym następnym razem wyciągnął cię za uszy, ty poganinie. Okay, już mam. Popatrzmy. Mateusz 6, 1-4: „Strzeżcie się, żebyście uczynków pobożnych nie wykonywali przed ludźmi po to, aby was widzieli; inaczej nie będziecie mieli nagrody u Ojca waszego, który jest w niebie. Kiedy więc dajesz jałmużnę, nie trąb przed sobą, jak obłudnicy czynią w synagogach i na ulicach, aby ich ludzie chwalili. Zaprawdę, powiadam wam: ci otrzymali już swoją nagrodę. Kiedy zaś ty dajesz jałmużnę, niech nie wie lewa twoja ręka, co czyni prawa, aby twoja jałmużna pozostała w ukryciu. A Ojciec twój, który widzi w ukryciu, odda tobie”.

– Czekaj, przeczytaj mi jeszcze raz to o jałmużnie.

– „...aby twoja jałmużna pozostała w ukryciu” – powtórzył Seamus.

To jest to!

Chwyciłem Emily i rozłączyłem się.

– Mam! Mooney daje jałmużnę w ukryciu!

– Daje co? – zapytała zmieszana.

– Jałmużnę. Działania charytatywne. Nie rozumiesz? W każdym wypadku rodzina miała filantropijne zacięcie i w każdym wypadku dziecko było jedynym spadkobiercą ogromnego majątku. Kiedy Mooney dowiedział się, że umiera, wykombinował to wszystko tak, żeby wyeliminować dziecko i żeby jak najwięcej trafiło bezpośrednio do organizacji charytatywnych!

Emily stała z otwartymi ustami.

– Ten cwany lis! Wyjaśnia to też testy, które robił dzieciakom. Chciał sprawdzić, czy są wystarczająco rozeznane w problemach socjalnych, żeby zasłużyć na odziedziczenie majątku rodziców. Dlatego też wypuścił córkę Haasów. Ale jak nam to wszystko może teraz pomóc?

– Powiem ci jak – odparłem. – Mooney nie chce wymienić ojców na dzieciaki. Niczego nie wymieni. Mason i Parrish są samotni. Kiedy Mooney ich zobaczy, zabije wszystkich. Ojców, synów i siebie. Nie będzie nawet musiał czekać, aż ojcowie umrą śmiercią naturalną, żeby pieniądze wpłynęły na konta organizacji. Wszystko wydarzy się tu i teraz.

Podeszła do nas Carol Fleming.

– O co chodzi? Wysyłamy ojców do środka, czy nie?

– Nie ma mowy, szefowo – powiedziałem. – Ale chyba mam plan.

Rozdział 92

– Pomówmy o koszmarach współczesnego świata, do których przyczyniła się chciwość skumulowana w tym pomieszczeniu.

Stojący na balkonie Mooney mówił przez mikrofon.

– Porozmawiajmy o przestępstwach, w których braliście udział wy wszyscy. O degradowaniu środowiska, wyzysku siły roboczej i przypadkach śmierci, korupcji i unikaniu płacenia podatków. Czy obchodzą was pylica azbestowa płuc, na którą przez waszych korporacyjnych panów cierpią pracownicy? Zanieczyszczenie środowiska, do którego przyczyniają się wasi święci udziałowcy i inwestorzy?

Mooney spojrział w dół na ich twarze bez wyrazu.

– Kiedyś byłem taki jak wy. Tyrałem dla korporacyjnej maszyny, chroniłem ją przed prawem sposobami, na które zwykłych ludzi nigdy nie będzie stać. Chroniłem nielegalne zmony cenowe i nieetyczne postępowanie względem milionów obywateli klasy pracującej. Widziałem przestępstwa na ogromną skalę. Widziałem nieskazitelne szlaki wodne nieodwracalnie skażone zanieczyszczeniami. Nikt nie został pociągnięty do odpowiedzialności. Nikt nie poszedł do więzienia. Dlaczego? Czy ktoś może mi powiedzieć?

A tak przy okazji, widzę, że wielu z was ma ogromną nadwagę. A jaki odsetek światowej populacji cierpi głód, gdy my tu sobie gawędzimy? Czy ktoś zna odpowiedź? Nie wstyďte się.

Rozdział 93

W pięć minut ustaliliśmy plan działań z moją szefową i dowodzącym jednostką do odbijania zakładników Tomem Chow. On zajął się ostatecznymi uzgodnieniami przez swój taktyczny mikrofon, podczas gdy Emily i ja włożyliśmy kamizelki kuloodporne.

– Jaki mamy teraz plan, detektywie? – zapytał Howard Parrish, gdy wyszliśmy z autobusu. – Teraz już mamy nie wchodzić do budynku? Co z moim synem?

– Pojawiły się nowe okoliczności. Mamy szansę zakończyć tę sprawę bez krzywdzenia kolejnych niewinnych osób. Zrobimy co w naszej mocy – zapewniła go Emily.

– To nie wystarczy. Pieprzyć to! Chcę, żeby mój syn żył. Jeśli nie możecie tego zagwarantować, to chcę wejść do środka. Żądam tego!

Zatrzymałem się i chwyciłem go za ramię.

– Proszę mnie posłuchać, panie Parish – zacząłem. – Gwarantuję, że wyciągniemy stamtąd pana syna żywego.

Zaczęliśmy odchodzić.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz, Mike? Jak mogłeś mu to obiecać? – powiedziała Emily, gdy szliśmy Wall Street w kierunku budynku giełdy.

– To proste. – Wzruszyłem ramionami. – Jeśli plan się nie powiedzie, nie będzie miał okazji na mnie krzyknąć.

Chow czekał na nas przy barierkach i ostatni raz powtórzył nam plan działania, gdy szliśmy w kierunku wejścia.

– Wszystko gotowe – oznajmił w końcu i zatrzymał się przy drzwiach. – Reszta już tylko w waszych rękach.

Przeszliśmy z Emily przez wykrywacze metalu w ogromnym pustym holu. Szliśmy w milczeniu, każde pogrążone w swoich myślach.

– Powodzenia detektywie Bennett. Jeśli to się uda, stawiam obiad – powiedziała Emily, gdy zatrzymałem się przy drzwiach prowadzących na balkon.

– Mam nadzieję, że masz przy sobie swoją kartę kredytową, agentko Parker – stwierdziłem, gdy szła w kierunku parkietu. – Jeśli to się uda, planuję jakieś piętnaście drinków przed posiłkiem.

Rozdział 94

Idąc korytarzem, Parker była wdzięczna, że wszystko działo się tak szybko. Nie było czasu na myślenie. To dobrze. Gdyby musiała myśleć o różnych sprawach, szłaby teraz w odwrotnym kierunku.

Dwóch ochroniarzy giełdy kucało przy ostatnim stanowisku ochrony. Patrzyli przez szybę w drzwiach na parkiet. Parker pokazała im odznakę.

– Gdzie on jest?

Kilku brokerów schowanych za biurkiem zaszeptało głośno.

– Niech pani uważa. Ten facet jest stuknięty.

– Ma broń – dodał pulchny biały mężczyzna z przerzedzonymi czarnymi włosami.

Weszła na salę.

– Myślałeś, że ci się uda, prawda? Ty dupku. Tak, do ciebie mówię palancie!

– Kim jesteś? – powiedział do mikrofonu Mooney.

– Ja? Ja jestem osobą moralną, która poszła dziś do pracy – krzyknęła Emily. – Ty natomiast jesteś zwykłym mordercą, zabójcą dzieci, seryjnym zabójcą i prawdopodobnie też zboczeńcem.

– Hej, paniusiu – odezwał się jeden z brokerów. – Zamknij się! Przez ciebie wszyscy zginiemy!

– Nie jestem! – krzyknął Mooney.

– Nie jestem! – powtórzyła przedrzeźniającym tonem Emily. – Kogo próbujesz oszukać? Podnieciło cię zabicie tych dzieciaków.

– Te dzieciaki, jak ich nazywasz, były bezwartościowe, bezużyteczne. Zasługiwały na śmierć! – wrzasnął Mooney. – Ich rodzice powinni je lepiej wykształcić. Powinni pokazać im, jak ważne jest być ludzkim.

– Och, uczysz nas wszystkich co to człowieczeństwo, tak? – odpowiedziała Emily. – Mój błąd. Myślałam, że tylko mordujesz dzieci.

Rozdział 95

Spojrzałem na zegarek i ukląknąłem obok taktycznej „mysiej nory”, którą w ścianie korytarza zdążyli przygotować dla mnie chłopaki z jednostki specjalnej. Miałem, dzięki niej, przetrwać eksplozję. Na szczycie wąskich schodów odkręciłem jarzeniówkę i położyłem ją ostrożnie na zakurzonych marmurowych płytach. Powoli otworzyłem drzwi.

Jakieś sześć metrów ode mnie, odwrócony plecami, stał Mooney razem z trzema porwanymi i krzyczał do Emily. Pomiedzy nami, przecinając balkon na pół, znajdował się pas promieni słonecznych, które wpadały ukośnie przez frontowe okno. Przez moment w skupieniu wpatrywałem się w światło, a następnie odezwałem się.

– Francis! Tutaj! Hej, nie słuchaj jej! – krzyknąłem.

Mooney gwałtownie się odwrócił, zły i skołowany.

Pomachał przede mną detonatorem.

– Skradasz się za moimi plecami? Nie kombinuj albo to zrobię! – wrzasnął. – Teraz! Zabiję wszystkich! Gdzie są ojcowie? Dlaczego nikt mnie nie słucha?

Popatrzyłem ze strachem na dwóch uczniów liceum i syna szefa ochrony, z którymi związał się Mooney. Byli bladzi, osowiali, spoceni. Oczy mieli szkliste ze stresu i szoku. Pomyślałem o moim najstarszym synu, Brianie, który był tylko kilka lat młodszy. Chciałem, żeby przeżyli. Chciałem, żebyśmy wszyscy przeżyli. Musiałem sprawić, że tak będzie. Jakimś cudem.

– Francis! Uspokój się, stary! To ja, Mike Bennett – powiedziałem, podnosząc powoli ręce. – Nie skradam się. Mam na korytarzu ojców, tak jak chciałeś. Wpuszczę ich. A ty wypuść chłopaków. Będiesz współpracował?

Mooney zrobił krok w moją stronę. Jego oczy za szklami okularów błyszczały, a spojrzenie było niepokojąco intensywne.

Jego sklezione taśmą dłonie, w których trzymał detonator, trzęsły się. Widziałem, jak palec wskazujący drży nad spustem.

Nie miałem pojęcia, co powiedzieć, żeby go uspokoić. Tyrada Emily miała go rozproszyć, ale tak go nakręciła, że mógł przez przypadek odpalić ładunek.

– Gdzie oni są? – zapytał Mooney, starając się zerknąć w ciemny korytarz za mną.

– Na dole schodów, Francis. Czekają, żeby tu wejść.

– Kłamiesz – powiedział Mooney.

– Nie – odparłem, nawiązując z nim kontakt wzrokowy, gdy przecząco kręciłem głową. – Żadnych kłamstw, Francis.

Chcemy tylko, żeby nikomu nic się nie stało. Ani tobie. Ani tym dzieciakom. Ojcowie naprawdę chcą zająć miejsce swoich synów. Doceniają to, że dałeś im taką możliwość.

– Pewnie! Bo uwierzę. – Mooney zrobił kolejny krok i zmrużył oczy, próbując zajrzeć w głąb ciemnej klatki schodowej. – Nikogo nie wypuszczę, dopóki ojcowie nie wejdą po tych schodach i nie staną przede mną. Taką mamy umowę, Mike. Żadnego negocjowania. Natychmiast ich tu przyprowadź.

Odwróciłem się, gdy coś za sobą usłyszałem.

– Okay, Francis – powiedziałem. – Są za mną, na schodach. Dlaczego nie możemy tego zrobić? Może podejść tu i sam popatrz. Możesz sprawdzić, że to oni, a potem rozwiązać pierwszego chłopaka. Nie chcę, żebyś myślał, że cię oszukujemy.

Mooney stał i myślał, co zrobić.

– Okay. – Zrobił kolejny krok.

Kiedy podszedł, zobaczyłem, jak promienie słoneczne odbijają się od jego butów. Światło przesunęło się po jego nodze, torsie, obu dłoniach trzymających detonator, jak w modlitwie.

– Mamy go – odezwał się głos snajpera z FBI w mojej słuchawce ukrytej w uchu.

Rzuciłem się na podłogę.

Rozdział 96

Stojąc w świetle, Mooney spojrzał na mnie skołowany, gdy padłem na podłogę. A potem odwrócił się do okna, przed które go zwabiłem.

Zdawało się, że trzask pękającej, wielkiej szyby nastąpił po tym, gdy Mooney został trafiony kulą. W jednej chwili tam stał, a w następnej szkło stukło się w efektowny sposób, a on siedział na podłodze.

Krew tryskająca z jego nadgarstka wydawała się czarna na jasnym, wyblakłym marmurze. Podniosłem się, gdy Mooney bezskutecznie starał się uruchomić detonator. Miał kłopot, ponieważ jego rozwalone dłonie i nadgarstki ledwo trzymały się przedramion.

Pociski kaliber 50, które wystrzelił snajper, nie trafiły w detonator, ale przeszły przez oba nadgarstki porywacza, całkowicie uszkadzając nerwy w obu dłoniach.

Było mi żal Mooneya, który wił się na podłodze, jęcząc z bólu i krwawiąc.

Moje współczucie zniknęło, gdy szepnął „Amen” i poderwał dłonie do góry, aby nacisnąć spust brody.

Trzeci strzał rozległ się, zanim zdołałem znaleźć się w połowie drogi do Mooneya. Ostatnia kula trafiła mężczyznę w skroń. Zamiast upaść do przodu, bezpiecznie osunął się na bok.

– Wstrzymać ogień! – zawołałem do nadajnika, słysząc dudnienie kroków na schodach. – Nie! – krzyknąłem, gdy Jeremy Mason odwrócił się, aby spojrzeć na to, co zostało z Francisa X. Mooneya.

Ukląknę przed tym dzieciakiem zaplątanym w ładunek wybuchowy i zasłoniłem ciało Mooneya. Wystarczająco dużo musiał dziś przejść. Wszyscy wiele przeszliśmy.

– Nie ruszaj się, synu. Teraz już wszystko będzie dobrze – powiedziałem, ścierając krew szaleńca rozprysniętą na twarzy chłopaka.

Rozdział 97

Próbowałem uwolnić chłopców, gdy jeden z saperów złapał mnie od tyłu i pchnął w kierunku schodów.

Uczniowie St. Edward's zeszli na dół niecałe pięć minut później. Obaj ojcowie płakali, gdy spotkali się z nimi w holu budynku. Nawet szorstki szef ochrony Quinn nie krył łez, kiedy padli sobie w objęcia z synem, który zjawił się kilka minut później.

Gliniarze i brokerzy stłoczeni na zewnątrz, na Broad Street, zaczęli wiwatować, gdy ojcowie i synowie wyłonili się z budynku. Ktoś, z jakiegoś powodu, zaczął skandować U-S-A. Uradowani, że oboje przeżyliśmy, uściskaliśmy się z Emily i dołączyliśmy do tłumu.

Pół godziny zajęło specjalistom od bomb usunięcie i zabezpieczenie materiałów wybuchowych. Kiedy pojechali, wszedłem znów na balkon z Emily i ekipą badającą miejsca zbrodni. Strzały w głowę są okropne i ten też taki był. Mooney został wyrzucony ze swoich butów. Wpatrywałem się w zabrudzone krwią dziury w kamiennej ścianie tego starego budynku, które wyrwały w nich kule kaliber.50. Mooney zdecydowanie zapisze się w historii.

Stałem w ciszy razem z Emily, gdy koronerzy wkładali ciało do zasuwanego worka.

– Patrzcie na to – powiedział jeden z obecnych policjantów, podchodząc do mnie z kartką papieru zamkniętą w woreczku na dowody rzeczowe. – Mooney miał to wciśnięte do kieszeni marynarki.

OSTRZEŻENIE DLA ŚWIATA W DZIEŃ ZNISZCZENIA,

głosił nagłówek. Dalej następowała litania na temat tego, co było złe na świecie. Fakty o biedzie, głodzie i chorobach. Na dole Mooney nabazgrał czerwonym długopisem:

NIKT NIE SŁUCHA!

Emily zaskoczona podniosła brew, gdy wyjąłem kartkę z woreczka, przedarłem ją na pół, potem jeszcze na pół.

– Ten drań sprawił, że wszystko, co mówił, stało się nieważne w chwili, gdy zaczął krzywdzić niewinnych ludzi – stwierdziłem, nadal drąc kartkę. – Pieprzyć jego przesłanie, nieważne, czy to prawda, czy nie. Wybieram C, żadne z powyższych.

Kiedy wyrzuciłem podartą kartkę z balkonu, poczułem dłoń Parker na szyi.

– Amen, Mike – powiedziała, gdy strzępy papieru zniknęły pośród setek kartek walających się na podłodze poniżej.

Rozdział 98

Emily się upiekło. Tamtego dnia nie musiała stawiać kolacji. Parrish i Mason postanowili urządzić wielką kolację dla całego oddziału w słynnej Tavern on the Green przy Central Park West.

Wynajęli jedną z mniejszych sal dla niemal setki policjantów, którzy się pojawili. Schultz i Ramirez, którzy przyjechali wcześniej, żeby skorzystać z darmowych drinków, wyglądali, jakby już pochłonęli dwucyfrową liczbę koktajlu Bellini. Prawdopodobnie czekały ich awans i podwyżka. Gdy wynajęty, złożony z dziesięciu muzyków zespół swingowy zaczął grać *New York, New York*, złapali się za ramiona.

– Chcę budzić się w mieście, które nigdy nie śpi – śpiewali, wymachując nogami przed roześmianymi muzykami w smokingach. – Stać się numerem jeden na szczycie listy, królem wzgórze.

– Widzisz? Ciągle ci powtarzałem, że mamy fantastyczny oddział. – Wziąłem Emily za rękę. Prowadziłem ją w tańcu w sali z kryształowymi żyrandolami i ręcznie szlifowanymi lustrami. Kiedy nie tańczyliśmy, piliśmy. Oczywiście szampana. Kiedy siedliśmy do kolacji, śmialiśmy się jak wariaci, pewnie za głośno, ale nic nas to nie obchodziło.

Kelnerzy zajmowali się nami tak troskliwie, jak nikt inny wcześniej. Kieliszek francuskiego szampana za kieliszkiem. Z ciekawości zerknąłem do menu i zobaczyłem, że jedna butelka kosztuje jakieś trzysta, a nawet czterysta dolarów.

– Trzeba być twardzielką, żeby zrobić to, co ty dzisiaj, Emily. – Dopilem kolejny, wart trzydzieści dolarów, kieliszek. – Naprawdę byłaś świetna.

Veuve clicquot nagle wyleciał mi nosem, gdy Parker ścisnęła moje udo pod stołem.

– Czy to nie zbieg okoliczności? – powiedziała, patrząc mi w oczy. – Ty też jesteś świetny, detektywie.

Z jakiegoś powodu Emily i ja kolację zjedliśmy w ekspresowym tempie. Nasze

łyżeczki dzwoniły o dno talerzyka z tiramisu, zanim większość obecnych zdążyła zacząć posiłek.

– Dokąd się wybieracie? – zapytała moja szefowa, gdy się żegnaliśmy. – Jesteście gwiazdami wieczoru. Parrish i Mason nawet jeszcze się nie pojawili.

– Uch – zacząłem. – Emily musi..., uch...

– Zdążyć na samolot – skończyła za mnie. – Muszę dziś wrócić do domu. Do DC. Jejku, nie mogę się spóźnić.

Jazda taksówką do hotelu Emily była gorąca i zdecydowanie za krótka. Składała się ze wszystkiego, z czego powinna składać się idealna nowojorska randka: z migających świateł na Times Square, jedwabiu, nylonu, ostrych czerwonych paznokci, szerokich uśmiechów i zazdrosnego taksówkarza.

Niemal stratowaliśmy maturzystów z Missouri, gdy pędziliśmy do hotelowej windy. Drzwi właśnie się zasuwwały, ale w ostatniej sekundzie wsadziłem między nie rękę. Drzwi znów się otworzyły.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz? – zapytała Emily.

– Właśnie coś sobie przypomniałem – wymamrotałem niepewnie.

– Chodzi o nianię, prawda?

Nie odpowiedziałem.

– Prawda. Bez wątplenia chodzi o nią, czy sobie zdajesz z tego sprawę, czy nie. No cóż.

Pocałowała mnie po raz ostatni. Złapała mnie za klapy marynarki i pocałowała z wściekłością. Wydawała się tak blisko. Chciałem być jeszcze bliżej. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo chciałem jechać tą windą w górę.

Potem Emily z jeszcze większą złością mnie odepchnęła. Kopnęła mnie nawet w kolano butem na obcasie, żebym szybciej się wynosił.

– Twoja strata, glino – wydusiła niezwykle wściekła i gorąca, z bluzką wyciągniętą ze spódnicy, zaczerwienionymi policzkami i potarganą fryzurą. – Twoja pieprzona strata,

Bennett. Ty cholerny dupku.

Nie mogłem złapać tchu, gdy Emily Parker zniknęła za zasuwającymi się drzwiami.

Moja strata, pomyślałem.

– Ma cholerną rację – powiedziałem do portiera, gdy wychodziłem.

Rozdział 99

Gdy dotarłem do domu, nadal nie czułem bólu. Korytarz był pełen balonów i serpentyn. W lodówce rozmrażał się wielki tort Carvel. Seamus, mistrz ceremonii imprezy niespodzianki dla Mary Catherine, rządził w kuchni, dyrygując dekorowaniem i przyrządzaniem jedzenia.

– Ale dziadku, skoro to jest przyjęcie, to kto będzie didżejem? – zapytała Shawna.

– A jak myślisz? – powiedział urażony. – Siostra Sheilah nie nazywa mnie Ojcem Dwa Gramofony i Mikrofon bez powodu, wiesz?

– A co z kłownem, dziadku? – chciała wiedzieć mała Chrissy. – I nie ma żadnych zwierzątek z balonów.

– Są na mojej liście, dziecko. Proszę, czy nie wierzysz we mnie? – powiedział Seamus, podnosząc notatnik. – Julio, powiedz mi teraz, jak mają się kiełbaski w szlafroczkach?

Kiedy wszystko było gotowe, zadzwoniłem na komórkę Mary Catherine.

– Mary, właśnie zadzwonili z pracy, a nie mogę znaleźć Seamusa. Możesz zejść i zająć się dziećmi?

– Daj mi pięć minut, Mike – powiedziała smutnym głosem.

Pojawiła się po trzech.

– Halo? – spytała, gdy powoli wchodziła do ciemnego mieszkania.

Włączyłem światła.

– Niespodzianka! – krzyknęliśmy.

Mary Catherine zaczęła płakać, gdy wszystkie dzieciaki ustawiły się w kolejce, żeby dać jej prezenty i ją wyściskać. Dostała kilka kart do Starbucksa i kubek Najlepszego Nauczycielka na Świecie. Kiedy Hallmark zacznie produkować kartki urodzinowe z napisem Najlepsza Niania na Świecie, będziemy pierwszymi klientami. Gdy Chrissy wręczyła jej swój prezent: własnoręcznie wykonaną z masy solnej lalkę przedstawiającą samą Chrissy, Mary skamieniała z wrażenia, tak że

pomyślałem o koniecznej resuscytacji.

– Ile kończysz lat? – zapytałem, gdy później złapałem Mary Catherine samą w kuchni.

– Nie zadaje się damom takiego pytania – odpowiedziała.

– Dziewiętnaście? – zgadywałem. – Nie, zaczekaj, dwadzieścia dwa?

– Mam trzydzieści lat, Mike. Już wiesz. Zadowolony?

Byłem naprawdę zaskoczony. MC wyglądała jak studentka.

To więc wyjaśniało jej dziwaczne zachowanie. Kończyła trzydziestkę. Kobiety chyba tego nie lubią, prawda?

– Przynajmniej znów mówisz do mnie ty, Mike, a nie pan Bennett. Musiałem sobie jakoś na to zasłużyć. Święci mnie chronią.

Podarłem jej prezent, który kupiłem w drodze z hotelu. Sklep z biżuterią Striemer Jewelers na Czterdziestej Siódmej był już zamknięty, gdy tam dotarłem, ale właściciel, Marvin, który jeszcze nie pojechał do domu, był mi winien przysługę.

– Jeśli chodzi ci o nasze, hm, starcie, to już o wszystkim zapomniałam, Mike – powiedziała, patrząc się na małe pudełko. – Nie ma o czym mówić.

– Otwórz je.

Otworzyła. W środku znajdował się wisiołek z ametystu, jej kamienia szlachetnego, zawieszony na łańcuszku z białego złota.

– Ale – zaczęła. – To... Jak możemy...

– Ty mi powiedz – szepnąłem jej do ucha, gdy zapinałem łańcuszek. – Ja nie wiem nic o niczym.

W jej twarzy zobaczyłem smutek, gdy spojrzała na błyszczący wisiołek, a potem na mnie.

– Pogadamy, jak wyparuje z ciebie szampan, Mike – powiedziała i ruszyła do drzwi. Spróbowałem złapać jej ramię, ale wymknęła się i wyszła z kuchni. Już drugi raz dzisiaj, pomyślałem. Świetna robota, przyjemniaczku.

– Patrzcie na mnie! – krzyknął Seamus z dużego pokoju. Podniosłem swoją porcję tortu, gdy dobiegł mnie dźwięk elektrycznej gitary. Co teraz?

Seamus stał przed telewizorem. W rękach trzymał plastikową gitarę z gry dla dzieciaków *Guitar Hero*. Miał zamknięte oczy i zagryzał wargę, gdy grał solo z *Welcome to the Jungle*. Nie wiem, co było głośniejsze, jego wersja Slasha, piszczące dzieciaki czy mój śmiech.

– No, kto by pomyślał! – stwierdziłem z radością, opadając na kanapę pomiędzy moje dzieciaki, żeby lepiej przyjrzeć się przedstawieniu Seamusa. – Klownowi

jednak udało się dotrzeć.

Rozdział 100

Dwa tygodnie później nadal tkwiłem w raportach dotyczących sprawy Mooneya. Niestety, papierkowa robota trwała aż do momentu rozwiązania naszej grupy operacyjnej.

Ostatni i niedający mi spokoju szczegół sprawy patrzył na mnie, zazwyczaj z pierwszej strony gazet, niemal każdego ranka. Co, do cholery, stało się z Danem Hastingsem, porwanym dzieciakiem z Columbii?

Wypełniałem czwarty raport, gdy naczelnik Fleming zapukała do drzwi mojego biura. Przyniosła prawdziwe azjatyckie jedzenie z sąsiedniego Chinatown – moim zdaniem jedyną zaletę pracy w One Police Plaza.

Jedliśmy w jej gabinecie, o wiele większym niż mój. Za oknem świeciło duże, żółte słońce, unosząc się nad korkiem na moście Brooklyńskim.

Gdy jadłem pałeczkami, wzrokiem przebiegłem po powierzchni rzeki, wypatrując unoszących się ciał. Wyznaję zasadę, że podczas lunchu też trzeba pracować.

Kiedy otwieraliśmy swoje ciasteczka z wróżbami, naczelnik wskazała na „New York Post”, który leżał na biurku.

– Widziałeś najnowsze wieści? – zapytała.

– Niech zgadnę: „Mike Bennett, obibok, nadal zbyt głupi, aby zlokalizować zaginionego studenta Ivy League”?

– Dla odmiany to nie o tobie, ale o pierwszej ofierze, Jacobie Dunningu. Jego ojciec stworzył organizację charytatywną imienia syna.

Udało mi się jednocześnie pokręcić głową i spojrzeć na gazetę.

– Rany. Dokładnie tak, jak chciał Mooney – stwierdziłem, przeżuując lunch. – Właśnie na to liczył Mooney, gdy odstrzelił głowę temu biednemu dzieciakowi.

– Nie wiem, Mike. To chyba lepiej, że coś dobrego wyniknęło z całej sprawy? – powiedziała. – Co ty byś zrobił, gdybyś miał tyle pieniędzy?

– Nie wiem – odparłem po chwili zastanowienia. Podniosłem serwetkę

i wytarłem pomarańczowy sos z policzka.

– Znając moje szczęście, nigdy nie będę miał takiego problemu, ale powiem ci jedno, prędzej bym je spalił, niż zrobił dokładnie to, na co liczył morderca mojego dziecka.

– Jesteś zimny jak lód. Wiesz o tym, Mike? – powiedziała Carol, gdy zadzwonił telefon. Uśmiechnęła się i pokiwała głową, zanim podniosła słuchawkę. – Lubię to u gliniarzy.

– Bez kitu! – wykrzyknęła nagle. – Okay, okay. Już kogoś wysyłam.

Wyglądała na skołowaną, gdy odłożyła słuchawkę.

– Twoje rozterki właśnie się skończyły. Policjanci znaleźli Dana Hastingsa przy autostradzie w południowym Jersey. Zabrali go na łódź ojca.

Rozdział 101

Spotkałem się z Gordonem Hastingsem w salonie na jego jachcie *Teacup Tempest* pół godziny później. Szkocki potentat medialny wyglądał elegancko w swoim europejskim dwurzędowym garniturze. Wyglądał zdecydowanie inaczej niż w dniu, w którym się poznaliśmy, gdy był po kilku margaritach i miał na sobie nieświeże ubranie.

Może jestem zgorzkniały, ale patrząc na niego, nie mogłem zapomnieć, jak był pijany, niegrzeczny i głupi, i tego, jak się na mnie zamachnął. Najgorsze jednak było to, że należąca do niego gazeta, „New York Mirror” zaczęła obsmarowywać nowojorską policję trzy dni po tym, jak zajęliśmy się Mooneyem.

Oskarżenia o przesadną agresję i brutalność policji pojawiały się codziennie w kontekście zastrzelenia Mooneya. Użycie przez wymiar sprawiedliwości amunicji kaliber.50 stało się teraz ulubionym tematem telewizyjnych gadających głów. Zastanawiałem się, jak do tego doszło.

– Chcę przeprosić za swoje zachowanie – powiedział Hastings ze swoim szkockim akcentem. Obdarzył mnie najlepszym uśmiechem Jamesa Bonda, gdy wyciągnął dłoń na powitanie. – Było to niewłaściwe i niemądre.

– Lepiej nie mógł pan tego ująć – odparłem, ignorując jego dłoń. Poszedłem porozmawiać z jego synem.

Dan Hastings siedział u szczytu ogromnego stołu i zajadał się łososiem, gdy wszedłem do jadalni i zamknąłem za sobą drzwi. Przy jego łokciu czekała srebrna miseczka pełna kawioru.

– Cieszę się, że jesteś w domu, synu – powiedziałem i uścisnąłem mu dłoń. – Nazywam się Mike Bennett. Jestem detektywem, który zajmuje się sprawą Mooneya. Chciałbym, żebyś powiedział mi, co się z tobą działo.

– Cóż, najważniejsze, że ten sukinsyn nie żyje, prawda? – stwierdził Dan z dziwnym uśmiechem.

– Tak, nie żyje – potwierdziłem. – Muszę tylko skończyć papierkową robotę.

Chcę, żebyś powiedział mi, co się z tobą działo od momentu porwania.

Dan pokiwał głową i nabrał łyżeczkę kawioru. Zauważyłem, że lekko trzęsie mu się dłoń, gdy popija kawior białym winem.

– Niech pomyślę – powiedział, przeżuając. – Wychodziłem z biblioteki i ktoś mnie zawołał. Następnie poczułem cios w tył głowy. Obudziłem się kilka godzin później w jakiejś jaskini. Nigdy nikogo nie widziałem. Byłem związany, ale po dwóch tygodniach wreszcie udało mi się uwolnić. Wszystko to już powiedziałem oficerom, którzy mnie zgarnęli.

– Zechciej, z łaski swojej, powiedziec mi, jak udało ci się przetrwać przez dwa tygodnie.

Dan na moment wstrzymał oddech.

– Miałem tam jedzenie – wymamrotał, unikając mojego spojrzenia. – Po tygodniu wreszcie postanowiłem spróbować się wydostać.

– Rany, to bohaterski czyn – stwierdziłem. – Musiało być ostro.

Nie wiem, czy wyżej podskoczyła srebrna zastawa, czy Dan, kiedy nagle walnąłem pięścią w stół. Usiadłem przy stole tuż obok chłopaka.

– Może wszyscy inni są gotowi przełknąć to gówno, którym ich karmisz, synu, ale jeszcze nie spojrzales mi w oczy. Jestem odpowiedzialny za posprzątanie syfu, który zostawiają inni. Moim jedynym pocieszeniem jest to, że potrafię na kilometr wyczuć kłamstwo. Jesteś fatalnym kłamcą, Dan. Nie ma w tym nic złego. Dla mnie to w zasadzie zaleta. Znaczy to tyle, że jesteś nowicjuszem w świecie złych ludzi. Musisz jednak przestać mnie oszukiwać. Nie pozwolę ci na to.

Próbował spojrzeć mi w oczy, ale mu się nie udało. Opuścił głowę.

– To Galina – powiedział. – To był pomysł Galiny.

Zajrzałem do swoich notatek. Galina Nesser była jego rosyjską dziewczyną. Chryste, co za kretyn. Od razu wrabia swoją dziewczynę.

– Wymyśliła to wszystko razem ze swoim wujkiem – ciągnął. – Nie miało to nic wspólnego z pozostałymi porwaniami. Powiedzieli, że nam się uda. Czego ode mnie chcesz, człowieku? Jestem inwalidą.

Zanotowałem coś w swoim notesie, odłożyłem go i spojrzałem na Dana.

– Nie, jesteś raczej hańbą inwalidów – powiedziałem.

– Co to jest pięć milionów dla takiego kogoś jak mój ojciec? – załkał Dan. – Chciałem się od niego uwolnić. Nie wie pan, jaki on jest. Jego poczucie winy. Nienawidzę tego. Nienawidzę go. Chciałem się wyrwać. Chciałem być sam.

I tu Dan się mylił. Rozumiałem go. Nienawidziłem jego ojca i też chciałem być

jak najdalej od niego.

Mogliśmy postawić Danowi Hastingsowi wiele zarzutów – oszustwo, wprowadzenie śledczych w błąd. Postanowiłem, że wymierzę mu najgorszą dla niego karę. Złapałem jego wózek i zawiozłem chłopaka do salonu.

– Panie Hastings, pana syn ma coś do powiedzenia.

– Co? – zapytał. – O co chodzi, Dan?

– To ja to zrobiłem, tato. Nie porwano mnie. Nabraliśmy cię. Wziąłem twoje pieniądze. To nie miało nic wspólnego z tym Mooneyem.

Monarsza twarz Gordona Hastingsa załamała się jak walący się budynek. Chyba nie bardzo się ucieszył, gdy zobaczył na mojej twarzy uśmiech z rodzaju „a nie mówiłem?”.

– Nie będę składał zarzutów, detektywie – powiedział, a szok na jego twarzy zastąpiło zwykłe szyderstwo, jego naturalny wyraz twarzy. – Jeśli na to właśnie pan liczył. Chcę, żeby pan opuścił mój jacht.

– Co za zbieg okoliczności. Ja też chcę opuścić pana jacht. Nawet bardziej niż pan. – I wyszedłem.

Rozdział 102

Wsiadając do samochodu na parkingu Chelsea Piers, nadal nie mogłem uwierzyć w historię Dana. Co było nie tak z tym dzieciakiem? Sama organizacja skomplikowanego przekazania okupu była godna podziwu, a on nawet zdołał przekonać tego szalonego chłopaka do skoku z mostu ze spadochronem, żeby dostać swoje pieniądze.

Na wózku czy nie, ten dzieciak był sprytny, czarujący i bogaty. Czy to mu nie wystarczyło? Jeśli tak bardzo nienawidzi swojego ojca, dlaczego nie zebrał się na odwagę i po prostu go nie zostawił?

Dan chyba za bardzo kocha pieniądze, pomyślałem. Odejście byłoby zbyt trudne. Wymagałoby od niego rezygnacji z życia w luksusie. Dan chciał się zemścić, ale za to nie płacić. Nie chciał ponosić żadnych kosztów. Nawet Mooney mógłby mu to powiedzieć.

Patrząc na błyszczący jacht, stwierdziłem, że F. Scott Fitzgerald nie miał racji. Bogaci naprawdę byli tacy jak ty i ja. Równie głupi, małostkowi, krótkowzroczni, popieprzeni i pełni wad. Po prostu zwykli ludzie.

Pomyślałem o kimś, przyglądając się, jak japiszony udają Tigerów Woodsów na polu golfowym obok mariny. Otworzyłem listę kontaktów w komórce, znalazłem odpowiedni numer i zadzwoniłem.

– FBI. Mówi Parker.

– Agentko Parker – powiedziałem. – Mówi Bennett. Jak się masz?

– Mike! – krzyknęła. Zdawała się być szczęśliwa, że do niej dzwonię. Musiała zapomnieć, jak pożegnaliśmy się w hotelu.

– Hej, jak leci? Impreza się udała. O rany, ale się nawaliłam.

– Nie bardziej niż ja – przyznałem. – Posłuchaj, właśnie się okazało, że mieliśmy rację, gdy podejrzewaliśmy, że coś się nie zgadza w porwaniu Hastingsa. W ogóle nie miało miejsca. Dzieciak wymyślił wszystko ze swoją rosyjską panienką. Zrobili to, żeby wyłudzić kasę od tatusia. Sympatycznie, prawda? Wczesny prezent na

Dzień Ojca.

– Rany. – Przez dłuższą chwilę milczała.

– Kiedy Francis X. wdał się ze mną w naszą małą kłótnię, powiedział, że dzisiejsza młodzież jest bezwartościowa. Czasem myślę, że miał rację. Może ten świat naprawdę jest na niewłaściwym kursie.

Próbowałem coś powiedzieć, ale gdy otworzyłem usta, nie pojawiły się żadne słowa. Chciałem tylko tego co wszyscy rodzice: żeby nasze dzieci żyły w przyjaznym miejscu. Straszne i bolesne było wyobrażanie sobie wszystkich szalonych i złych rzeczy, które mogły im się przydarzyć, tego, że może czekać je ponura przyszłość.

Spojrzałem na wodę. Dzień był słoneczny, ale powietrze, które wpadało przez uchylone okno w samochodzie, było ostre i zimne.

– Nie wiem, jaki jest świat, Emily – powiedziałem w końcu. – Wiem tylko tyle, że Mooney nie żyje, a my nadal mamy robotę.

Odpaliłem silnik i włączyłem ogrzewanie.

– To chyba nie jest to samo co „i żyli długo i szczęśliwie” – podsumowałem – ale, do diabła, to dobry początek.

-
- [1](#) Wszystkie cytaty biblijne za: *Biblia Tysiąclecia*, Poznań, Pallottinum 2003.
 - [2](#) *March Madness*, popularne rozgrywki koszykówki pomiędzy drużynami amerykańskich uniwersytetów.
 - [3](#) Grupa Szybkiego Reagowania ds. Porwań Dzieci.
 - [4](#) Krajowe Centrum ds. Analizy Przestępstw z Użyciem Przemocy.
 - [5](#) Child Abduction and Serial Murder Investigative Resource Center – Centrum Dochodzeniowe ds. Porwań Dzieci i Zabójstw Seryjnych.
 - [6](#) Odniesienie do zabójstwa prezydenta Johna F. Kennedy’ego, który został postrzelony, gdy jego limuzyna mijiała pagórek przy Elm Street; z tamtej strony padły strzały.
 - [7](#) Fragment *Środy Popielcowej* T.S. Eliota w przekładzie Adama Pomorskiego.
 - [8](#) University of Virginia.
 - [9](#) Slangowe określenie policji pochodzące od tytułu amerykańskiego serialu *Hawaii 5.0*.
 - [10](#) War on Poverty – nieoficjalna nazwa legislacji zaproponowanej przez prezydenta Stanów Zjednoczonych Lyndona B. Johnsona w 1964 roku w odpowiedzi na zubożenie społeczeństwa.
 - [11](#) Clarence Seward Darrow (1857–1938) – amerykański prawnik, nazywany adwokatem biednej Ameryki.
 - [12](#) Initial Public Offering (IPO) – pierwsza oferta publiczna. Procedura związana z wprowadzeniem po raz pierwszy akcji spółki do obrotu giełdowego, obejmująca m.in. przygotowanie prospektu emisyjnego i postępowanie przed instytucją nadzorującą dopuszczenie do obrotu giełdowego.
 - [13](#) Chodzi o sprawców masakry w Columbine High School koło Denver w Kolorado. 20 kwietnia 1999 roku dwóch nastolatków zastrzeliło tam dwunastu uczniów i jednego nauczyciela, a potem popełniło samobójstwo.
 - [14](#) Sean Hannity – konserwatywny komentator polityczny prowadzący m.in. program na Fox News Channel.
 - [15](#) *Madeline* – powieść dla dzieci Ludwiga Bemelmansa, wydana w 1939 roku. Panna Clavel jest nauczycielką siedmioletniej Madeline w katolickiej szkole w Paryżu.
 - [16](#) Robert Frost, *Przystając pod lasem w śnieżny wieczór*, tłum. Stanisław Barańczak.
 - [17](#) Danica Patrick – amerykańska zawodniczka startująca w wyścigach samochodowych.
 - [18](#) AmfAR – The Foundation for AIDS Research, organizacja finansująca badania nad HIV i AIDS oraz programy prewencyjne i medyczne.